

Michael Stalmarsk



___ LOS ANGELES ___

Amerykański La-La Land



MICHAEL STALMARSK

LOS ANGELES

AMERYKAŃSKI LA-LA LAND

 WYDAWNICTWO
POLIGRAF

© Copyright by Wydawnictwo Poligraf, 2017

© Copyright by Michael Stalmarsk, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden fragment tekstu ani fotografia nie mogą być publikowane ani reprodukowane bez pisemnej zgody wydawcy.

Obraz na okładce:
Vectorideas, Shutterstock

Wstępna redakcja:
Korekto.pl (Grupa Dutkon Ltd)

Opieka redakcyjna:
Klaudia Drożdż

Korekta:
Anna Kurzyca,
Monika Wojtowicz

Skład:
Aleksandra Mikołajko
Wojciech Ławski

Projekt okładki:
Aleksandra Mikołajko

ISBN: 978-83-7856-545-1

Wydawnictwo Poligraf
ul. Młyńska 38
55-093 Brzezina Łąka
tel./fax (71) 344-56-35

www.WydawnictwoPoligraf.pl

SPIS TREŚCI

MEGALOPOLIS

EL PUEBLO I POCIĄG OD RAMONY

FOTOGRAFIE I

BONANZA EXPRESS

ARKADIA, CZYLI COŚ WIĘCEJ NIŻ NOWY DOM

RAJ NA TRZĘSĄCYCH SIĘ NOGACH

MAGNES

MIASTO NA LINII FRONTU

FOTOGRAFIE II

NUMER WIĘKSZE OD PRZECIĘTNOŚCI

BIBLIOGRAFIA

Dzielnej Olivii i szalonemu Coco

MEGALOPOLIS

Każde miasto na świecie próbuje definiować się za pomocą jednego pojęcia, słowa lub sloganu, które oddaje jego ideę, największą zaletę lub charakterystyczne cechy. Wśród światowych miast Alfa Los Angeles może użyć wielu określeń, które doskonale opisują jego rolę i znaczenie we współczesnym świecie. Jedno jest jednak szczególnie trafne. Tego określenia można użyć bez obawy, że ktoś może zakwestionować jego zasadność. Nikt nie może zaprzeczyć, że Los Angeles jest tak wielkie, że większość zachodnich metropolii nie wytrzymuje porównań z nim.

Amerykańskie pojęcie bycia wielkim jest nieporównywalne do europejskiego. Zaskoczenie, że coś może być aż tak wielkie towarzyszyło od setek lat wszystkim, którzy po raz pierwszy, ujrzeni Amerykę. Często wyśmiewane przez Europejczyków amerykańskie opisywanie wszystkiego według modelu „u nas wszystko jest największe” nie jest bezpodstawną przechwałką. Ameryka Północna została obdarzona przez naturę niezwykle atrybutami, które nie odpowiadają standardowemu pojęciu bycia dużym. Rzeki, drzewa, góry, doliny, stepy, zwierzęta – wszystko to było jakby przekalibrowane z wymiaru 1:1 na 1:1,5 lub na większy. W trakcie swojej krótkiej historii Amerykanie robili wszystko, aby to, co wyszło spod ich rąk, też było wielkie. Wielkie domy, samochody, samoloty, wielka armia i wielkie czyny historyczne (zarówno te chwalebne, jak i te, o których chętnie chciałoby się zapomnieć) zapisały się wielkimi literami w historii powszechnej.

Do katalogu niezwykle darów natury i wyczynów ludzi należy dodać jeszcze jedno – stworzenie wielkich miast. Pomimo

błyskawicznego rozwoju miast azjatyckich i afrykańskich, wielkość amerykańskich miast i otaczających ich obszarów metropolitalnych nie przestaje zadziwiać. Wbrew powszechnemu mniemaniu nie są one zdominowane przez klasyczne wieżowce. Liczba osób mieszkających na jednym kilometrze kwadratowym jest relatywnie mała. Tylko Nowy Jork z racji ograniczeń naturalnych i konieczności zmieszczenia swojego centrum na powierzchni Manhattanu wystrzelił ku niebu. W Chicago bardziej decydowały ambicje i prestiż. One dały mu znaną sylwetkę, w której dominują fantastyczne wieżowce, kiedyś należące do najwyższych budowli na świecie. Ten prestiżowy wyścig, kto zbuduje najwyższy budynek, Chicago czy Nowy Jork, dziś jest już nieaktualny. Tak naprawdę wyjątkowo wysoko buduje się obecnie tylko w Chinach i na Bliskim Wschodzie.

Miasta amerykańskie, dysponując niemal nieograniczoną powierzchnią do swojego rozwoju, rozlały się na gigantyczną skalę. Atlanta ze swoimi trzema milionami mieszkańców zajmuje tyle samo miejsca co osiem największych miast azjatyckich o łącznej ludności ponad 100 milionów. Na terenie Wielkiego Los Angeles, zamieszkiwanego w 2010 roku przez ponad 13 milionów ludzi i gdzie kursowało prawie siedem milionów samochodów, zmieściłby się Wielki Pekin z 21 milionami mieszkańców i z pięcioma milionami samochodów. W granicach administracyjnych miasta Los Angeles dałoby się bez najmniejszych problemów i dużą rezerwą wcisnąć siedem wielkich amerykańskich miast (Boston, San Francisco, Cleveland, Saint Louis, Minneapolis, Milwaukee, Pittsburgh) plus nowojorski Manhattan.

Najbardziej widowiskowym sposobem odkrycia fizycznej wielkości Los Angeles jest nocny rejs samolotem lecącym z zachodu – czyli z Hawajów lub z kierunków azjatyckich. Po wielu godzinach podróży nad ciemnym Pacyfikiem, gdzie nie można dostrzec choćby najmniejszego punktu świetlnego, nagle na horyzoncie pojawia się iskierka. Małeńki jasny punkt na tle smołowatego i

przepastnego Pacyfiku w kilkadziesiąt minut zamienia się w ogromną rozżarzoną powierzchnię, która jest niczym innym niż naszym celem podróży, pierwszym i od razu jednym z najważniejszych miast Zachodu – Los Angeles. Podziwianie tego oświetlonego molocha, który rośnie z minuty na minutę, ułatwia fakt, że podchodzenie do lądowania na głównym porcie lotniczym Los Angeles (LAX) – wymaga kilku zamaszystych zakrętów i zrobienia końcowego, ogromnego łuku nad rozświetlonym miastem. Ostatni, gwałtowny skręt samolotu, ustawiający jego pozycję na wprost pasów lotniska, które są oddalone już „tylko” 25 kilometrów, następuje tuż nad samym centrum miasta.

Z reguły w kabinie zalega cisza. Wszyscy pasażerowie, nawet ci, dla których lot do Los Angeles nie jest nowością, z nosami przyklejonymi do maleńkich okien samolotowych podziwiają fantastyczny pokaz światła. Jedyne fragmenty miasta, które nie świecą się jak orientalny lampion, to ciemne kontury Pacyfiku i gór San Gabriel. Pod samolotem iskrzą się miliony świateł jak na powierzchni szlachetnego diamentu. To morze światła przecinane jest przez szereg 10-, 12-pasmowych autostrad wypełnionych masą samochodów. Ze swoistą gracją płyną one autostradowymi wąwozami, które przypominają ogniste strumienie lawy toczące się po stokach aktywnego wulkanu.

To wielkie widowisko, spektakularny sposób, w jaki miasto prezentuje się przybyłym podróżnym, nie kończy się o świcie. W ciągu dnia w pełnym słońcu Los Angeles również pokazuje swoją nieprzeciętną wielkość. Jeśli podróżuje się ze wschodu, to znaczy z głębi USA lub z Europy, już godzinę przed wylądowaniem zaczyna się obserwować wyjątkowe widowisko.

Wielka, spieczona słońcem martwa pustynia Mojave przynębia swoim pustkowiem. Nawet mijane z wysokości paru kilometrów Las Vegas przypomina zasypyany przez piasek pustynny posterunek. Nagle pustynia ustępuje miejsca górzystemu łańcuchowi. Tym, co wywołuje jednak zdziwienie, jest fakt, że w tych,

wydawałoby się dzikich górach, na tle ciemnej roślinności widać od czasu do czasu małe, jasne, błękitne punkty. W tym, wydawałoby się, niedostępnym terenie lśnią baseny należące do lotniskowych posiadłości zbudowanych na górskich zboczach. To jest pierwszy sygnał, że dzicz i pustka Zachodu, które towarzyszyły pasażerom od kilku godzin, się kończą. W ciągu kilkudziesięciu minut można się przenieść znad martwej pustyni przez imponujące góry do bezgranicznego, absurdalnie gęsto zabudowanego obszaru urbanistycznego. Rozpoczyna się prezentacja wielkiej diwy – Los Angeles.

Ten ogromny zurbanizowany teren należy do pięciu hrabstw, czyli do odpowiedników pięciu polskich powiatów. Na terenie tych hrabstw leży wiele miast z listy 100 największych w USA: Anaheim, Long Beach, Riverside, San Bernardino, Santa Ana. Każde z tych anonimowych dla większości nie-Amerykanów miast jest wielkim ośrodkiem zamieszkanym przez 250–500 tysięcy Kalifornijczyków. Ich granice całkowicie zlewają się z niewiele mniejszymi miastami, takimi jak: Santa Monica, Burbank, Pasadena, Glendale, Culver City, Inglewood, Beverly Hills. Do tego już gigantycznego organizmu miejskiego trzeba dodać samo Los Angeles, które ze swoimi czterema milionami mieszkańców jest drugim co do wielkości miastem USA.

Wśród najludniejszych amerykańskich obszarów metropolitalnych tak zwane Wielkie Los Angeles znajduje się na drugim miejscu (ponad 13 milionów mieszkańców), ustępując tylko liczbą mieszkańców Wielkiemu Nowemu Jorkowi, który jednak rozpościera się na obszarze aż czterech stanów USA.

Jadąc z północnych do południowych granic obszaru metropolitalnego Los Angeles trzeba przejechać ponad 120 kilometrów. Z zachodu na wschód jest jeszcze dalej i trzeba być przygotowanym do spędzenia ponad dwóch godzin na zatłoczonych autostradach.

Na zdjęciu zrobionym przez astronautów z pokładu promu kosmicznego Endeavour w roku 2000 widać całą wyżynę Los Ange-

les jako obszar kompletnie wypełniony. Jedynymi przerywnikami na tej powierzchni ziemi, kojarzącej się z aluminiową przykrywką, są ciemniejsze góry San Gabriel oddzielające miasto od pustyni Mojave, półwysep Palos Verdes i góry Santa Monica. Niecodzienna wielkość i intensywność zabudowy tego organizmu miejskiego powoduje, że powszechna jest opinia, iż Los Angeles i południowa Kalifornia reprezentują głęboko niepokojącą fazę w historii urbanistyki. Nigdy wcześniej tak rozrzucona zabudowa różnorodnego typu niskich budynków nie eksplodowała tak, bezpardonowo szybko i bezsensownie.

Miasto szokuje również swoimi konturami. Wygląda tak, jakby powstawało przez doklejanie do niego przypadkowych fragmentów okolicznych terenów. Dwa porty morskie (San Pedro i Long Beach) połączone są z centralnymi dzielnicami miasta za pomocą wąskiego pasa ziemi (800 metrów szerokości i 24 kilometry długości!), który nazywany jest przez miejscowych *Shoestring*, czyli sznurówka. Sprawia ona komiczne wrażenie, jakby tereny portowe dyndały przyczepione do masywnego korpusu miasta. Jest to jeden z efektów wchłaniania przez miasto innych jednostek administracyjnych w ciągu ostatnich 100 lat. Ten proces był chaotyczny. Tylko w latach 1859–1930 miasto Los Angeles dokonało siedemdziesięciu ośmiu wchłonieć innych miast lub terenów podmiejskich. Aby pozyskać nowe tereny, miasto używało skutecznej perswazji w formie obietnic dostawy energii elektrycznej po najniższej cenie, nieograniczonej dostawy wody i silnego ramienia miejskiej policji. Miasto ze swoją rosnącą pozycją – wielkiego producenta samochodów, samolotów, stali i filmów – gwarantowało również atrakcyjne miejsca pracy dla mieszkańców okolicznych terenów.

Efektem tych zachęt jest dzisiejsze Wielkie Los Angeles. Tworzą go dziesiątki miast i inne typy organizmów miejskich. Wśród nich są takie, które w dalszym ciągu formalnie nie wchodzą w skład Los Angeles. Do nich należą między innymi Santa Monica,

Beverly Hills, Culver City, które tak w przeszłości, jak i obecnie robią wszystko, aby być postrzegane jako część wielkiego magnesu, jakim jest Los Angeles. Jednocześnie izolują się, bojąc się zostać wchłonięte przez tego kolosa i wymazania ich z mapy miast amerykańskich. Los Angeles jednocześnie przyciąga i odrzuca. Nie jest i nie funkcjonuje jak normalne miasto. Los Angeles jest raczej pojęciem, które mieści w sobie wszystkie typy i warianty miejskiej społeczności. Takich jednostek jest 87: miast, dzielnic i osiedli będących zarówno obszarami niemunicipalnymi, jak i municipalnymi.

Bez względu na to, jakie południowokalifornijskie miasto planuje się odwiedzić, np. Santa Barbara na północy czy San Diego leżące kilkaset kilometrów na południe, prawie zawsze pierwsze kroki kierowane są do Los Angeles.

Nad miastem panuje niezwykła aktywność lotnicza. Samoloty przygotowujące się do lądowania na centralnym lotnisku obniżają swoje loty w równoległych korytarzach powietrznych. W niektórych porach dnia ruch jest tak intensywny, że z pewną dozą przesady można powiedzieć, że na lotnisko leci jeden samolot za drugim, skrzydło w skrzydło. Piloci w czasie zbliżania się do portu lotniczego Los Angeles International niejednokrotnie tłumaczą zdumionym pasażerom, dlaczego podchodzenie do lądowania trwa aż tak długo, mimo że miasto jest widoczne za oknami już od dłuższego czasu. Miasto, które pasażerowie samolotów obserwują długo przed wylądowaniem, to największy teren metropolitalny w USA, dwukrotnie większy niż Nowy Jork i trzykrotnie większy niż Chicago. Można powiedzieć, że jest to L.A. – Land, ale jeszcze nie miasto Los Angeles.

Każdego dnia tysiące turystów z całego świata lądują na Los Angeles International lub, jak większość mówi, na LAX – modnej nazwie przyklejonej do miasta, która została wylansowana przez niezliczoną ilość filmów, programów telewizyjnych, programów typu reality show, muzycznych wideoklipów lub tysiące amator-

skich filmików na YouTube. Wszystkie one eksponowały ten trzy-literowy kod identyfikacyjny portu lotniczego, który stał się symbolem światowości, rzeczywistości celebrytów – zarówno tych autentycznych, jak i ludzi znanych tylko z tego, że „są znani z tego, że są znani”.

Wcześniej w historii imiona miasta były trochę bardziej fantazyjne niż kod IATA (Międzynarodowe Zrzeszenie Przewoźników Powietrznych). Los Angeles było po prostu Miastem Aniołów. Z racji fantastycznego klimatu mówiono też o Mieście Kwiatów i Słonecznego Światła (ang. City of Flower and Sunshine). Chęć porównywania się do niedoścignionego wzoru, jakim kiedyś był Nowy Jork, znanego na całym świecie pod przydomkiem Big Apple, była źródłem stworzenia i lansowania nazwy Wielka Pomarańcza (ang. The Big Orange) odwołującej się do wielkich gajów pomarańczy, które kiedyś otaczały miasto. Pod koniec lat 20. XX wieku zaczęto używać określenia kojarzonego z nowym produktem sprzedawanym przez miasto nie tylko w USA, ale i na całym świecie. Miasto z pełną powagą zaczęło nazywać się „światową stolicą rozrywki” (ang. The Entertainment Capital of the World). Dzielnica miasta nazywana Hollywood stała się synonimem nowej namiętności XX wieku – filmu i związanych z nim wystawności, piękna i bajecznej rzeczywistości. Z czasem Los Angeles stało się pożądaną przez wszystkich błyskotką – Tinsel.

Dziś miasto w dalszym ciągu absorbuje uwagę ludzi, którzy nieprzerwanie próbują je zdefiniować i nadać mu kolejne oryginalne nazwy. W 2011 roku ceniony *The Oxford English Dictionary* postanowił oficjalnie wprowadzić do słownika języka angielskiego nowe określenie. W nowych wydaniach słowników pojawiło się hasło „La-La Land”. Tak zdefiniowano to określenie: „może odnosić się do Los Angeles (w tym przypadku na jego etymologię mają wpływ inicjały miasta) albo do specyficznego stanu bycia w kontakcie z rzeczywistością. Czasami dotyczy to obu znaczeń jednocześnie”. I choć definicja Los Angeles jako La-La Land

nie zdobyła jeszcze szerszej popularności, to jednak sama myśl przewodnia, która leżała u podłoża stworzenia tego pojęcia, jest zrozumiała. La-La Land miał być słonecznym miejscem, gdzie wszystko jest zabawne i widowiskowe, gdzie życia nie bierze się nazbyt poważnie, a mieszkanie tu oznacza częściowe zatracanie kontaktu z rzeczywistością.

Bez względu na to, skąd się przyjeżdża i jaki jest cel pierwszej podróży do Los Angeles, można założyć, że głównym celem tej wyprawy nie jest poznanie czegoś nowego, odkrycie czegoś oryginalnego i nieznanego, czegoś, czym można zaskoczyć przyjaciół lub niespodziewanie pochwalić się na forum publicznym.

Kiedy pojedzie się na przykład do Detroit, można wrócić do domu zaszokowanym tym, co się zobaczyło. Częściowo znany i oczekiwany obraz miasta w kryzysie po osobistej wizycie przekształci się w traumę będącą odpowiedzią na to, co zobaczyło się w mieście, które jest świadectwem największej katastrofy urbanistycznej Ameryki.

Po powrocie z Las Vegas prawdopodobnie też będzie konieczna weryfikacja powszechnie znanego obrazu pustynnej oazy taniej rozrywki i niewybrednych gustów. Nowym obrazem będzie wspomnienie z wyrafinowanego, bezpiecznego i luksusowego rajy dla hedonistów zaspokajającego wszelkie zachcianki i wyobrażenia o atrakcyjnym spędzeniu wolnego czasu.

Do Los Angeles najczęściej nie jedzie się z misją odkrycia czegoś nowego. Większość gości, którzy tu przybywają, ma mocno zakorzenione przekonanie, że wiedzą, czym jest Los Angeles. Miasto należy do najbardziej obfotografowanych i sfilmowanych miejsc na kuli ziemskiej. Przyjeżdża się tu po to, aby zweryfikować już wcześniej widziane obrazy. Zna się je z setek filmów, tysięcy programów telewizyjnych, z milionów zdjęć publikowanych w czasopiśmie i internecie. Często przekazują one obraz wiecznego kalifornijskiego lata, pomyślności, sławy, wielkich pieniędzy. Nierzadko pokazuje się je również jako odstraszający egzemplarz

dekadencji w planowaniu i funkcjonowaniu współczesnego miasta.

Dla niektórych przyjazd tu jest ciężkim przeżyciem, które ma potwierdzić ich wcześniejszy negatywny obraz miasta:

Nienawidził tego krzykliwego, wypełnionego spalinami Babilonu, jego niekończących się poplątanych autostrad, dziwnie wyglądających domów, brudnego, ciężkiego i dławiącego powietrza, narkotyków, alkoholu, rozwodów, rozwiązłości, butików z porno, lokali, gdzie sprzedaje się nagość, salonów masażu, zwariowanych ludzi w przedziwnych ubraniach, którzy jeżdżą dziwnymi samochodami i mają niezwykle fryzury. Tu można znaleźć taniość i zeszmacenie. Nawet rezydencje i wspaniałe restauracje były w stylu, który zniżał się do poziomu śliskiej produkcji filmowej. Czuł, że czasami ta taniość i tandeta bardziej go dotyka niż czyste zło. Jeśli jest się wiernym własnym wartościom, to można walczyć ze złem, lecz taniość i zeszmacenie osacza cię i drażni twoją duszę, nawet wtedy, gdy tego nie przeczuwasz[1].

Wielu wskazuje na Los Angeles jako miejsce, gdzie brakuje respektu i zrozumienia dla klasycznej kultury, gdzie panuje krajowy indywidualizm, chytrość, brak empatii dla ludzi słabszych, sztuczność w zachowaniu i wyglądzie osobistym. Jeśli do tego doda się doskonale ugruntowane mity o mieście przemocy i gwałtu, psychopatycznych mordercach w bogatych przedmieściach i świecie gangów w podmiejskich gettach, z którymi walczą bezowocnie sadystyczne siły policyjne, to obraz jest druzgocący.

Dla cyników miasto jest wdzięcznym obiektem kpin. Ich spojrzenie na Los Angeles dobrze opisują następujące definicje zamieszczone w *Urban Dictionary*.

Jest to jedyne miejsce na świecie, gdzie ktoś jedną ręką jest w stanie uformować „linę” narkotyków, trzymając w drugiej ręce komórkę, czytając jednocześnie gazetę i popijając latte. Wszystko to w trakcie jazdy 140h/godz. po prawym pasie autostrady.

Ktoś inny zauważa, że:

Jest to ogromna zagmatwana masa autostrad i dróg, ale również, jak mówią plotki, w jego [Los Angeles] skład podobno wchodzi prawdziwi ludzie i domy.

Los Angeles – miasto w stanie Kalifornia. Leży oddalone lata świetlne od Ziemi. Smog, ruch drogowy, przeludnienie, skorumpowane gliny, bogate i elitarne snoby, wrogo nastawieni biedni oraz zwariowani szaleńcy z Hollywood czynią z Los Angeles niebo, w którym wiele dusz zginie. To miejsce jest ilustracją historii, jak piękna pocztówka stała się straszną pomyłką.

Bardziej łagodną formą krytyki może być stwierdzenie, że miasto potrafi stwarzać problemy:

L.A. przypomina mi przyjaciela, który bez pukania łąduje się do twojego domu i zjada wszystko, co masz w lodówce. Nie możesz skończyć narzekać na niego, kiedy jest u ciebie, ale kiedy on wyjedzie, życzysz sobie, aby cię odwiedził i podenerwował.

L.A. ma tyle koloru i radości w sobie, że potrafi być irytujące.

Los Angeles to jest ten eksces, mit, marzenie, apogeum i przyczajona tragedia. Wszystko to jest powiązane ze sobą w jedno. Przerażające jest bycie tu, ale nie ma nikogo, kto nie chciałby tu być.

Los Angeles ma niezliczoną ilość przyklejonych „łatek”, które w większości są krytyczne. Nie jest rozpieszczanym miastem, w którym wszyscy są zakochani i wpadają w ekstazę na sam dźwięk wymawiania ich nazw. Takimi pupilkami są: Nowy Jork, San Francisco, Londyn, Paryż lub Barcelona.

Dla wielu Miasto Aniołów jest miejscem, gdzie nie zetkniesz się z prawdziwą kulturą (w domyśle – z europejską kulturą). Jest to miejsce pozbawione historii godnej pochylenia się nad nią, pomimo że Los Angeles jest starsze niż Chicago, Atlanta czy stołeczny Waszyngton. Miasto rzekomo nie ma nawet centralnego punktu, typu nowojorski Times Square. Natura miasta jest monotonna, pozbawiona soczystej zieleni, a klimat skazuje cię na życie w jednej, prawie niezmienniejącej się porze roku.

Los Angeles ma być równie naturalne i harmonijne jak lalka Barbie, która pochodzi właśnie z tego miasta. Równie piękne jak napompowane ciała młodych kobiet, które każdego roku w liczbie 100 tysięcy stają się klientkami miejscowych klinik piękności specjalizujących się w poprawianiu ciał, a szczególnie w *boob jobs*. Rezultaty pracy tych klinik z zasady nie przypominają efektów, jakie udało się uzyskać przez operacje Halle Berry lub Scarlett Johansson. Stają się częściej wstydliwą reklamą Silicon City, za jakie uważa się miasto.

Sami mieszkańcy potwierdzają, że jest to twarde miejsce do życia, które być może nie pasuje każdemu. W jednym z badań z 2010 roku stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że Los Angeles należy do przysparzających najwięcej stresów spośród miast amerykańskich. Pierwsze miejsce okupuje tragiczne Detroit, ale za nim już jest miejsce dla Miasta Aniołów. Pięć lat później ten fakt potwierdził się ponownie, z tą tylko różnicą, że najbardziej stresogennym miastem stało się miejsce, które z założenia powinno być najbardziej relaksujące i uszczęśliwiające na naszej planecie. Pierwsze miejsce zajęło Las Vegas, a tuż za nim uplasowało się jak zawsze Miasto Aniołów. Nawet kalifornijskie słońce nie pomogło i miasto zostało sklasyfikowane na mało zaszczytnym drugim miejscu wśród 50 metropolii z racji wysokich kosztów mieszkań, słabego wzrostu zarobków, zanieczyszczenia powietrza, wysokiego bezrobocia, zubożenia części mieszkańców i wysokiej przestępczości.

Na domiar nieszczęść sprowadzanych przez ludzi miasto można również opisać poprzez prosty katalog katastrof naturalnych, które już nawiedziły miasto lub nieodwołalnie je w najbliższym czasie nawiedzą. Tu należy być gotowym na: pożary, powodzie, trzęsienia ziemi, susze, wichury oraz to, co już ludzie sami stworzyli – legendarny smog będący wynikiem pracy silników milionów samochodów krążących po mieście.

Według krytyków, zarówno stali, jak i tymczasowi mieszkańcy miasta ogarnięci są obsesyjnym aspirowaniem do osiągnięcia rzeczy i stanów, które są tylko nierealnymi mrzonkami.

Ludzie ci, zamiast żyć w rzeczywistości, próbują przenosić się do innych światów, gdzie rządzi joga, medytacja i egzotyczne religie i sekty. Jednocześnie każdy chce być „hot, gorgeous, pretty, beautiful, cute and attractive”.

Mimo wszystkich deprymujących etykietek przyklejanych miastu ma ono stale rosnącą grupę zatwardziałych miłośników, którzy nie oszczędzają superlatywów mogących opisać, z jakim miastem mamy do czynienia:

Ktoś, kto pojechał do Europy, aby zobaczyć żyjącą jeszcze historię, musi odwiedzić południową Kalifornię po to, aby zobaczyć tworzącą się przyszłość.

Jest to miasto, które można uznać za mikrokosmos całej naszej planety ze względu na architekturę, skład etniczny, politykę i położenie geograficzne. Cały ten mikrokosmos można przestudiować na jednym miejscu, gdyż jego terytorium rozpościera się na przestrzeni, którą można pokonać w 2 godziny jazdy samochodem[2].

Zwolennicy zwracają uwagę na Los Angeles jako niezawodną przystań liberalizmu, na jego otwartość na nowych ludzi i ich oryginalne pomysły na życie. Akceptacja nietuzinkowych postaci i ich kreatywności, liberalność wobec nawet radykalnych idei – to podstawowe powody, dzięki którym właśnie tu powstaje większość światowej popkultury i duża część kultury klasycznej. Niekwestionowany dorobek współczesnego świata kultury: muzyka, literatura, film, telewizja, wzorce i style życia powstają i objawiają się światu właśnie tu.

To, co stanowi fundamentalny dorobek współczesnego świata, taki jak mass media, komunikacja, Internet, komputeryzacja, narodziło się właśnie w Los Angeles i w okolicznych terenach Kalifornii. W 1969 roku Leonard Kleinrock z Uniwersytetu Kalifornijskiego

skiego UCLA wysłał pierwszy sygnał tego, co później nazwano Internetem.

To, że stało się to właśnie w 1969 roku, jest na swój sposób symboliczne. W tym roku Amerykanie wylądowali na Księżycu. To największe osiągnięcie techniczne XX wieku w dużej części rodziło się w zakładach lotniczych Kalifornii i Los Angeles. Kiedy dobiegło końca, a tym końcem było szczęśliwe pierwsze lądowanie Apollo na srebrnej planecie, miasto ruszyło z następnym projektem, który 20 lat później będzie miał jeszcze większe znaczenie w życiu człowieka i stworzy nowy globalny, digitalny świat.

Miasto jest jednym wielkim laboratorium, gdzie wymyśla się rzeczy fundamentalne dla współczesnego świata. Niektóre były tak nowatorskie, że po szerszym zastosowaniu stawały się prawdziwymi katastrofami. Takim pomysłem było lansowanie społeczeństwa przykutego do samochodów, które miały być podstawowym środkiem komunikacji. Los Angeles jest jednak na tyle innowacyjne, że potrafi znaleźć sposoby na poprawkę tego, co samo wcześniej wymyśliło.

Przedstawiciele ruchów ekologicznych, którzy uważają Los Angeles za miasto stworzone przez szatana, przyznają, że tu rodzi się duża część dobrych pomysłów na odnowę ekologiczną współczesnego świata i tu po raz pierwszy stają się one praktycznie obowiązującym standardem.

Już na początku lat 80. XX wieku Los Angeles wprowadzało w życie projekty i regulacje prawne dotyczące ekologicznego budownictwa, alternatywnych źródeł energii i bioenergii. To w Kalifornii wprowadzono najostrzejsze standardy ograniczające zanieczyszczenie powietrza, wody oraz zaczęto kwestionować sensowność rozbudowy energii jądrowej. Objęto ochroną prawną wybrzeża jezior, oceanu, mokradeł, ziemi. Do dnia dzisiejszego złamanie tych przepisów oznacza katastrofę dla każdej, nawet najpotężniejszej firmy. Skandal z diesłowymi silnikami Volkswagena w 2015 roku i możliwość pojawienia się na całym świecie żądań o

odszkodowanie nie przeraża tak bardzo firmy z Wolfsburga, jak oskarżenie z publicznego powództwa stanu Kalifornia. Wielkość odszkodowania, która dziś jeszcze nie jest publicznie znana, może być tak gigantyczna, że może odesłać na śmietnik historii silniki dieslowe i ambicje Volkswagena stania się największym producentem samochodów na świecie.

Los Angeles ma opinie miejsca trywialnego, jednocześnie to, co tu powstaje, wszystkie jego „porażki”, są najbardziej pożądanymi rzeczami w miastach całego świata. Są kopiowane wszędzie. Jest to epidemia spowodowana zarażeniem się „L.A. wirusem”, którego wszyscy się boją, a jednocześnie wszyscy chcieliby być jego nosicielami.

Każdego roku 300 tysięcy ludzi przyjeżdża tu z zagranicy z myślą o pozostaniu. Przejeżdżają po to, aby zaspokoić swoje wielkie ambicje, być świadkiem lub częścią czegoś, co już zostało uznane za sukces. Pobyt tu ma być dowodem na to, że jest się człowiekiem sukcesu i że Los Angeles jest częścią ich historii życia. Wizyta może trwać dwa, trzy dni lub parę lat. Odbicie stempla Los Angeles we własnym życiorysie jest potrzebne do stworzenia atrakcyjnego CV mającego pomóc w osiągnięciu powodzenia w życiu osobistym lub zawodowym.

Południowa Kalifornia stała się ważnym kierunkiem najbardziej ekspansywnej gałęzi gospodarki świata – turystyki. Nie mówimy tu o turystyce w XX-wiecznym rozumieniu. Mówimy tu o masowej turystyce XXI wieku. Co ona oznacza, najlepiej można się przekonać po wyjściu z dworca lotniczego w Los Angeles. O każdej porze doby przez cały rok natknąć się tu można na niezliczone tłumy turystów. Ten masowy napływ ludzi jest tak potężny, że nawet to relatywnie nowe lotnisko nie jest w stanie ich obsłużyć. Brakuje tam zawsze: wózków bagażowych, miejsca na chodnikach, gdzie można tych wózków używać, miejsc na wysepkach, na których można zaczekać na hotelowe autobusy, taksówki i limuzyny. Nie ma miejsca na twoje bagaże, nie ma miejsca na ulicy,

gdzie może zatrzymać się autobus mający zabrać pasażerów do hoteli i wypożyczalni samochodów. Jeśli takie miejsce się znajdzie, to wkrótce okaże się, że nie ma miejsca, żeby autobus mógł ruszyć. Wcześniej nie było slotu na lądowanie twojego samolotu i pomostu do jego rozładowania. Trzeba być przygotowanym na to, że zabraknie miejsca na twój samochód przed hotelem i biletów na twój ulubiony show, który chciałeś obejrzeć od wielu lat. Tłum, ścisk i stres jest wiernym towarzyszem od pierwszych chwil w Mieście Aniołów. Mimo to do tej wieży Babel każdego roku przyjeżdża ponad 40 milionów ludzi z całego świata.

Jak każde wielkie miasto Los Angeles pokazywane jest przez pryzmat dwóch radykalnie różnych optyk. Z jednej strony stoją bezlitośni krytycy, z drugiej – zafascynowani entuzjaści. Dla jednych, szczególnie tych z Europy, miasto reprezentuje to, za co na starym kontynencie najbardziej nienawidzi się Ameryki – naturalne środowisko zdegradowane przez sieć autostrad i popkulturę, która wciska się w każdy zakątek naszej planety. Dla entuzjastów jest to niewyczerpane źródło twórczej energii, które tworzy rzeczy stające się własnością ludzi na całym świecie.

Los Angeles jest potrzebne światu jako obiekt, który się nienawidzi lub bezgranicznie podziwia i pożąda. Takie uczucia mieli nasi rodzice, to czujemy my sami i tak będą myślały nasze dzieci i wnuki. Zarówno ci niepoprawni entuzjaści, jak i zacięci krytycy będą bardzo zawiedzeni po swojej pierwszej wizycie w mieście. Los Angeles nie wygląda tak, jak sobie je wyobrażamy i jak prezentuje się w telewizji. Los Angeles nie jest również tym, co sugerują sceptyczni recenzenci. Jest to miejsce o wiele bardziej skomplikowane, wyjątkowe, którego nie można skwitować parosekundowym filmem z zakorkowanej autostrady lub portretem ludzi koncentrujących się na „parciu na szkło, sławę i zielone”. To jest prawdziwa legenda, historyczna perła i zagadkowa przyszłość USA.

Miastu Los Angeles nigdy nie przyznano tytułu „All-America City” mającego być potwierdzeniem takich pożądaných wartości, jak: „tworzenie wspólnoty mieszkańców, sprostanie wyzwaniom czasów i osiągnięcie niezwykłych rezultatów”. Brak uznania ze strony szacowanej ponadstuletniej organizacji The National Civic League, która przyznaje ten tytuł, jest niezrozumiałe. To miejsce jest niezaprzeczalnym fenomenem, który jest ważny nie tylko dla społeczności amerykańskiej, ale wpływa na naszą globalną rzeczywistość, nawet jeśli toczy się ona tysiące kilometrów od Los Angeles.

EL PUEBLO I POCIĄG OD RAMONY

Przed 234 latami Los Angeles było tylko małą osadą z imponującą nazwą składającą się z 14 słów (El Pueblo de Señora la Reina de los Ángeles del Río de Porciúncula) i minimalną liczbą mieszkańców (dokładnie 44 dusz) zagubioną gdzieś na terytorium wielkiej zamorskiej prowincji w hiszpańskim Nowym Świecie. Kalifornia była tak oddalona i słabo poznana, że w Europie uważano ją za niedostępną... wyspę. Jej nazwa miała być związana z mityczną ciemnoskórą amazonką Calafią, która rządziła tą wyspą zamieszkaną przez czarne, powabne, ale niezmiernie wojownicze kobiety. Jeszcze na początku XVIII wieku publikowano w Europie błędne mapy pokazujące, jak dostać się na tę odległą wyspę. Legenda o wyspiarskiej Kalifornii była tak powszechna, że w 1747 roku król Hiszpanii Ferdynand VI był zmuszony do oficjalnego ogłoszenia informacji, że Kalifornia nie jest wyspą.

W XVIII i na początku XIX wieku garstka Hiszpanów została zesłana na to terytorium. Mieli oni zadbać, aby ta strategiczna ziemia nie wpadła w ręce konkurencyjnych mocarstw kolonialnych: Anglii, Francji lub... Rosji. Ten ostatni kraj wykazywał wyraźne zainteresowanie wybrzeżem Pacyfiku. W kierunku Kalifornii wędrowali i płynęli liczni myśliwi i rybacy z rosyjskiej Alaski. Hiszpanie obawiali się, że Rosjanie planują stworzenie „Nowej Rosji” na terenie Górnej Kalifornii, czyli terenu pokrywającego się z dzisiejszą amerykańską północną Kalifornią. Rosję jednak nie interesowała ziemia. Jej uwaga była skoncentrowana na Pacyfiku. W 1842 roku po wyłowieniu wydr i morsów i nieudanych próbach uprawy ziemi Rosjanie sprzedali teren i obwarowaną osadę

zwaną Fort Ross za 30 tysięcy dolarów i wycofali się na swoją, jeszcze rosyjską Alaskę.

W południowej Kalifornii rolę hiszpańskiego posterunku wojskowego pełniło niewielkie Pueblo nad brzegiem wątej rzeki Los Angeles. Miało ono, jak wiele podobnych posterunków rozsianych na tym wielkim terytorium, kontrolować ruchy konkurencyjnych eksploratorów. To zadanie od 1781 roku miało być wykonane przez paru osamotnionych żołnierzy, księży i Indian. Łącznie osiedliły się tu 44 osoby różnych ras i narodowości. Posterunek został nazwany Los Angeles. Była to skrócona wersja oficjalnej nazwy miasta, która z racji swojej rekordowej długości była trudna do wypowiedzenia. Nawet w tamtych czasach ludzie nie mieli czasu na używanie pełnej nazwy: Pueblo Matki Bożej Królowej Aniołów z Porcjunkuli.

W połowie XIX wieku miało miejsce wydarzenie, które wstrząsnęło sennym życiem tej prowincji. Drugiego lutego 1848 roku nastąpiło przejście Kalifornii przez Stany Zjednoczone. W tym dniu koszmarny sen Meksykanów, którzy wybili się na niepodległość spod panowania Hiszpanii w 1821 roku, sprawdził się, podobnie jak marzenie amerykańskich pionierów i polityków. USA ciągnące się od Atlantyku po Pacyfik stały się rzeczywistością.

Dotarcie do wybrzeża Pacyfiku i przejście Kalifornii było amerykańskim Oczywistym Przeznaczeniem (ang. Manifest Destiny), zgodnie z hasłem sformułowanym i użytym po raz pierwszy przez dziennikarza Johna L. O'Sullivana w 1845 roku. W jednym ze swych artykułów stwierdził on, że oczywistym przeznaczeniem jest przejście przez Stany Zjednoczone całego kontynentu północnoamerykańskiego. Idea ta, chociaż z początku wyglądała na czystą spekulację i fantazję, z czasem stała się ważną częścią programów politycznych i rosnącej szybko świadomości narodowej Amerykanów. Zdobyła ona wielkie poparcie wśród obywateli i jeszcze większe wśród spekulujących handlowców, szczególnie tych, którzy zaopatrywali w prowiant i narzędzia entuzjastycz-

nych pionierów udających się w coraz bardziej odległe na zachód ziemie kontynentu amerykańskiego. Wszyscy marzyli o dotarciu do mitycznej i zasobnej krainy: Kalifornii i Oregonu. Do tych miejsc tęskniła rodząca się klasa magnatów przemysłowych, którzy wierzyli w wielkie zyski po zasiedleniu Zachodu. Nadzieje mieli politycy, którzy myśleli, że nadwyżka ziemi stworzy szansę na łagodną likwidację niewolnictwa na Południu i szybkie przeniesienie ze Wschodu części mieszkańców i imigrantów, którzy żyli w coraz bardziej zatłoczonych i brudnych miastach. Amerykańscy farmerzy i nowo przybyli z całego świata liczyli na możliwość kupna taniej ziemi pod uprawę roli i wyzwolenia się z zakłętego koła biedy. Wiele grup religijnych widziało w rozległych terenach Zachodu szansę na ucieczkę przed fundamentalistycznymi naukami Kościoła katolickiego, anglikańskiego lub szwedzkiego. Na te tereny kierowali swoje oczy emigranci – rewolucjonści z okresu europejskiej Wiosny Ludów, czyli serii ludowych zrywów rewolucyjnych i narodowych, jakie miały miejsce w Europie w latach 1848–1849.

Amerykanie już wcześniej byli zainteresowani tym najbardziej na zachód wysuniętym terytorium kontynentu. Zgodnie z ówczesnymi praktykami i pamiętając o wcześniejszych udanych transakcjach, próbowano go po prostu kupić za żywą gotówkę.

Pierwsze próby kupienia Kalifornii przez rząd USA spotykały się z szyderstwem i lekceważącym uśmieszkiem meksykańskich urzędników rządowych i polityków, którzy nie wyobrażali sobie kształtującego się nowego Meksyku – dość niedawno wywalczonego po walce z kolonialną Hiszpanią – bez tego pustego, ale strategicznie ważnego terytorium. Jeden z amerykańskich urzędników rządowych, który miał za zadanie negocjować z Meksykiem ten zakup, nie mógł się oprzeć wrażeniu, jakie ta kraina na nim wywarła: „Kalifornia była najbogatszą, najpiękniejszą i najprzystajniejszą krainą na świecie”, dodając jeszcze, że „Zatoka San

Francisco była tak wielka, że można było w niej zacumować jednocześnie wszystkie floty świata”.

Nie miał on wątpliwości, że kiedyś w przyszłości San Francisco będzie kontrolowało handel całego wybrzeża Pacyfiku. Dziś San Francisco kontroluje nie tylko handel na Pacyfiku, ale i cały współczesny świat. Firmami, które są w każdym zakątku świata i uzależniają od swoich produktów prawie każdego człowieka na kuli ziemskiej, są: Apple, Google, Facebook i setki innych firm komputerowych, które mają swoje centrale na terenach położonych wokół zatoki San Francisco.

Po wojnie amerykańsko-meksykańskiej rozpoczętej w 1846 roku, której głównym powodem był konflikt o status Teksasu, Amerykanie tak „przy okazji” zrealizowali stare marzenie o Kalifornii. Dotkliwa porażka militarna Meksyku zmusiła to państwo do daleko idących ustępstw. Na mocy traktatu pokojowego (Traktat of Guadalupe Hidalgo) w lutym 1848 roku Meksyk był zmuszony do odstąpienia za 15 milionów dolarów terenów tworzących dziś stan Kalifornia, Nevada, Utah i fragmenty Wyoming, Arizony, Kolorado i Nowego Meksyku. Łącznie USA wzbogaciły się o terytorium o powierzchni 1 294 994 kilometrów kwadratowych, czyli czterokrotnie większe niż terytorium Polski.

Przejęcie Kalifornii przez USA było pierwszą eksplozją energii, która popchnęła tę krainę na całkiem nowe tory. Zarówno Kalifornia, jak i Los Angeles przez następne dziesięciolecia będą świadkami całej serii eksplozji, które, działając na podobnej zasadzie jak eksplozje w silniku spalinowym, będą produkowały nadzwyczajną moc i popychały to miasto i tę część USA do przodu. W kierunku potęgi, najpierw w skali regionu, kraju, a później w zdecydowanie szerszej skali półkuli zachodniej, a skończywszy na efekcie tych eksplozji, czyli dzisiejszej światowej dominacji w polityce, gospodarce i kulturze.

Ewolucja cywilizacyjna jest naturalnym procesem rozwoju każdego miasta, ale ta, która przeszła przez Los Angeles, była re-

kordowo szybka i radykalna. Nie trzeba było setek, lecz tylko dziesiątek lat, aby zmienić to miejsce z kolonialnej feudalnej idylli w rozwinięty region rolniczy, później w centrum industrializmu, następnie w postindustrialne miasto usług i centrum globalnego handlu i rozrywki.

Zmiana państwowości była tą pierwszą eksplozją energii, ale następne nastąpiły niezwykle szybko. Wręcz nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności było to, że dwa tygodnie przed formalną zmianą państwowości miało miejsce odkrycie największej ilości ludzi od setek lat – złota. Imponujący kawałek kruszcu wielkości paznokcia odkryty przez Jamesa Marshalla, właściciela tartaku na brzegu American River w dolinie Sacramento, rozgrzał do białości fantazję osadników kalifornijskich. Każdy mógł zdobyć wielką fortunę. Należało tylko podnieść ją z dna American River. Prawie bezludna Kalifornia zaczęła szybko przyciągać nowych mieszkańców. W lipcu 1848 roku, pomimo nieprawdopodobnych trudności dostania się drogą lądową lub morską, do Kalifornii przyjechało dwa tysiące osadników, miesiąc później cztery tysiące. Wobec wcześniejszej liczby mieszkańców owe cztery tysiące wydawały się ilością ekstremalną. Przekazywanie wiadomości o znalezieniu złota trwało jednak dość długo. W ówczesnych czasach nie była to kwestia dni lub tygodni, lecz całych miesięcy. Plotki o złocie kalifornijskim zaczęły krążyć na wschodzie już późną wiosną 1848 roku, lecz prawdziwy przełom nastąpił dopiero w grudniu tego roku. Urzędujący wtedy prezydent James Polk, który był zagorzałym zwolennikiem amerykańskiej ekspansji na zachód, oznajmił przed Kongresem, prawdą jest, że w Kalifornii znaleziono złoto. Po tym oświadczeniu Polk już nie musiał się martwić, czy znajdą się chętni do wyruszenia w niebezpieczną podróż na odstraszaający Dzikie Zachód. W 1849 roku wielka armia ludzi zmierzała w kierunku najbardziej wysuniętego na zachód kawałka USA. W ciągu następnych miesięcy tysiące młodych ludzi ze Wschodniego Wybrzeża opuściło w po-

śpiechu swoje domy i rodziny z nadzieją szybkiego powrotu ze zdobytą fortuną. Złoto miało dosłownie leżeć na ziemi i czekać na to, by ktoś chciał je podnieść. Tylko nieliczni zorientowali się, że prawdziwym złotem nie był utęskniony kruszec, lecz zwykłe łopaty, patelnie, brezent, gwoździe potrzebne do przeżycia w dziczy i wydobycia złota. Takimi ludźmi, którzy wyczuli wyjątkową koniunkturę, byli późniejsi baronowie kolejowi, którzy rozpoczynali swoje bajkowe kariery jako sprzedawcy i importerzy zwykłych produktów codziennego użytku.

Generacja młodych emigrantów ogarnięta gorączką złota została nazwana generacją „49” i stała się zalążkiem trwającej dziesiątki lat wielkiej emigracji na zachód. Tylko w 1849 roku 100 tysięcy ludzi, zarówno Amerykanów, jak i poszukiwaczy złota z całego świata, przyjechało do mitycznej Kalifornii. Po paru latach stała się ona obiektem pożądania, już nie tylko jako dzikie miejsce obfitujące w złoto, jedno z wielu dalekich terytoriów, z których wracało się z łupem w rodzinne strony. Teraz ta kraina stała się końcową stacją wielkiej wędrówki, której celem było znalezienie sobie nowego domu. Wszyscy chcieli, aby Kalifornia została uznana za pełnoprawny stan USA. Rok później, w 1850 roku, to życzenie się spełniło. Prędkość przemian była oszałamiająca. W 1847 roku Kalifornia była tylko prowincjonalnym kawałkiem Meksyku, w 1848 roku stała się częścią terytorium USA, a w 1849 roku zaczęła przyciągać na nieznaną wcześniej skalę nowych mieszkańców, by w 1850 roku stać się pełnoprawnym 31. stanem USA.

Na kolejną eksplozję, która miała wstrząsnąć Kalifornią i dać jej ponownie potężną moc przyciągania, trzeba było czekać tylko do 1860 roku. Grupa entuzjastów, lub jak inni ich nazywali fantastów, zaczęła snuć plany budowy linii kolejowej, która miała połączyć brzegi Pacyfiku i Atlantyku.

Z racji wielkiej odległości, przeszkód naturalnych, problemów technicznych i wielkich kosztów przedsięwzięcie to wyglądało na

czyste szaleństwo. Projekt wydawał się też całkowicie nie na czasie. USA było w przededniu wojny domowej, która groziła rozłamem państwa i katastrofą ekonomiczną. Stany Północy chciały utrzymać jedność USA, stany Południa chciały wybić się na własną niepodległość, która lepiej zabezpieczałaby ich interesy. Mimo niezliczonej liczby wyjaśnień i teorii, co do bezpośrednich przyczyn wybuchu wojny secesyjnej, oczywiste jest, że głównym powodem była niemożność porozumienia się dwóch różnych części społeczeństwa w sprawach tak fundamentalnych, jak rasa, wolność osobista i równouprawnienie. W wojnie secesyjnej życie straciło ponad 620 tysięcy żołnierzy, a więc ponad dziesięciokrotnie więcej niż w koszarnej wojnie wietnamskiej. Oprócz utraty obywateli zrujnowano kraj, a konflikt pozostawił niegojące się rany na ciele amerykańskiego społeczeństwa.

Mimo to w trakcie trwania wojny domowej ustalono pierwszy konkretny plan, jak taką linię kolejową na zachód można by wybudować. Plan był prosty. Chciano dać dwóm firmom: Union Pacific i Central Pacific prawa do zbudowania kolei w zamian za tanie pożyczki, państwowe darowizny ziemskie i prawa do eksploatacji surowców naturalnych. Za każdy kilometr wybudowanej linii kolejowej firmy te miały otrzymać 16, 32 lub 48 tysięcy dolarów w zależności od terenu, na którym położono by nowe tory. Uchwalona w 1862 roku Ustawa o kolei transkontynentalnej (ang. Pacific Railroad Act) była jednak bardzo nieprecyzyjna. Nie dopracowano wielu szczegółów. Przykładowo, nie wiedzano dokładnie, co, ile i kiedy obie firmy mają dostać w zamian za wybudowanie linii kolejowej i telegraficznej między rzeką Missouri a Pacyfikiem, a dokładnie między miastami Omaha (Nebraska) a Sacramento (Kalifornia). Nie ustalono nawet szczegółów, kiedy i przez kogo miała nastąpić przyszła spłata obligacji rządowych. Ważne było tylko to, żeby taka linia kolejowa mogła powstać tak szybko, jak to tylko było możliwe. Nadrzędnym celem była chęć natychmiastowej poprawy komunikacji pocztowej, transportu wojsko-

wego i ułatwienie eksploatacji bogactw naturalnych nowych stanów i terytoriów USA. Ten pośpiech i niedbałość wkrótce zaczęły kosztować rząd federalny fortunę. Poprawki do ustawy o kolei transkontynentalnej wprowadzone już dwa lata później podwyższyły stawki za budowę 1 mili (1,6 kilometra) torów do 24 tysięcy na terenie prerii, 48 tysięcy na terenie wyżyn i 96 tysięcy na terenie górskim. Również wielkość darowizn rządowych w formie ziemi została podwojona w stosunku do wcześniejszych ustaleń. Union Pacific budujący kolej od wschodniej strony i Central Pacific startujące od zachodu zapewniły sobie prawo do zajęcia bezpłatnie pasa transportowego wzdłuż całej planowanej drogi o szerokości około 120 metrów i otrzymały nadania ziemskie w formie działek leżących wzdłuż budowanych linii kolejowych. Od 1850 do 1871 roku kompanie kolejowe otrzymały od państwa 175 milionów akrów ziemi (71 milionów hektarów), a więc więcej niż wynosi powierzchnia stanu Teksas.

W poprawkach do ustawy o kolei z 1864 roku przekształcono również część obligacji (które trzeba było oddać po 30 latach) w pożyczkę pod hipotekę i pozwolono korporacjom kolejowym wyemitować własne.

Wszystkie te fantastyczne warunki finansowe zostały zaakceptowane przez rząd federalny w czasie, kiedy kraj był w trakcie najbardziej krwawego konfliktu zbrojnego w swojej historii. W tym samym czasie, gdy pracowano nad ustawą kolejową, uchwalono również Ustawę o osadnictwie (ang. Homestead Acts), co gwarantowało nowej linii kolejowej pewnych klientów w formie setek tysięcy obywateli, zarówno białych mężczyzn, jak i kobiet i byłych niewolników, chcących osiedlić się na Zachodzie, najczęściej w pobliżu budowanej linii i ziemi będącej własnością kompanii kolejowej. Pierwsza kolej transkontynentalna nie była tylko największym wyzwaniem technicznym owych czasów, ale być może najlepszym biznesem, jaki można było sobie wymarzyć w XIX wieku.

Kompanie kolejowe stały się możliwymi właścicielami ziemskimi i uzyskały nieznana w tych czasach siłę ekonomiczną i polityczną. Eksploatacja linii kolejowej nie stała się głównym źródłem dochodów, pomimo wyśrubowanych cen biletów, szczególnie za przewóz towarów. Przysłowiową górą złota stała się ziemia. Kompanie kolejowe mogły wpływać na rozwój lub upadek każdego miasta, szczególnie na Zachodzie. Przesunięcie linii kolejowej o kilkanaście kilometrów zgodnie z interesem kompanii kolejowej mogło zakończyć żywot najbardziej witalnych miast i osad. Biznesmeni kolejowi budowali własne miasta na całkowitym pustkowiu, np. takie jak Reno (Nevada) lub w miejscach, które były upatrzone ze względu na ich własne firmowe potrzeby, tak jak to było w przypadku Oakland (Kalifornia).

W okolicach budowanych tras kolejowych znajdowały się bogate złoża węgla, żelaza i innych kruszców, a także rosły wspaniałe lasy, które gwarantowały cenne drewno. Wszystko to stało się łupem kompanii kolejowych. Przebieg wielu linii był wytyczany na różne sposoby. Czasami biegły przez wielkie pustkowia, których można było uniknąć, lub gwałtownie z niewytłumaczalnych powodów – zataczały wielkie łuki albo rozgałęziały się w dziwny sposób. Jednakże przebiegały one przez tereny bogate w lasy, wodę, złoża węgla lub rud.

Prawdziwe eldorado nie stanowiły więc mityczne miasta ociekające złotem, lecz było nim posiadanie rozległych obszarów ziemskich darowanych przez rząd.

Pierwsi wielcy inwestorzy kolejowi, tacy jak: Collins P. Huntington, Thomas C. Durant lub Grenville Dodge, stali się ekstremalnie bogaci. Bossów kolejowych nazywano bohaterami, bo zdobyli dla Ameryki Zachód, kolonizowali dziewicze terytoria, umożliwiali transport produktów niezbędnych do przeżycia w dziczy, dostarczali ze Wschodu najnowsze dobra konsumpcyjne i innowacje, wywozili surowce i towary z zachodnich kopalń, farm, rancz i lasów. Mieli oni wielkie wpływy polityczne, ale również

coraz mniejszy respekt dla demokratycznych reguł młodej republiki.

Z jednej strony byli oni wychwalani pod niebiosa za realizację największego marzenia Amerykanów tej epoki, z drugiej strony stali się sławni z powodu swojej bezgranicznej chciwości, żądz władzy, korupcji, oszustw i manipulacji giełdowych. Senator ze stanu Massachusetts, George Hoar, powiedział wprost, że każdy krok Union Pacific Railroad, która budowała kolej transkontynentalną, od wschodniej strony był jednym wielkim oszustwem[3a].

Kompanie kolejowe dyktowały warunki, od których nie można było się odwołać. Ich właściciele dobrze wiedzieli, że podobnie jak w fortunach zarobionych na ropie naftowej, koksie, stali czy bankach liczyła się jedna rzecz, do której powinni dążyć – monopol. Sama linia transkontynentalna była „bezwartościowa”, jeśli nie stworzyło się monopolu na transport, budowę miast i posiadanie ziemi. Taki monopol udało im się zbudować. W ciągu kilkunastu lat Union Pacific i Central Pacific decydowały o każdym ważnym szczególe życia w zachodniej części kraju. Konkurencja była bez szans. O ile pozwalano na jakąkolwiek działalność gospodarczą na szerszą skalę, było to uzgodnione z monopolistami, czyli kompaniami kolejowymi. Jeśli nie było umowy z nimi, to „połykano” lub „zaduszano” każdą sensowną konkurencję.

To był koniec XIX wieku i kapitalizm był również dziewiętnastowieczny, z wszelkimi odrażającymi atrybutami. Budowa linii kolejowych, wielka spekulacja ziemią i surowcami naturalnymi była opisywana jako odrażający przykład chciwości, nieuczciwości, korupcji i egoizmu. Wśród zwykłych obywateli panowało powszechne przekonanie, że budowniczkowie kolei byli prawdziwymi Frankensteinami, którzy pożerali wszystko, co leżało w zasięgu ich wzroku. Byli po prostu „bezwzględni i nikczemni egoistami”. Dziki kapitalizm w stylu kompanii kolejowych był jednak niezwykle skuteczny w budowaniu potęgi gospodarczej młodych Stanów Zjednoczonych. Przyczyni! się on do leczenia ran po

wycieńczającej wojnie secesyjnej, szybkiego rozwoju przemysłu po jej zakończeniu, łagodzenia skutków potężnej depresji gospodarczej w połowie lat 70. XIX wieku. Stworzył on nowe możliwości życiowe dla milionów obywateli i imigrantów.

W czasie trwania dzikiego kapitalizmu utrwalił się amerykański etos pracy, w ramach którego powiedzenia: „potrafimy”, „dokonamy tego” nie były przechwałką, lecz realną obietnicą osiągnięcia tego, czego jeszcze świat nie widział.

Southern Pacific (który przejął Central Pacific) miał południową Kalifornię jak na dłoni. Miał taką moc, że mógł złamać każdą społeczność lokalną, kontrolować rozwój każdego miasta, każdej dziedziny gospodarczej. Doprowadzając linię kolejową w okolice miasta, często zatrzymywano prace i badano, ile miasto było gotowe zapłacić za podłączenie go do budowanej linii. Jeśli miasto odmawiało spełnienia warunków stawianych przez kompanię kolejową, kładziono tory 20, 50 lub 100 kilometrów od niego, budowano stację kolejową na pustkowiu lub zakładano własne miasta „kolejowe”. „Po pewnym czasie miasto, które odmówiło płacenia zażądanych pieniędzy, mogło obserwować swoje własne nieszczęście i upadek”[4].

W takiej właśnie sytuacji znalazło się Los Angeles, które około 1865 roku było w dalszym ciągu zakurczonym puebło, bez dobrej komunikacji i dostępu do odpowiedniej ilości wody gwarantującej stabilny rozwój i utrzymanie przy życiu pięciu tysięcy mieszkańców.

Southern Pacific planowało swoją nową linię na południe USA w kierunku Teksasu i Nowego Orleanu, ale z pominięciem Los Angeles. Trasa miała prowadzić przez centralną dolinę Kalifornii. Wytyczenie tej trasy przez tę pustą okolicę miało racjonalne wytłumaczenie. Tu łatwo, tanio i szybko układało się tory, a to było podstawą do otrzymania państwowych pieniędzy i nadań ziemskich. Tym, co jednak przekonało ich do zmiany trasy, była więcej niż hojna oferta Los Angeles. Za kolej miasto gotowe było oddać

łącznie 5% wartości mienia publicznego, które znajdowało się na terenie hrabstwa Los Angeles, plus 377 tysięcy dolarów, 6 akrów ziemi pod budowę stacji kolejowej i większość akcji w miejskiej kolei łączącej miasto ze strategicznie ważnym portem morskim w San Pedro.

Santa Fe Railroad (SF), nowy aktor kolejowy w Kalifornii, rozważał z kolei poprowadzenie trasy z Południa do Kalifornii, ale również nie do Los Angeles, lecz do pobliskiego San Diego. Mocne lobby wsparte „dotacjami” z kasy miejskiej przekonały SF, że końcową stacją powinno być Los Angeles.

Przełom, który zdecydował o losach miasta, nastąpił dopiero w 1876 roku, kiedy Los Angeles zostało połączone z San Francisco, stając się końcowym odcinkiem linii transkontynentalnej Southern Pacific Railroad (SP). To wydarzenie miało największe znaczenie dla rozwoju miasta od momentu przejęcia go przez Amerykanów. Potrzeba było tylko paru lat, aby miasto zaczęło odczuwać, jak ważna była inwestycja w kolej. W 1881 roku SP postanowiło zrobić krótki postój w Los Angeles pociągu ekspresowego podążającego z San Francisco do Nowego Orleanu. To był swoisty akt uznania i wpisanie Los Angeles na listę znaczących miast USA. Na końcowe potwierdzenie ważności miasta trzeba było czekać aż do 1903 roku. Pociąg ekspresowy Gold State połączył miasto z kolejową mekką i przemysłowym sercem kraju – Chicago.

Monopol SP na połączenia transkontynentalne został złamany w 1886 roku, kiedy Santa Fe Railroad dotarło z Południa swoimi pociągami do miasta.

W 1905 roku do miasta dotarły również pociągi San Pedro, Los Angeles and Salt Lake Railroad (SLR). W tym momencie system połączeń dalekobieżnych był skompletowany.

Kompanie kolejowe, które doprowadziły linie transkontynentalne do południowej Kalifornii, energicznie używały w swoim marketingu argumentów, że tylko one są w stanie bezpiecznie, szybko i tanio dowieźć Amerykanów do legendarnej krainy

słońca. Teraz nawet zwykli, niezamożni ludzie mieli możliwość skorzystania z wygodnej podróży. Niemal natychmiast do miasta zaczęły docierać duże grupy imigrantów z Midwestu (Środkowego Zachodu) i Wschodniego Wybrzeża. Przyciągały ich fantastyczne opowieści o cudownej naturze, niezwykle warunkach klimatycznych i taniej ziemi. Wszyscy mieli przed oczami orientalny świat, życzliwą hiszpańsko-meksykańską atmosferę dającą uczucie przebywania w dalekim kraju, mimo że wszystko działo się w granicach USA i świat ten rządził się amerykańskimi prawami i „mówił” po angielsku.

Wydarzenie, które szczególnie przybliżyło Amerykanom orientálną i daleką Kalifornię, nastąpiło w 1884 roku. Nie polegało na oddaniu kolejnej linii kolejowej ani wojnie czy fascynującym wynalazku. Tym dziejowym wydarzeniem było opublikowanie skromnej książki napisanej przez Helen Hunt Jackson i zatytułowanej *Ramona*. Była to romantyczna historia dotycząca dziejów pięknej dziewczyny o imieniu Ramona, sieroty po – bardzo oryginalnym jak na owe czasy – związku szkocko-indiańskim. Powieść osadzona w realiach południowej Kalifornii opisywała ciężkie życie i powszechną dyskryminację ludzi, którzy nie pochodzili w prostej linii od hiszpańskich i meksykańskich właścicieli wielkich rancz lub nie należeli do grupy białych osadników, którzy zaczęli powoli zaludniać te tereny po wojnie amerykańsko-meksykańskiej.

Książka była tak popularna, że miała aż 300 wydań. W ciągu pierwszych sześciu lat sprzedano 600 tysięcy egzemplarzy. Jak na te czasy był to astronomiczny nakład i rekordowe zainteresowanie. *Ramona* stała się bestsellerem na równi z innym, który opublikowano ponad 30 lat wcześniej. Oba zawładnęły wyobraźnią ówczesnych Amerykanów i stały się ważną częścią amerykańskiej legendy, która dotychczas unikała pewnych drażliwych tematów, mogących popsuć idealistyczny obraz postępowej Ameryki XIX wieku. Tą pierwszą pozycją była powieść *Chata wuja*

Toma (ang. *Uncle Tom's Cabin*) Harriet Beecher Stowe, która ze szczególną wrażliwością opisała życie, przemoc i bezwzględność, z jaką traktowano czarnych niewolników na amerykańskim południu. Książka ta miała tak wielki wpływ na ówczesną świadomość społeczną, że prezydent Abraham Lincoln miał w trakcie spotkania z Harriet Beecher Stowe powiedzieć: „To Pani jest tą drobną kobietą której książka stała się przyczyną tej wielkiej wojny [secesyjnej]”.

Lecz nie wątek krzywdy i niesprawiedliwości najbardziej fascynował czytelników *Ramony*. To, co ujęło wszystkich, to malowniczy opis Old California i romantyczne postacie żyjące w realiach hiszpańsko-meksykańskiej prowincji, która powoli przeobraża się w Stany Zjednoczone. Fascynacja nowymi czasami połączona z oczarowaniem hiszpańskim dziedzictwem i jego arystokratycznymi korzeniami była ogromna. Meksykanie odgrywali bardziej drugoplanową rolę. Najczęściej stanowili tylko malownicze tło. W świadomości ówczesnych Amerykanów byli oni konkurentami, antagonistami i kłopotliwymi sąsiadami. Ich główną rolą była ciężka praca za marne wynagrodzenie i rozwiązywanie prozaicznych problemów dnia codziennego ku zadowoleniu białych Angloamerykanów.

Popularność *Ramony* sprawiła, że wszyscy chcieli poznać miejsca, które tak barwnie w niej opisano. Wszystkich ujmował mityczny, bajkowy klimat kalifornijskiej prowincji. Przedsiębiorcy budowali miasta, drogi, rancza, które otrzymywały imię Ramona. Architekci tworzyli swoje projekty z myślą o miejscach opisywanych w książce. Komponowano utwory muzyczne – od poważnych oper do popularnych piosenek. Jeszcze w połowie XX wieku nadawano to imię hotelom, restauracjom, autostradzie i stacji kolejowej. W rosnącym w siłę Hollywood zrealizowano szereg filmów. Kolejne wydania książki często połączone były z intensywną reklamą ze strony Izby Handlowej i innych organizacji zainteresowanych ściąganiem do Kalifornii nowych mieszkańców.

Kampanie werbunkowe były prowadzone na terenie całego USA i prawie zawsze okazywały się bardzo owocne. *Ramona* stała się krokiem milowym w tworzeniu amerykańskiej tożsamości południowej Kalifornii.

Już pod koniec XIX wieku bogaci speculanci z San Francisco wykupili tysiące akrów ziemi leżącej wokół Los Angeles. Ziemia w dalszym ciągu była tania, a Los Angeles było w porównaniu z San Francisco skromnym miasteczkiem z około 10 tysiącami mieszkańców. Dotarcie do Los Angeles linii transkontynentalnej zmieniło wszystko. Dostęp do wolnej ziemi i skuteczna przedsiębiorczość agentów nieruchomości i deweloperów wywołały potężną falę imigracyjną nazwaną „boomem lat 80.”. Wielcy właściciele ziemscy i tysiące drobnych agentów nieruchomości odkryli Los Angeles jako miejsce do fantastycznych inwestycji. Poprzez ciągłe doskonalenie swoich metod sprzedaży deweloperzy stali się prawdziwymi mistrzami w spekulacji, marketingu i zwykłym manipulowaniu ludzkimi uczuciami.

Koleje Southern Pacific widziały siebie jako monopolistę, który miał dowieźć nowych mieszkańców do krainy *Ramony*. Było to zrozumiałe, gdyż posiadały 85% wszystkich linii kolejowych w Kalifornii i opisywane były przez współczesnych jako „ośmiornica”, której macki kontrolowały każdy zakątek stanu. Marzenie o lukratywnym monopolu skończyło się w 1885 roku, kiedy konkurencyjna Atchison, Topeka and Santa Fe Railway dotarła do granic Kalifornii, a później do samego Los Angeles. W ten sposób miasto stało się docelową stacją drugiej transkontynentalnej linii, tym razem dochodzącej od południa (przez Nowy Orlean), a nie z północy (przez San Francisco). Tak jak było do przewidzenia, dotarcie Atchison, Topeka and Santa Fe Railway do miasta spowodowało wojnę cenową, której skutkiem były obniżki cen biletów praktycznie z dnia na dzień. Za przejazd z każdego punktu doliny Missisipi do Los Angeles należało najpierw zapłacić 125 dolarów, później 80, 40, 25, a wreszcie nawet 15 czy 5 – po to, aby pewnego

dnia można było kupić bilet za symbolicznego 1 dolara. Była to zapłata za długą na parę tysięcy kilometrów podróż na zachód. Ta ekstremalna wojna cenowa nie stała się jednak katastrofą dla Southern Pacific i Santa Fe Railway, które zaczęły zarabiać potężne pieniądze w nowy sposób.

Do miasta przybywały tysiące ludzi szukających szczęścia w nowym raju entuzjastycznie opisywanym w każdej lokalnej gazecie na Wschodzie. Koleje nie zarobiły wprawdzie zbyt wiele na biletach, ale zbiły fortunę na sprzedaży nie tak dawno otrzymanej ziemi, tak z racji miejskich, jak i rządowych „darowizn”. Obaj konkurenci z imponującą sprawnością zaczęli budować swoje miasta wzdłuż tych linii, które były ich własnością.

Bilety kolejowe były tak tanie, że do miasta każdego dnia przybywały cztery wypełnione pasażerami pociągi transkontynentalne. Prawie wszyscy mieli wykupione bilety w jedną stronę. Ludzie nie przyjeżdżali tu, aby zobaczyć Kalifornię. Przyjechali po to, aby zostać tu na zawsze. Tylko w 1886 roku do miasta przybyło 120 tysięcy szukających szczęścia imigrantów. Miarą tego, jak wielki był napływ nowych ludzi do miasta, może być przyływ pieniędzy do kasy miasta z podatków. Przed rozpoczęciem się boomu migracyjnego lat 80. XIX wieku miastu udało się zebrać około 3 milionów dolarów z podatków. W marcu 1886 roku ta suma podskoczyła do poziomu 40 milionów, po to, aby w 1888 osiągnąć poziom 103 milionów.

O to, że miasto zasilane było przez całą armię nowych mieszkańców, zadbały nie tylko linie kolejowe, ale również dwa tysiące agentów nieruchomości sprzedających ziemię w okolicach miasta. Agenci nie przebiegali w formach zachęty i używali prostych, wyolbrzymionych, żeby nie powiedzieć zmyślonych opowieści o bez troskim życiu w nowym mieście. Przyjazd do Los Angeles miał być interesem życia z racji taniej ziemi, bliskości błękitnego oceanu, uzdrawiających wiatrów, słońca, które nigdy nie było przesłaniane przez chmury, i deszczu, który nigdy nie padał dokuczli-

wie. Sama ziemia była fantastycznie urodzajna, a jej owoce były w stanie zapewnić dobrobyt każdej rodzinie. Żeby przybysze czuli się jeszcze bardziej zachęcani do przeprowadzki, nowym terenom nadawano nazwy przypominające rodzinne strony imigrantów lub eksploatujące romantyczne stereotypy o południowej Kalifornii. Imigranci mogli zamieszkać na osiedlach ze swojsko brzmiącymi nazwami: Park Chicago, Cleveland lub w romantycznej Arkadii, Belwederze lub na Riwierze. Tylko kompania kolejowa Santa Fe stworzyła 25 miast oddalonych nie dalej niż 60 kilometrów od centrum Los Angeles. Kilkadziesiąt innych miast planowanych wzdłuż linii kolejowych nie ujrzało światła dziennego z powodu późniejszego kryzysu gospodarczego.

Ekspansja Los Angeles zawsze wiązała się z fantastycznym klimatem stworzonym przez wymarzone położenie. Miasto leży na wyżynie między wybrzeżem Pacyfiku a oddalonymi o kilkadziesiąt kilometrów łańcuchami górskimi. Ocean daje ochłodę, a góry przepuszczają nad swoimi wierzchołkami część gorącego powietrza z otaczającej pustyni, co stwarza przyjemną temperaturę przez większą część roku. W zimie góry chronią miasto przed ekstremalnymi mrozami panującymi na pustyni Mojave. Metaforycznie można powiedzieć, że tak jak w każdym nowoczesnym domu, również w Los Angeles jest „lodówka” i „centralne ogrzewanie”. W całym „mieszkaniu”/mieście panuje prawie zawsze stabilna temperatura pokojowa. W przypadku Los Angeles wynosi ona około 15–20 stopni Celsjusza w zimie i 25–35 stopni w lecie. Zasadniczo można odróżnić tylko te dwie pory roku: długie, suche lato (maj–listopad) i krótką, wilgotną i łagodną zimę (grudzień–kwiecień).

Na Zachód kierowała swoje pełne nadziei oczy specjalna grupa ludzi, którzy byli przekonywani, że mityczna natura i cudowny klimat Kalifornii czynią cuda. Tu wszystko miało być lepsze w odróżnieniu od cuchnących od śmieci i odchodów wielkich miast Wschodu. Słońce, wysokie góry, czyste jeziora i fale oceanu miały

dokonać cudów i przywracać ludziom zdrowie fizyczne. Największymi optymistami, którzy wierzyli w te cudowne zalety, byli schorowani ludzie – ofiary wielkiej i nieopanowanej w XIX wieku epidemii gruźlicy. Ówczesna medycyna nie mogła znaleźć środków medycznych na zwalczenie tej choroby, która była tak groźna, że w tym czasie odbierała życie co siódmemu obywatelowi Stanów Zjednoczonych. Lekarze, wśród nich Edward Trudeau, który sam był gruźlikiem, zalecał schorowanym ludziom przeniesienie się w góry lub nad morze, gdzie można było spędzać całe dnie na wolnym powietrzu. Taka kuracja miała uratować ludzi lub co najmniej wzmocnić ich organizmy do tego stopnia, że mogli oni rozpocząć od nowa normalne życie.

Na zachodzie USA zaczęły powstawać kurorty, które często miały w swoich nazwach słowo „Springs” – źródła, aby podkreślić dziewiczość i czystość otaczającego terenu. Ciągły spór o to, co bardziej leczy – morze czy góry? – rozstrzygnęło Los Angeles, które z racji fantastycznego położenia mogło uznawać się tak samo za kurort morski, jak i górski.

Na północnych rogatkach miasta rozwinęła się niewielka miejscowość Pasadena, która leżała kilkanaście kilometrów od leczniczych gór i niewielkiej odległości od plaż Pacyfiku. Przyjazd tu miał sprawić prawie cud, przywracając zdrowie i siły schorowanym osadnikom. To, co było nadzieją chorych, było jednocześnie problemem ludzi młodych i zdrowych zamieszkujących w mieście i okolicy. Publicznie skarżono się, że do miasta przyjechało tak wielu chorych i cierpiących ludzi, że stworzyli chorobotwórczą, a nawet śmiertelną atmosferę.

Niestety, niewielu wyzdrowiało. Większość doświadczyła bolesnej prawdy, że gruźlicy nie zwalczy się świeżym powietrzem. Śmiertelnie schorowani ludzie najczęściej spoczęli na lawinowo powstających cmentarzach. Nie wszyscy jednak zostali pogrzebani w nowym mieście. Część zdążyła wcześniej je opuścić, nie mogąc wytrzymać zapachu miasta, które w nie tak odległej dla

nich przeszłości nazywano „Queen of the Cow Counties”. Ten historyczny, niezbyt dobrze pachnący tytuł miasto dzierżyło z racji warunków, w jakich chorzy ludzie musieli wracać do zdrowia. Kuracjusze skarżyli się na nieobecność w mieście porządných zajazdów i hoteli, słaby standard mieszkań, braki w zaopatrzeniu, złe jedzenie, złe ogrzewanie domów w okresie zimowym, stałą obecność w mieście ludzi spod ciemnej gwiazdy.

Mimo braku bezspornych dowodów na cudowne działanie klimatu na leczenie gruźlicy i innych plag zdrowotnych, władze miasta nie poprzestawały na głośnej reklamie. Szczególnie aktywna była miejscowa izba handlowa, która w tym czasie uznawana była za jedną z najbardziej energicznych w całych Stanach Zjednoczonych. Do swojego marketingu zaciągnęła ona każdego, kto mógł zaświadczyć o niezwykłości południowej Kalifornii. Wiara w cud, którego natura miała tu dokonywać, była tak wielka, że przypominała nieprzejednaną wiarę „świadków” religijnych. Głosili oni prawdę wśród ludu o cudownych zdarzeniach, które uratowały wielu ludzi przed zagładą. Do grona osób, które niosły prawdę o cudownej Kalifornii, należał Charles Willard, schorowany na gruźlicę pisarz, który po przybyciu do miasta doznał olśnienia. Z poparciem Izby Handlowej Los Angeles założył on specjalne pismo „The Land of Sunshine”, na łamach którego publikowano historie „świadków” mogących potwierdzić cudowne uzdrowienia. W tym piśmie udzielali się nie tylko anonimowi ludzie, lecz również poważni i wpływowi obywatele i przedsiębiorcy. Wśród autorów tekstów byli tak znani pisarze, jak Jack London i John Muir.

Marketing prowadzony przez izbę handlową kierowany był nie tylko do ludzi chorych. Na przełomie wieków Los Angeles i Kalifornia były najbardziej reklamowanym i miejscami na świecie. Poprzez książki, prasę, a wkrótce również film, radio i telewizję w każdym zakątku USA wiedzano o bajecznych możliwościach tej krainy. To, co dziś nazywamy współczesnym marketin-

giem, który jest prowadzony przez każde miasto, korporację lub kraj, jest wynalazkiem, który w pełni użyto po raz pierwszy w Kalifornii. Już w latach 80. XIX wieku Los Angeles było siedzibą szeregu firm zajmujących się wyrafinowanym, przemysłowym i konsekwentnym PR. Miasto nie było tylko siedzibą firm. Było również głównym obiektem reklamy, miejscem, gdzie stwarzano trendy, pomysły i nowe kanały informacyjne. Marketing stał się nierozłączną częścią kalifornijskiego handlu nieruchomościami. Z niego korzystały linie kolejowe, poszukiwacze i eksploratorzy ropy naftowej, hodowcy pomarańczy, firmy górnicze, farmerzy, hodowcy bydła, a później branża filmowa i lotnicza. Z czasem już nie reklamowano pojedynczych produktów czy firm, lecz specjalny kalifornijski styl życia, nowe wzorce zachowania społecznego i poglądy polityczne. Efekty pracy tych firm reklamowych można było znaleźć w walizkach każdego nowego przybysza, który docierał do miasta. Wszyscy mieli ze sobą fantazyjne broszury, książki, afisze, ulotki reklamujące nowy raj.

Wokół Los Angeles zaczęły rosnąć nowe miasta – konkurenci kopiujący propagandowy koncept, który okazał się tak pomyslny dla stolicy regionu. Kiedy imigranci docierali do Kalifornii, była już tam gotowa infrastruktura komunikacyjna i to taka, która mogłaby zaimponować nawet współczesnym. Linie tramwajowe i kolejowe z trakcją elektryczną, woda, prąd docierały do dziewiczych terenów, na których nie było jeszcze żadnych domów, nie licząc wielkich znaków reklamowych. Jednymi z pierwszych konstrukcji budowlanych w takich pustych miejscach jak Beverly Hills lub Hollywood były kolosalne napisy z nazwą przyszłego miasta. Były one solidnie zrobione, dobrze zaprojektowane i spełniały ważną funkcję, o czym świadczy to, że oba stały się symbolami tych miejsc i istnieją do dzisiaj.

Szalony marketing często był całkowicie oderwany od logicznej argumentacji, a wywindowane ceny nijak się miały do właściwej wartości terenów. Nierealne plany i rozrosłe ambicje pompowały

balon spekulacyjny, aż do momentu, kiedy ktoś nie był w stanie zapłacić swoich rachunków. Uruchomił się łańcuszek powiązań, długów i pożyczek. Siedemdziesiąt procent planowanych miast nigdy nie powstało, gdyż były one niczym innym niż bajkową spekulacją opartą na nierealnych cenach, oczekiwaniach i kosztach. Kiedy bańka spekulacyjna pękła w latach 80. XIX wieku, tysiące imigrantów dosłownie znalazło się na ulicy. Ich domów nie zdążono wybudować, a te, które były gotowe, można było kupić tylko za gotówkę.

Miasto było pełne nieskończonych budowli lub gotowych, lecz niesprzedanych domów i wystawnych rezydencji. Zubożałym imigrantom nikt nie chciał pomóc. Pracy też nie było tak wiele, jak obiecywano, ziemia do uprawy nie była aż taka tania, jak opisywano, a ceny gruntów pod budowę były astronomiczne. Linie kolejowe w dalszym ciągu gwarantowały dostawy materiałów budowlanych i wszystkiego innego, co było produkowane na Wschodzie, a potrzebne było na Zachodzie, ale te towary po wylądowaniu na stacji końcowej w Los Angeles miały niezwykle wysokie ceny. Przewóz kolejną zmieniał całkowicie ich wartość. Normalnych ludzi nie było stać na ich kupno. Można było oczywiście pójść do banku, ale tam na ludzi czekali równie chytry jak magnaci kolejowi magnaci bankowi, którzy żądali horrendalnych procentów od pożyczonych pieniędzy.

Pozytywnym efektem boomu lat 80. było jednak szybkie amerykańskizowanie się południowej Kalifornii, która powoli zaczęła przypominać USA, a nie zaanektowaną prowincję meksykańską. Dawne hiszpańsko-meksykańskie ziemie stały się dzięki dzikiej spekulacji dość gęsto zamieszkaną częścią Stanów Zjednoczonych. Deweloperzy i pośrednicy sprzedaży ziemi przyczynili się do historycznej zamiany dawnych rancz meksykańskich i zwykłych nieurodzajnych fragmentów pustyni w parcele budowlane z nowoczesną infrastrukturą.

Na powstanie następnej bańki spekulacyjnej, która powiązana była z handlem ziemią i nieruchomościami, nie trzeba było długo czekać. Przez cztery lata, w latach 1920–1924, do miasta sprowadzało się 100 tysięcy nowych mieszkańców każdego roku. W mieście wyznaczono 1400 nowych terenów do zabudowy. Ten eksplozywny rozwój spowodował, że każdy urzędnik lub tak zwany człowiek z ulicy, który potrafił czytać, liczyć, a przede wszystkim miał dar przekonywania, stawał się deweloperem lub agentem nieruchomości. Dochody miasta z tytułu wydawanych pozwoleń na budowę wzrosły z 20 milionów w 1919 roku do 200 milionów w 1923. Ceny ziemi i nieruchomości rosły błyskawicznie, zyski agentów i właścicieli rosły jeszcze szybciej, a miasto stawało się coraz bogatsze. Los Angeles chwaliło się, że jest zielonym rajem nieskażonym grzechami wielkich miast Wschodu, gdzie ludzie mieszkali w sąsiedztwie fabryk, rzeźni i torów kolejowych. To było miejsce, które pachniało pomarańczami, a nie dymem fabrycznym.

Na początku XX wieku, aby uniknąć błędów miast wschodnich, postanowiono podzielić miasto na strefy, które określały, co na pewnym terenie można było budować. Ta detaliczna regulacja budowlana miała oddzielić mieszkania ludzi od fabryk i wielkich ciągów komunikacyjnych. Nie oszczędzano ziemi przeznaczonej na zabudowę i budowano z rozmachem. Rezultat był natychmiastowy. Żadne miasto w USA tak szybko nie powiększało swojej powierzchni jak Los Angeles. W latach 20. XX wieku wystawiono na sprzedaż 25 tysięcy działek do zabudowy. Banki pożyczają pieniądze każdemu i transakcja kupna działki, która dla większości Amerykanów była transakcją życia, nie trwała dłużej niż 10 minut. Do miasta napłynęło ponad 660 tysięcy mieszkańców i była to największa w tym czasie wewnętrzna emigracja, jakiej doświadczyli Amerykanie. Tak jak poprzednio do miasta przyjechali ludzie dzięki transkontynentalnemu szlakowi, ale to już nie był szlak kolejowy. Amerykanie odkryli, że istnieje inny sposób po-

dróżowania dający absolutną wolność. Na arenie pojawiła się masowa motoryzacja.

W Los Angeles łatwo było sprzedać każdy kawałek ziemi. Na to, żeby ludzie z całego kraju ściągali do miasta, ciężko pracowała cała armia agentów i deweloperów. Ich rola była prosta sprzedać dużo i bardzo szybko. Sprzedawanie ziemi i nieruchomości stało się nowym prestiżowym zawodem. Ludzie porzucali dotychczasowe prace po to, aby spróbować szczęścia w zawodzie, który mógł zrobić z każdego milionera.

Aby sprzedać, trzeba było konkurować, a to wymagało inwestycji ze strony posiadaczy ziemi i deweloperów. Do odizolowanych zakątków miasta i okolicy podciągano wodę, elektryczność, linie tramwajowe, stacje kolejowe, budowano piękne architektonicznie i funkcjonalne budowle publiczne. Właściciele ziemi i pośrednicy nieruchomości wpływali na regulacje prawne polepszające standard techniczny, bezpieczeństwo i wygodę ówczesnego budownictwa. Deweloperzy inspirowali się nowymi stylami w architekturze i lansowali nowe formy mieszkania.

W czasach dzikiej spekulacji zwariowani ludzie (deweloperzy) stworzyli solidny fundament do ulepszeń i udogodnień. Zbudowali ten region i przyczynili się do przyciągnięcia tu ludzi ze wschodu kraju, którzy chcieli zbudować swoje nowe domy wśród nas [...]. Nigdzie nie znajdziecie miast, które mają tak dobry system zaopatrzenia w wodę i kanalizację [...] nigdzie nie ma tak rozwiniętego systemu transportu kolejowego i dróg[5].

Deweloperzy stali się ważnymi osobami w mieście o wysokim statusie i osiągających duże zarobki. Byli symbolem miasta na podobnej zasadzie, jak maklerzy giełdowi byli symbolami Nowego Jorku, a robotnicy fabryczni wizytówką Detroit. Połączenie handlu ziemią i deweloperki z wielkim kapitałem przyniosło miastu wiele korzyści. Wielcy kapitaliści, tacy jak Henry R. Huntington, współwłaściciel Southern Pacific Railroad, czy grupa ludzi, która stała za syndykatem Los Angeles Suburban Homes Company, bu-

dowali całe nowe dzielnice i miasta, które po pewnym czasie stały się najbardziej żywotnymi częściami Wielkiego Los Angeles.

Nie oznacza to jednak, że wszystko, co robili, było jednoznacznie pozytywne. Zdarzało się, że ich projekty były przykładami tego, jak należy eksploatować do maksimum nadarzające się okazje i odłożyć na bok zbyt krępujące pryncypia moralne w prowadzeniu biznesu. Nierzadko naginano regulacje prawne do własnych potrzeb, łamano prawo budowlane i niszczone środowisko naturalne.

W nawale reklamowego jazgotu czasami mieszano to, co było prawdą, z tym, co było czystą fantazją. Pęd do kupna i zrobienia biznesu życia był tak wielki, że nie zwracano uwagi na oczywiste oszustwa. Jadąc przez Wilshire Boulevard, nową arterię miasta, można było zobaczyć setki podświetlanych reklam, które zachęcały do kupna ziemi i domów. Jeden z agentów kusił potencjalnych klientów swoją ziemią, która jakoby leżała tylko 14 minut od głównego placu miasta Pershing Square. Podróż, która podobno zajmowała jedynie kilkanaście minut, miała odbyć się... metrem. Problemem było tylko to, że zostało ono wymyślone przez agenta. W Los Angeles w tym czasie metro jeszcze nie istniało.

Mieszkańcom udzielał się ten rozdmuchany entuzjazm i zaczęli systematycznie wykorzystywać to, co reklama rozdawała za darmo. Narodziło się nowe hobby. Zaczęto brać udział w bezpłatnych wycieczkach autobusowych i tramwajowych, które miały zaprezentować parcele budowlane. Kuszącym bodźcem były darmowe poczęstunki, drobne prezenty i występy artystyczne. W czasie takich wycieczek jedyna rzecz, którą trzeba było zrobić, to przetrwać rutynową agitację sprzedawców.

Wysłuchaj mojej rady i kup jedną lub dziesięć takich działek bez względu na to, ile poświęceń będzie to oznaczało. Dziesięć tysięcy banków może być zamkniętych, giełda może upaść, wartość akcji może się zmniejszyć nawet do zera, lecz ten teren i nieruchomości Los Angeles wytrzymają i będą trwały jak skały Gibraltaru – so-

lidne, pewne i dające zysk. Nie zadowalaj się sześcioma procentami od twojego kapitału. Nie bądź nawet zadowolony, gdy otrzymasz dwanaście procent. Kup nieruchomości jak te, trzymaj je i bądź tak pewny, jak pewne jest to, że Ziemia się kręci, że to opłaci ci się w stu, a może i tysiącu procentach[6].

W Los Angeles wszyscy na swój sposób byli sprzedawcami. Obok parotysięcznej profesjonalnej grupy agentów niemal wszyscy mieszkańcy zbiegali na punkcie możliwości kupna- sprzedaży domów lub ziemi. Śledzono uważnie wycenę nieruchomości; koniunkturę i wydarzenia mogące wpłynąć na popyt i podaż. Przegapienie ważnej informacji było równoznaczne z utratą możliwości zrobienia dobrego biznesu lub utratą już zarobionych pieniędzy. Obecnie w Los Angeles, podobnie jak 100 lat temu, wszyscy na bieżąco analizują wartość nieruchomości. Wszyscy są przekonani, że kiedyś zrobią na tym interes życia. Ta fascynacja ziemią i nieruchomościami połączona z coraz większą wiedzą o mechanizmach rynku nieruchomości często staje się prawdziwą obsesją. W mieście są tysiące maklerów amatorów. Domy próbują sprzedawać pielęgniarzy, policjanci, barmani i nauczyciele. Tej wielkiej armii sprzedawców nie można lekceważyć. Jest ona znaczącą siłą społeczną i polityczną w mieście. Przekonali się o tym politycy, którzy musieli się ugiąć pod jej naciskami w 1978 roku. Według konstytucji Kalifornii nie tylko kongres stanowy może zgłaszać i uchylać akty prawne, również zwykli ludzie mogą zgłaszać propozycje obywatelskie na kartach wyborczych w czasie wyborów stanowych. W latach 70. XX wieku mieszkańcy Kalifornii z przerażeniem patrzyli na to, co wyczyniali demokratycznie wybrani politycy. Inicjatywa obywatelska przegłosowała w trakcie wyborów w 1978 roku „Propozycję 13”, która skutecznie zahamowała szalone opodatkowanie nieruchomości. Stało się ono tak wysokie, że dużej części mieszkańców Kalifornii groziła utrata często odziedziczonych po rodzicach domów.

Efekty pracy wielu pokoleń agentów obracających ziemią i nieruchomościami są doskonale widoczne w krajobrazie miasta. W mieście nie ma wolnego miejsca. Patrząc na miasto z góry, nie można dostrzec żadnego większego miejsca do zabudowy. O ile pojawia się skrawek ziemi niezabudowany domami, magazynami i biurami, to jest to z dużym prawdopodobieństwem małe lotnisko, tor wyścigów lub stadion. Miasto zostało dosłownie zabetonowane przez intensywną eksploatację, a tym betonem były w 70% małe domy jednorodzinne z mikroskopijnymi ogródkami. Te miliony małych domów stworzyły tę kolosalną wielkość miasta.

Jeden z dziennikarzy zaniepokojony rosnącą skalą miasta rozmawiał ze sławnym architektem Frankiem Lloydem Wrightem i zapytał go o przyszłość południowej Kalifornii i Los Angeles. Półzartem i ironicznie Wright odpowiedział bez wahania:

Oj, będzie (stan i miasto) coraz większe i rozleje się tak na południe, jak i na północ. Wkrótce Los Angeles będzie się rozpoczynało w San Diego, połknie San Francisco i przykryje każdy wolny kawałek ziemi aż do Golden River. Jedynymi historycznymi monumentami, które się zachowają, będą toalety na stacjach benzynowych.

Ironiczna diagnoza Wrighta w pewnej części już dziś sprawdziła się. Los Angeles rzeczywiście prawie zlewa się z San Diego, a droga między tymi dwoma wielkimi miastami jest jednym nieprzerwanym obszarem urbanistycznym ciągnącym się ponad 200 kilometrów.

FOTOGRAFIE I



W ciągu 150 lat meksykańskie El Pueblo de Nuestra Señora la Reina de los Angeles del Río de Porciúncula przekształciło się w City of Los Angeles. Na zdjęciu mapa hiszpańskich i meksykańskich rancz, które leżały na dzisiejszym terytorium miasta.

Fot.: Eddy, Gerald A., Title Insurance and Trust Company, Los Angeles, Library of Congress, Geography and Map Division.



Dziś Los Angeles jest jednym z najbardziej hot miast na świecie i ma decydujący wpływ na polityczny, techniczny i kulturalny rozwój naszej globalnej cywilizacji. Na zdjęciu nocna panorama centrum miasta.

Fot.: Logoboom, Shutterstock.



Gigantyczność miasta fascynuje i jednocześnie przeraża. Na zdjęciu jedna z wielu autostrad przecinających miasto. San Diego Freeway w godzinach szczytu komunikacyjnego.

Fot.: Bart Everett, Shutterstock.



Kolej była absolutnie najważniejszym czynnikiem rozwoju miasta w XIX wieku. Pełniła ona taką samą funkcję gospodarczą i rozwojową jak samochód w XX wieku i Internet w XXI.

Fot.: Underwood & Underwood, publisher, Library of Congress, Prints and Photographs Division.



Biznes kolejowy budził podziw, ale również odrazę z racji działalności chciwych baronów kolejowych, którzy wyciskali z kraju i jego obywateli każdy cent. XIX-wieczny kapitalizm, którego ważną częścią była kolej, nie był piękny, ale bardzo skuteczny w budowaniu pionierskiego Zachodu USA.

Fot.: The modern colossus of (rail) roads/J. Keppler, Library of Congress, Prints and Photographs Division.

FREE HARBOR JUBILEE

A woman in a red dress with gold and green ornaments is blowing a long trumpet. She holds an American flag in her left hand. In the background, a harbor scene is framed by a decorative border. Cherubs are flying around the scene, one holding a wreath and another a basket of flowers. The harbor is filled with ships and a bridge. The sky is bright with yellow rays.

Los Angeles
and San Pedro.

APRIL 26 AND 27, 1899.

Doprowadzenie do Los Angeles kolei transkontynentalnej było praktycznym wpisaniem miasta na listę ważnych centrów handlowych USA. To nie był jednak koniec historycznych inwestycji w mieście. 26 kwietnia 1899 roku prezydent McKinley nacisnął przycisk jednej z maszyn, która oficjalnie rozpoczęła budowę fundamentów portu oceanicznego w San Pedro. Los Angeles parę lat później zastąpiło San Francisco jako pierwsze miasto Kalifornii i najważniejszy port na amerykańskim Zachodzie.

Fot.: Free harbor jubilee, Los Angeles and San Pedro. April 26 and 27 1899 / J.F. Derby, Library of Congress, Prints and Photographs Division.



Pierwszych amerykańskich imigrantów kuszone wizją raję z fantastycznym klimatem, zacisznymi gajami cytrusowymi, spokojem i bezpieczeństwem. Miasto miało być prawdziwym „białym” punktem na Dzikim Zachodzie. Na zdjęciu sielska Pasadena z połowy XIX wieku.

Fot.: Detroit Photographic Co., Library of Congress, Prints and Photographs Division.



Kilkadziesiąt lat później gaje cytrusowe przekształciły się z raju w miejsce ciężkiej, prawie industrialnej pracy, dające biedniejszym mieszkańcom miasta i masowo napływającym imigrantom możliwość przeżycia.

Fot.: Grogan, Brian, Library of Congress, Prints and Photographs Division.



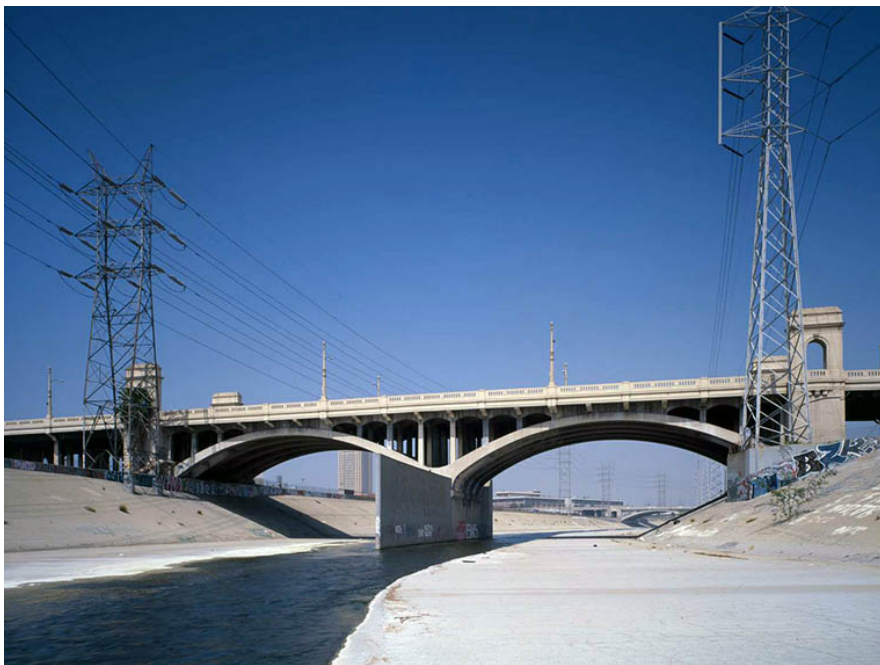
Linie tramwajowe z trakcją elektryczną, woda i prąd docierały do dziewiczych terenów. Na nowych mieszkańców czekały również szerokie drogi, rabaty kwiatowe i aleje palm. Jednymi z pierwszych konstrukcji budowlanych w takich pustych miejscach jak Beverly Hills lub Hollywood były kolosalne napisy z nazwą przyszłego osiedla. Na zdjęciu panorama pustego Beverly Hills w latach 20. XX wieku.

Fot.: C.C. Pierce & Co., Library of Congress, Prints and Photographs Division.



Aby osiągnąć pełny sukces, miasto potrzebowało jednej rzeczy – wody. Żeby zapewnić życiodajną wodę, należało sprowadzić ją z terenów oddalonych setki kilometrów od miasta. Na zdjęciu fragment jednego z czterech akweduktów zaopatrujących miasto w wodę.

Fot.: Foot, Shutterstock.



Los Angeles River w okolicach First Bridge. Ta chimeryczna rzeka z początku była zbawieniem dla miasta, by z czasem stać się koszmarem z racji gwałtownych i nieprzewidywalnych powodzi. Od ponad 70 lat uważana jest za „najbardziej nieszczęśliwą rzekę świata” zakutą w betonowe kamasze, gwarantujące, że w przypadku powodzi woda bezproblemowo jest odprowadzana do Pacyfiku.

Fot.: Olmos, Tavo, Library of Congress, Prints and Photographs Division.



Gwałtowny napływ amerykańskich imigrantów widoczny był na ulicach miasta. Do Los Angeles ciągnęła biedota z całego kraju. Niektórych nie było stać na bilet kolejowy, aby tu dojechać, co nikomu nie przeszkadzało, aby *hit the road*.

Fot.: Lange, Dorothea, Farm Security Administration – Office of War Information Photograph Collection, Library of Congress, Prints and Photographs Division.



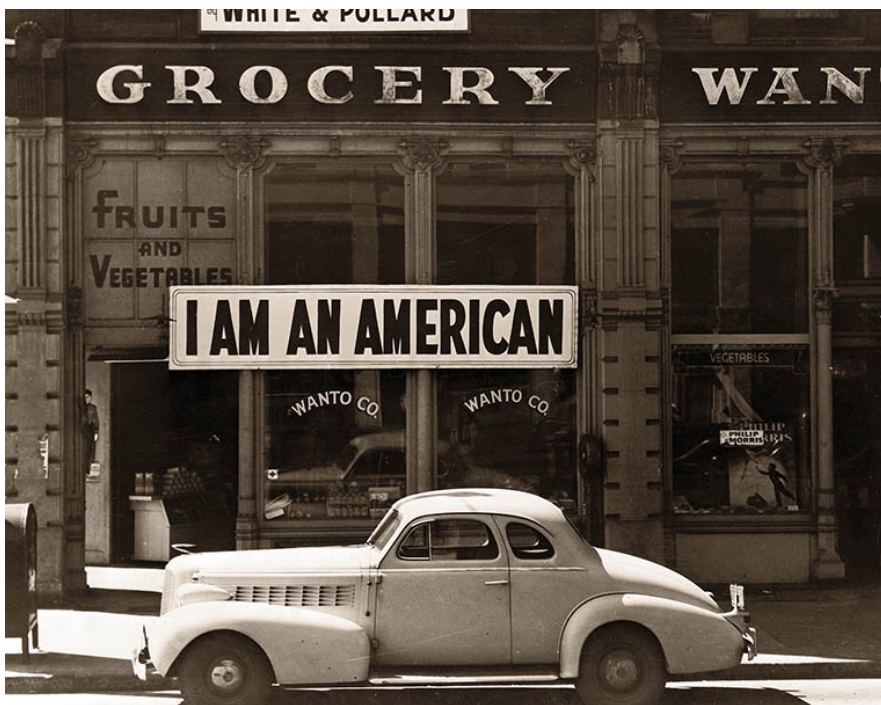
Uciekając przed suszą z preryjnych stanów USA, ludzie całą nadzieję ulokowali w możliwości przeżycia w Kalifornii. Na zdjęciu rodzina farmerska w drodze do Kalifornii, która miała ich uchronić przed „piaskowymi burzami” i wielką depresją.

Fot.: Lange, Dorothea, Farm Security Administration – Office of War Information Photograph Collection, Library of Congress, Prints and Photographs Division.



Aresztowania Meksykanów w Los Angeles związane z zamieszkami *zoot suit* w 1942 roku.

Fot.: New York World-Telegram and the Sun Newspaper Photograph Collection, Library of Congress, Prints and Photographs Division.



Właściciel sklepu spożywczego w przededniu internowania (3 grudnia 1942 roku) desperacko próbuje przekonać mieszkańców Oakland, że pomimo japońskiego pochodzenia jest praworządnym Amerykaninem.

rot.: Lange, Dorothea, Farm Security Administration – Office of War Information Photograph Collection, Library of Congress, Prints and Photographs Division.



W latach 40. XX wieku do miasta przybywali młodzi ludzie z nadzieją na otrzymanie pracy. Choć wielu z nich miało w głowach J „hollywoodzkie sny”, najczęściej trafiali oni do pracy w setkach istniejących na terenie miasta fabryk zbrojeniowych.

Fot.: Lee, Russell, Farm Security Administration – Office of War Information Photograph Collection Library of Congress, Prints and Photographs Division.

BONANZA EXPRESS

Kolej przewiozła na Zachód tysiące poszukiwaczy szczęścia: farmerów, ranczerów i ogrodników łaknących własnej ziemi, bankierów widzących niewyczerpane możliwości rozwojowe i przedsiębiorców szukających taniej siły roboczej. Do Kalifornii ciągnęli również Afroamerykanie w ucieczce przed represyjnym rasizmem Południa i prawie niewolniczą pracą na plantacjach.

W Los Angeles wszystko miało być inaczej. To miało być miejsce wolnego kreatywnego człowieka, nieskrępowanego biurokratycznymi ograniczeniami, miejsce wolnej przedsiębiorczości. Liczyła się tylko praca, nowatorstwo i prawdziwy duch kapitalistycznej Ameryki. To miała być inna Ameryka niż ta, którą stworzono na drugim końcu kraju. „Siła robocza używana była do produkcji, a nie do organizowania się”, jak to dosadnie powiedział krytyczny wobec powstających związków zawodowych redaktor naczelny konserwatywnego „Los Angeles Times”.

Los Angeles dziś kojarzone z ekstremalnie zurbanizowanym obszarem miejskim jeszcze parę pokoleń wcześniej było idealną ilustracją pastoralnej idylli, gdzie urodzajna ziemia rodzi egzotyczne owoce, a ludzie żyją w harmonii z naturą. Zanim ziemia została przeznaczona pod zabudowę miejską, przez dziesiątki lat wiernie służyła i żywiła odważnych pionierów. Idealne warunki klimatyczne plus woda dostarczana z okolicznych gór spowodowały, że w pierwszym okresie swojego istnienia Los Angeles oparło rozwój na rolnictwie i sadownictwie.

Miasto powstało na terytorium dawnych rancz, które były producentami żywności, przede wszystkim mięsa wołowego. Niektó-

rzy uprawiali zboże, winogrona, cytryny. To właśnie ranczerzy z Los Angeles ratowali przed głodem pierwsze pokolenie Amerykanów w Kalifornii. W latach „gorączki złota” pędzili oni swoje stada na północ w okolice Sacramento i tam sprzedawali mięso za niesamowicie wysoką cenę. Kiedy w mieście zaczęły się pojawiać większe grupy imigrantów amerykańskich, miejscowi rolnicy bili wszelkie rekordy w produkcji zboża, szczególnie w okolicach doliny San Fernando, która dziś jest jednym z najbardziej zurbanizowanych terenów Los Angeles.

Pionierem, który wiedział, co kalifornijskie warunki klimatyczne oznaczają w praktyce, był William Wolfskill. Amerykanin zmienił obywatelstwo na meksykańskie tylko po to, aby móc stać się właścicielem ziemi w Los Angeles. W pierwszej połowie XIX wieku, a więc w czasach, kiedy Kalifornia w dalszym ciągu była tylko prowincją meksykańską, tylko taki manewr umożliwiał mu kupno tej wartościowej ziemi.

To, co wpisało Williama Wolfskilla na karty amerykańskiej historii, to magiczny owoc, którego niewielu Amerykanów miało możliwość zasmakować – pomarańcze. Zostały one sprowadzone do Kalifornii przez misjonarzy w hiszpańskiej epoce kolonialnej. Uprawiane zarówno przez franciszkanów, jak i Indian, nie znajdowały większego uznania z jednego, ale za to bardzo ważnego powodu: były niesmaczne, a dokładniej mówiąc, kwaśne i suche, z wielkimi pestkami i grubą skorupą. Żeby móc sprzedawać pomarańcze, trzeba było zrobić coś, aby ludzie je polubili. Najprostszym sposobem była zmiana ich smaku. Tego mógł dokonać tylko uzdolniony agronom, a takim właśnie był William Wolfskill, który skoncentrował się na hodowli hybryd, czyli krzyżowaniu lokalnych gatunków z pomarańczami mającymi bardziej szlachetne pochodzenie i lepszy smak.

Jego zainteresowanie pomarańczami nie było przypadkowe. Pomarańcze były mniej wrażliwe na warunki pogodowe, rodzaj gleby i opady atmosferyczne niż winogrona. Co najważniejsze,

dało się je transportować na dłuższych dystansach, co było ważne w epoce, kiedy transport towarów z zachodu na wschód trwał miesiącami.

Wolfskill ulepszył odmianę pomarańczy dojrzewającą wcześniej, przez co stała się ona doskonałym owocem letnim. W swoich sadach w dolinie rzeki Santa Ana wyhodował słodki i smaczny gatunek, który do celów czysto marketingowych nazwał Valencia, tak aby ludzie kojarzyli jego owoce z najwyższą jakością, a nią były owoce z hiszpańskiej Walencji. Bagatelką niegodną wspomnienia było to, że szczepionek pomarańczy, które służyły do wyhodowania nowego gatunku, nie przywieziono z Hiszpanii, lecz z Indii.

William Wolfskill odniósł sukces, ale nie dożył swojego największego triumfu jako agronom i sadownik. Tuż przed śmiercią przeprowadził jednak transakcję, która dała mu miejsce w historii. Wolfskill sprzedał patent na hybrydę swojej pomarańczy Valencia właścicielom Irvine Ranch, którzy szybko rozwinęli jej uprawę na wielką skalę. Plony nowego szczepu były tak dobre, że właściciele postanowili zmodyfikować jego nazwę na Valencia California, aby podkreślić wyjątkowość walorów tego owocu i miejsca, gdzie było uprawiane. Pomarańcze stały się błyskawicznie wielkim biznesem.

W 1877 roku, a więc 11 lat po śmierci Williama Wolfskilla i cały miesiąc od momentu wyekspediowania ze stacji w Los Angeles, szczególny pociąg wjechał na stację w St. Louis, a więc tam, gdzie tradycyjnie uważało się, że kończył się Dziki Zachód i zaczynał cywilizowany Wschód. Do St. Louis dojechał pierwszy transport pomarańczy, jaki został wysłany koleją do tak oddalonych od Kalifornii konsumentów. Wprawdzie wcześniej dostarczano owoce górnikom kopiącym srebro w Nevadzie za 1 dolara za sztukę (!), ale wysyłanie całego pociągu, i to tak daleko, było nowatorskim posunięciem. Pociąg do St. Louis dał początek masowej sprzedaży tych owoców. Pięć lat później z Kalifornii na

wschód wysyłano 500 wagonów, a w latach 20. XX wieku 50 tysięcy. W tych czasach hodowano pomarańcze na obszarze 80 kilometrów kwadratowych położonym przede wszystkim na szerokim ponadstukilometrowym pasie u podnóża gór San Gabriel i San Bernardino.

Innym pionierem ogrodnictwa była przedsiębiorcza dama z Riverside o nazwisku Eliza Tibbets. Wsławiła się ona wyhodowaniem owoców z dwóch drzewek, które również zrewolucjonizowały hodowlę cytrusów w Kalifornii. Drzewka nieznanego wcześniej gatunku Selecta też pochodziły z Indii. Zostały one przeniesione do Portugalii, a z niej do kolonialnej Brazylii. Z Brazylii było już blisko do USA. Drzewka zostały подарowane amerykańskiemu Ministerstwu Rolnictwa, które później oddało je w ręce Elizy Tibbets. Ta ekscentryczna, jak na swoje czasy, kobieta (wielka zwolenniczka abolicji niewolnictwa, feministka, zwolenniczka kolektywizmu, trzy razy mężatka, dwa razy rozwódka, matka zaadoptowanego czarnego chłopca) wcześniej zasypywała ministerstwo listami z prośbą o odpowiedź, jakie gatunki pomarańczy najbardziej nadają się do hodowli w Kalifornii. Odpowiedź ministerstwa przyszła w formie dwóch małych drzewek z gatunku Selecta. Dbając o te dwa cherlawe drzewka jak o własne dzieci, regularnie podlewając je cenną wodą, którą wygospodarowała ze skromnych racji przeznaczonych na potrzeby kuchenne, Eliza utrzymała je przy życiu. W sezonie 1875–1876 drzewka po raz pierwszy zaowocowały.

Systematycznie wzmacniające się drzewa były źródłem szczepionek, które służyły do uszlachetnienia już istniejących, mniej wartościowych drzew. Eliza Tibbets z czasem zaczęła sprzedawać szczepki drzew za 1 dolara za sztukę. W niektórych latach sprzedawała szczepki za 20 tysięcy dolarów. To był fantastyczny pomysł, który zaowocował wielkim sukcesem komercyjnym. W ciągu paru lat ta pracowita kobieta stała się bogatą osobą. Sukces i szybkość rozprzestrzeniania się nowego gatunku był fenomena-

lny. Owoce były słodkie, smaczne i piękne. W ciągu paru lat za-
władnęły Kalifornią i innymi subtropikalnymi regionami USA.

Amerykanie tak pokochali pomarańcze, że nikt się nie zdziwił.
iż sam prezydent USA, Theodore Roosevelt, pomagał w 1903 roku
w przeniesieniu jednego z dwóch oryginalnych drzewek Elizy
Tibbets w bardziej godne miejsce – przed główne wejście do re-
prezentacyjnego hotelu Mission Inn w Riverside. To była niesły-
chana reklama pomarańczy zrobiona przez największego idola
Ameryki tamtych czasów. Mniej imponujące było to, że to już hi-
storyczne drzewko nie przeżyło przeprowadzki i wkrótce uschło.
Nieudane przeplantowanie drzewka było złą reklamą umiejęt-
ności agronomicznych miejscowej elity politycznej. Żeby przesłonić
tę małą katastrofę i dodać powagi państwowej błyskawicznie ro-
snącej branży ogrodniczej, ten gatunek pomarańczy otrzymał
nową, dumną nazwę Washington Navel, żeby nikomu nie umknął
fakt, że został on „wyhodowany” na ziemi amerykańskiej.

Lepiej powiodła się pielęgnacja drugiego drzewka, które niena-
rażone na kontakty z politykami rosło w siłę. Do dnia dzisiejszego
rośnie sobie spokojnie, troskliwie chronione, tak przed polity-
kami, jak i wandalami, na placu na skrzyżowaniu Magnolia i Ar-
lington Avenues w Riverside.

Za sukcesem propagandowym Washington Navel podążył suk-
ces komercyjny. W sezonie 1904/1905 z Kalifornii wyjechały 31
422 wagony wypełnione nowym kalifornijskim złotem – poma-
rańczami[7],

Udoskonalany Washington Navel z czasem zrobił również
wielką karierę międzynarodową. Gatunek rozpowszechnił się w
Japonii, Australii i Afryce Południowej. Kalifornia odwzięczyła
się też Brazylii za podarunek pierwszych drzewek w drugiej poło-
wie XIX wieku. Kiedy w latach 30. XX wieku Brazylię nawiedziła
katastrofalna epidemia, która zniszczyła większość sadów, rząd
USA zrewanżował się za wcześniejszą przysługę i wysłał szczepki
pochodzące z oryginalnego drzewka Selecta vel Washington Na-

vel. W ten sposób uratowano ten wartościowy gatunek w Brazylii, obecnie największego producenta pomarańczy na świecie.

Wielka popularność pomarańczy sama w sobie byłaby tylko fascynującą historią, gdyby nie fakt, że odegrała historyczną rolę w gospodarczych dziejach południowej Kalifornii. Dzięki sensacyjnym raportom lekarskim, wskazującym na pomarańcze jako źródło cennej witaminy C, popularność nowego owocu rosła nieprzerwanie. Izba Handlowa Los Angeles, branżowe zrzeszenie producentów owoców cytrusowych (California Fruit Growers Exchange, czyli późniejszy sławny Sunkist) i oczywiście Southern Pacific rozpoczęli w 1907 roku pierwszą przemysłową kampanię popularyzującą te owoce. Wskazywano na ich smak, wielką wartość dla zdrowia i tak przy okazji... zaproponowano ludziom (oczywiście dzięki fantastycznej sieci kolejowej) przeprowadzkę do południowej Kalifornii. Pierwszą taką akcję przeprowadzono w Des Moines, stolicy stanu Iowa, który tradycyjnie uważano za serce przemysłowego Midwest i dumnie określano jako American Heartland.

Pomysł tej akcji reklamowej wyglądał z początku trochę dziwnie i był jakby na wyrost. Hodowcy pomarańczy zrzeszeni w California Fruit Growers Exchange byli bardzo sceptyczni co do tego, czy rzeczywiście zwiększy to obroty i zyski. Ich ciężko zarobione pieniądze miały pójść na konkursy poetyckie w szkołach, produkcję niezliczonych kolorowych banerów reklamowych, zawijanie pojedynczych pomarańczy w cienką bibułkę z kolorowymi ilustracjami pokazującymi romantyczne życie na „hiszpańskich plantacjach” i inne ekstrawagancje reklamowe. Cel był ambitny i mierzono wysoko. Chciano, aby każdy mieszkaniec Des Moines wiedział o przeprowadzanej kampanii i zjadł co najmniej jedną całą pomarańczę.

Podstawione przez Southern Pacific pociągi załadowane skrzyniami z pomarańczami i przyozdobione reklamowymi banerami zostały wysłane na przemysłowy Środkowy Zachód. Co pewien

czas telegraficznie informowano, gdzie wysłany z Los Angeles pociąg znajduje się na planowanej trasie przejazdu i kiedy można się go spodziewać w następnym mieście. Ten sensacyjny sposób reklamy bardzo spodobał się lokalnym gazetom, które żywo relacjonowały podróż „złotych globusów zdrowia z olśniewającej Kalifornii”. Wzdłuż dróg i tras kolejowych postawiono wielkie kolorowane reklamy, lokalne gazety wypełniono ogłoszeniami. Na potrzeby kampanii stworzono coś, co było w owych czasach dość rzadkie. Wykreowano dwie fikcyjne osoby: dziewczynkę – Miss California i chłopca – Iowa Boy. W niezliczonych reprodukcjach przedstawiano Miss California częstującą swojego przyjaciela złocistymi pomarańczami. Ona miała symbolizować słoneczną Kalifornię, on śnieżną Iowę. Żeby nie było żadnych wątpliwości, co chce się przekazać, ten sentymentalny obrazek uzupełniono sloganem: „Ty rzucasz we mnie śnieżkami, a ja rzucę tobie pomarańczę”.

Z czasem każde targi handlowe, wielkie miasta i zapadłe wioski zostały zalane broszurami, książkami, magazynami ilustrowanymi, ogłoszeniami gazetowymi i wielkoformatowymi reklamami. Kalifornię prezentowano jako amerykański raj, gdzie rośnie cudowny eliksir dający zdrowie i szczęście. Nie wolno było pomylić kalifornijskich pomarańczy z rzekomo gorszym gatunkiem pomarańczy pochodzącym z Florydy! Parę łyżek lub szklanka soku pomarańczowego miały dokonywać cudów. Szczególnie popularne były rozchwytywane przy każdej nadarzającej się okazji specjalne eleganckie łyżeczki, które gwarantowały, że ani jedna kropla tego cennego dla zdrowia owocu nie zostanie zmarnowana.

Kampania w Iowa odniosła sukces. O ile w całych Stanach Zjednoczonych konsumpcja wzrosła o 17,7%, to w Iowa aż o 50. Tę udaną akcję powtórzono w innych regionach kraju, a nawet w samym imperialnym Londynie. Pomarańcze przestały być orien-

talnym „hiszpańskim” owocem i stały się prawdziwym, wielkim amerykańskim biznesem.

Z czasem cała Ameryka była pełna kolorowych obrazów pokazujących młode dziewczyny z wyraźnie hiszpańskimi rysami twarzy na tle zielonych gajów pełnych kolorowych owoców, nigdy niezachodzącego słońca, które się zatrzymało nad doliną, otoczoną zaśnieżonymi szczytami górskimi, przeglądającymi się w błękitnej tafli Pacyfiku. To fantazyjne miejsce miało konkretny adres. To było Los Angeles i okoliczne hrabstwa Riverside, Orange, Ventura i San Bernardino. Południowa Kalifornia stała się równie amerykańska, jak malownicze wioski Nowej Anglii. Dzięki pomarańczy Ameryka powiększyła się o wielki i, co najważniejsze, dostępny dla każdego raj, leżący już nie na dzikim, lecz słonecznym zachodzie. Słowo Kalifornia miało odesłać do lamusa dawne i niezbyt pozytywnie kojarzone określenie – „Dziki Zachód”.

Mimo że w mieście pojawiły się nowe gałęzie gospodarki, plody ziemi przez cały XIX i połowę XX wieku miały decydujący wpływ na gospodarkę miasta. Aż do 1950 roku Los Angeles i okolice były największym w USA producentem owoców. Miasto było otoczone ogromnymi gospodarstwami rolnymi i sadami. Tak jak XIX-wieczni marzyciele tego chcieli – tu pachniało pomarańczą, truskawkami i brzoskwiniami. W okolicach Los Angeles było 1 286 000 kilometrów kwadratowych ziemi intensywnie uprawianej, często dzięki możliwości zatrudnienia taniej siły roboczej – ludzi, którzy przybywali tu nie tylko z innych części USA, lecz przede wszystkim z Meksyku, Japonii, Korei i Filipin.

Dziś rolnictwo jest już mało znaczącym elementem gospodarki miasta. W 1990 roku uprawy zajmowały tylko około 43 kilometrów kwadratowych i ich przetrwanie związane było często z paradoksalnymi sytuacjami, i możliwe tylko dzięki temu, że ziemia była wolna tam, gdzie zabraniano stawiać stałe budowle. W 1993 roku zebrano 50 tysięcy ton cebuli, którą wyhodowano na podej-

ściu do pasa startowego lotniska amerykańskich sił powietrznych. Głównymi właścicielami ziemskimi stały się firmy dystrybuujące energię elektryczną. Niektóre owoce, sadzonki, małe drzewa z powodzeniem rosły pod liniami wysokiego napięcia, a takich linii w mieście jest rzeczywiście wiele.

Turyści przybywający do miasta już nie poczują cudownego zapachu gajów pomarańczy. Istnieją tutaj jeszcze ze dwie, trzy plantacje, ale są one utrzymywane raczej z powodów sentymentalnych niż ekonomicznych. Mieszkańcy miasta mogą tam za jedyne 2 dolary własnymi rękami zerwać torebkę pomarańczy. Jedyna większa plantacja jest w zachodniej części miasta, gdzie z 509 drzew pomarańczowych turyści i mieszkańcy mogą zrywać owoce za darmo.

Bardzo dobrze mają się natomiast plantacje i gaje w pozostałej części Kalifornii. W sezonie 2014–2015 wysłano w świat 81 milionów skrzynek pomarańczy, w większości legendarnego już gatunku Washington Navel. Kalifornijskie rolnictwo jest w dalszym ciągu potęgą na skalę światową. Tu uprawia się prawie wszystko, co wymaga dobrej gleby, słońca i wody. Kalifornia jest potęgą w produkcji: winogron, oliwek, śliwek, brzoskwini, moreli, pomarańczy, cytryn, orzechów włoskich, truskawek, ryżu, słodkich ziemniaków, szparagów, sałaty, szpinaku, jabłek, gruszek, awokado, czereśni, melonów, arbuzów, cebuli, grochu. Do tego trzeba dodać bawełnę, mięso wołowe i morze mleka. Powyższa lista jest tylko skrótownym podsumowaniem tego, co rodzi ta ziemia i co bez obaw można nazwać rajskim ogrodem.

Czy Los Angeles leży w dalszym ciągu w tym kalifornijskim ogrodzie? Nie, rolnictwo i sadownictwo jest skończonym rozdziałem w historii miasta. Dziś tylko nazwy osiedli i dzielnic, takie jak Kwiat Brzoskwini lub Cytrynowa Dolina, mówią, że kiedyś był tu całkiem inny świat pachnący rajskimi owocami.

Odkrycie złóż złota w połowie XIX wieku, budowa linii transkontynentalnej, masowa imigracja Amerykanów ze Wschodu i

Środkowego Zachodu i pachnące interesy lokalnych sadowników i rolników były kołem zamachowym, które cały czas dawało miastu potężną energię. Los Angeles na początku XX wieku stało się w nową Ellis Island, przez którą przewinęli się najzdolniejsi, najbardziej wytrwali, najciężej pracujący i utalentowani ludzie. Przyjeżdżali tu również ci, którzy wcześniej wzbogacili się na tyle, że sami „zsyłali” się do nowej, lepszej Ameryki.

Mimo godnego podziwu rozwoju w XIX wieku miasto było w dalszym ciągu prowincjonalną dziurą. Aby móc konkurować z wielkimi miastami amerykańskimi, choćby z potężnym sąsiadem na północy Kalifornii – San Francisco, musiało się zdarzyć coś niezwykłego, co wstrząsnęłoby miastem i dało mu siłę do dynamicznego rozwoju. Na początku XX wieku właśnie to „coś specjalnego” pojawiło się w mieście. Było ono absolutną odwrotnością tego, czym wcześniej żyło miasto. Prawdziwą rewolucją stało się odkrycie tłustej, śmierdzącej ropy naftowej. Leżała na niezbyt dużej głębokości pod samym centrum miasta, pod okolicznymi miasteczkami i pod piaszczystymi plażami Pacyfiku. Złoża ropy naftowej znajdowały się na małej głębokości, co zdecydowanie ułatwiało jej wydobywanie nawet za pomocą prymitywnych urządzeń wydobywczych. Złą wiadomością dla mieszkańców było to, że ropa z tych źródeł była słabej jakości i nie zawsze nadawała się do rafinowania.

Odkrycie ropy było potwierdzeniem wcześniejszej wiedzy o dziwnej tłustej mazi, która gromadziła się w dołach rozrzuconych na całej wyżynie Los Angeles. Dla mieszkańców była ona tylko problemem, gdyż musieli budować płoty, chroniące ich bydło przed wpadnięciem do cuchnącego błota. Ten wydawałoby się bezwartościowy dar ziemi miał jednak pewne właściwości. Kolonizatorzy hiszpańscy, misjonarze i pierwsi Meksykanie używali bitumicznej mazi do smarowania osi kół swoich powozów lub do uszczelniania dachów. Bardziej zaawansowane wykorzystanie ropy rozpoczęło się w momencie wejścia do miasta Amerykanów,

którzy próbowali wydobywać smołowatą ciecz i destylować ją tak, aby powstał jeden z najbardziej pożądanых towarów tych czasów – paliwo do lamp naftowych. Wprawdzie nie było ono tak czyste jak droga oliwa z wielorybów lub nafta z Pensylwanii, ale za to było bardzo tanie.

Pod koniec XIX wieku wydobywanie ropy w Los Angeles nie należało do szybkich sposobów wzbogacenia się. To nie było eldorado, takie jak po odkryciu złota w północnej Kalifornii. Najczęściej kończyło się na potężnych stratach finansowych. W Kalifornii nie natrafiono na tak duże złoża, jak to było we wschodniej Pensylwanii, i nikt w okolicy nie stał się nowym Rockefellerem. Wydobytą ropę próbowano destylować, ale z niezbyt dobrym rezultatem. Samo wydobywanie było prymitywne w porównaniu z tym, jak to robiono w innych regionach kraju. Czasami wykopywano łopatami tunele tak, aby zgromadzić tłustą ciecz, która była tak oleista, że trudno było ją przepompować rurociągami. To w zasadzie nie była ropa naftowa. To była bitumiczna ciecz przypominająca płynny asfalt, której największym zastosowaniem było wylewanie na nieutwardzane ulice miasta w celu zmniejszenia kurzu i błota.

Pierwsze źródło ropy naftowej dobrej jakości odkryto 4 listopada 1892 roku. Na terenie leżącym parę kilometrów na północ od centrum miasta Edward L. Domeny, miejski poszukiwacz minerałów, doszedł ze swoją wydrążoną studnią do głębokości 47 metrów. Wtedy natrafił na blokadę uniemożliwiającą dalsze pogłębianie, po kilku energicznych próbach udało mu się jednak przebić do niezwykle bogatego złoża dobrej jakości ropy naftowej. Ciekła kopalina wystrzeliła w powietrze i to w takiej ilości, że można było mówić o komercyjnym sukcesie.

Teren, na którym dokonano tego odkrycia (dziś znajduje się tu kolosalny stadion baseballowy Dodgersów), stał się w ciągu paru tygodni prawdziwą bonanzą. Z racji braku szczegółowych regulacji prawnych wystarczyło mieć kapitał 1000–1500 dolarów, aby

móc zacząć drążyć ropę na często miniaturowej wielkości działce. Należało być szybkim, gdyż bliskie sąsiedztwo dużej ilości małych działek mogło skutkować tym, że sąsiedzi uzbrojeni w bardziej zaawansowany technicznie sprzęt mogli wyssać całe złożę. Nikt nie miał pojęcia, jaka była jego pojemność.

W ciągu roku na tym ograniczonym terenie znajdowało się już 121 szybów. Ciasnota tego miejsca spowodowała, że wieże wydobywcze pomieszane były z domami mieszkalnymi, małymi fabrykami, szkołami i drogami lokalnymi. W miarę jak odkrywano ropę na sąsiednich działkach, liczba eksploatowanych źródeł wzrosła do ponad 550. Dzielne wydobywanie trzy lata po pierwszym odkryciu było spektakularne i doszło do 320 metrów sześciennych.

Ci, którzy zdecydowali się wcześniej i zaczęli szukać w odpowiednim miejscu, mogli się pochwalić całkiem pokaźnymi fortunami. Nagle wszyscy chcieli wydobywać ropę. Liczba firm szukających złóż była imponująca, a miejscowa giełda została zalana akcjami firm naftowych. Jednym z najbardziej agresywnych rekinów naftowych na giełdzie był niecodzienny gość z dalekiego Kentucky, który powinien się zajmować wszystkim, tylko nie prowadzeniem tego brudnego biznesu.

Emma Summers, nauczycielka gry na pianinie, była tym rekinem giełdowym. W przerwach między swoimi zajęciami pedagogicznymi postanowiła dorobić sobie trochę pieniędzy i rozkręciła własny biznes naftowy. Za jedyne 700 dolarów zaoszczędzone z korepetycji muzycznych kupiła udziały w jednym ze źródeł, które leżało na terenie obecnego Civic Center, największego w USA lokalnego centrum administracyjnego. Po pierwszym zakupie i pierwszym, jeszcze skromnym, zarobku nasza wirtuozka muzyki i biznesu inwestowała konsekwentnie w następne źródła. Często jej nowe zakupy były na kredyt, a ci, co sprzedawali, byli bankrutami, którzy nie wytrzymywali konkurencji i zmuszeni byli do zrezygnowania z naftowych marzeń. Emma Summers była

zdolna i doskonale zorganizowana. Cały czas udzielała korepetycji muzycznych, a w przerwie między lekcjami zaglądała na giełdę i systematycznie wykupowała nowe złoża. Wydobytą ropę sprzedawała lokalnym elektrowniom, hotelom i fabrykom. Na początku XX wieku stała się prawdziwą „królową ropy naftowej” w Los Angeles i kontrolowała połowę źródeł znajdujących się pod obecnym centrum miasta.

Na przełomie XIX i XX wieku w mieście znajdowało się już 1150 aktywnych źródeł, z których 200 firm próbowało wypompuwać każdą kroplę ropy. Takie ciśnienie na ropę musiało oczywiście spowodować spadek ciśnienia w samych źródłach. W 1915 roku na terenie pierwszego wielkiego złoża w centrum miasta były już tylko dwa czynne źródła.

Pierwsza gorączka naftowa miała wszelkie atrybuty klasycznego boomu: bezprawie rządziło na terenach wydobywczych, a korupcja wśród urzędników. W nocy kradziono ropę zgromadzoną w cysternach, niszczone narzędzia konkurentów, dewastowano wieże wiertnicze sąsiadów. Gorączka na przełomie XIX i XX wieku była jednak dopiero początkiem prawdziwej bonanzy. Wielkie złoża ropy znaleziono na terenach otaczających samo miasto i w centralnej części południowej Kalifornii. O tym, że znalezione złoża ropy były warte fortunę, zdecydował jeden fakt, który wcześniej był tylko ciekawostką techniczną z dalekiej Europy. W 1886 roku w Europie pojawiły się pierwsze samochody napędzane benzyną. Od tego momentu minęło zaledwie 20 lat, kiedy na ulicach amerykańskich miast pojawił się pierwszy masowo produkowany towar konsumujący to, co było wydobywane z kalifornijskiej ziemi. W 1908 roku Henry Ford wypuścił ze swoich fabryk dużą ilość dobrych i tanich samochodów. Narodził się Ford Model T, narodziła się masowa motoryzacja i jej stolica – Los Angeles.

W 1920 roku produkcja ropy naftowej w Kalifornii osiągnęła fantastyczny poziom 77 milionów baryłek. W okolicach Los Ange-

les odkryto nowe złoża w Compton, Torrance, Inglewood i pod piaszczystymi plażami Pacyfiku. Nowe złoża w Huntington Beach, Long Beach, Santa Fe Springs i Signal Hill były o wiele większe niż te pierwsze w centrum miasta i zawierały zdecydowanie lepszej jakości ropę. Południowa Kalifornia stała się nowym amerykańskim centrum przemysłu naftowego, a Standard Oil Company of California (obecny Chevron) największym producentem ropy naftowej na zachodnim wybrzeżu. Popyt na ropę był tak wielki, że próbowano wykorzystywać każdy metr kwadratowy, pod którym zalegała, bez względu na to, gdzie działka była zlokalizowana. Przykładowo: ogród i boisko Beverly Hills High School „produkowało” ponad 400 beczek ropy naftowej każdego dnia, z czego szkoła każdego roku miała dochody w wysokości 300 000 dolarów.

Często ludzie kupowali działki nie z myślą o budowie czegośkolwiek, lecz z nadzieją, że pod ich maleńkim kawałkiem ziemi znajduje się wymarzona ropa. Wieże wiertnicze stawiano wszędzie: na plażach, cmentarzach, podwórkach szkolnych i pośrodku prywatnych dróg. W niektórych dzielnicach miasta przejazd przez ulice przypominał wycieczkę przez niekończący się las szybów naftowych. Ropa naftowa wydobywana na terenie miasta była przetwarzana przez rafinerie, które również znajdowały się na jego terenie. Przemysł wydobywczy stał się najważniejszym motorem rozwoju miasta. Powstawały wielkie fortuny. Duża część pieniędzy pozostawała w Los Angeles, będąc kapitałem potrzebnym do dalszego rozwoju, m.in. do budowy w mieście nowych fabryk. Los Angeles z wolna stawało się wielkim warsztatem zachodu USA. W 1923 roku wydarzyło się coś, o czym jeszcze dziesięć lat wcześniej mieszkańcy mogli tylko marzyć. Symboliczna wartość tego faktu była prawie równie wielka, jak wcześniejsze otwarcie kolejowego połączenia transkontynentalnego. Port w Los Angeles zaczął przeładowywać więcej ładunków niż mityczny port w San Francisco! Dwa lata później fabryki miasta zatrud-

niały tyle osób, ile wszystkie fabryki San Francisco i Portland razem wzięte! Tempo rozwoju Los Angeles było fenomenalne. Było to najszybciej rozwijające się zwariowane miasto w kraju, w którym wszystko mogło się wydarzyć i każde marzenie spełnić.

Interesy w mieście szły tak dobrze, że niewielu dopuszczało możliwość pojawienia się czegoś, co zahamuje ten fantastyczny rozwój – lecz pojawił się krach. Los Angeles po raz pierwszy zasmakowało gorzkiego lekarstwa XX wieku – kryzysu paliwowego. Współcześnie doświadczamy tego aż zbyt często i wiemy, jak to funkcjonuje. W momencie pisania tej książki, czyli w połowie 2016 roku, trwa nadprodukcja ropy i co za tym idzie szybki spadek jej ceny.

Jak podała telewizja CNN, na początku 2016 roku od baryłki surowej ropy droższy był posiłek dla czterech osób w McDonald's. Wyprawa do kina we dwoje również wiąże się z kosztami większymi niż koszt 160 litrów ropy. Baryłka była też o wiele tańsza niż całodzienny bilet parkingowy na Manhattanie w Nowym Jorku. W latach 20. XX wieku spadek ceny był jeszcze bardziej dramatyczny i cena jednej baryłki spadła z 28 dolarów do 10.

Miasto zaczęło tracić nie tylko dochody, zaczęło również płacić pierwsze rachunki za żywiołowe i chaotyczne wydobywanie. W złożach ropy znajdował się niebezpieczny gaz – metan. Wybuchowy, zdradliwy i niewidoczny. Mimo zakończenia wydobywania pod ścisłym centrum miasta, metan przypominał o sobie od czasu do czasu i o tym, jak brutalnie próbowano eksploatować złoża ropy naftowej, zapominając o bezpieczeństwie i późniejszych konsekwencjach, a te są aktualne do dzisiaj. Miasto dosłownie siedzi na przysłowiowej beczce prochu. Nawet dziś tysiące budynków w centrum miasta muszą mieć aparaturę pomiarową i alarmową umożliwiającą szybką ewakuację w przypadku odkrycia metanu. Takie urządzenia mają przykładowo znane na całym świecie obiekty sportowe i kongresowe Staple Center i Los Angeles Convention Center.

W mieście pracuje w dalszym ciągu około trzech tysięcy pomp naftowych, które eksploatują ropę, ale wielka przygoda Los Angeles z ropą zakończyła się w latach 80. XX wieku. Na miejscu pól naftowych zaczęto budować domy, centra handlowe i... plaże. Specjalna agencja miejska Los Angeles Urban Renewal Association zaczęła odzyskiwać ziemie pod coś, co będzie jeszcze większym biznesem niż ropa naftowa. Tym produktem będzie nowa wersja California dream, tym razem XXI-wieczna wersja dla turystów, która stanie się pożądanym produktem wśród milionów, najczęściej zamożnych ludzi z całego świata.

Działające jeszcze pompy są dyskretnie ukrywane za wysokimi płotami. Nie są widoczne z okien samolotów lądujących na LAX, nowych drogich apartamentów i luksusowych hoteli. Nie przesłaniają widoku perfekcyjnych plaż kalifornijskich, gdzie miejsca pracy znaleźli nie brudni i otluszczeni ropą eksploratorzy, lecz dzielni ratownicy pozujący na bohaterów filmowego Słonecznego patrolu czuwający nad bezpieczeństwem tysięcy turystów z całego świata. Przyjechali tu choćby na parę dni i chcą zasmakować wypoczynku na legendarnych kalifornijskich plażach. Los Angeles i Pacyfik stały się tłem milionów selfies mających być dowodem pobytu w letnim raju i otarcia się o światowość, potwierdzonego przez utęsknione łajki na Instagramie lub Facebooku. To, co turyści „kupują” od miasta, to atrakcyjność, prestiż i splendor. Los Angeles jest po prostu hot i ma to coś, czego nie ma żadne inne miasto na świecie. Tym unikatowym towarem jest glamour, który jest tak pożądany przez wszystkich. Ten specjalny, kalifornijski glamour narodził się prawie 100 lat wcześniej. Możemy przyjąć hipotetycznie, że stało się to 16 maja 1929 roku. Tego dnia światła premierowych reflektorów, flesze reporterów prasowych i uwaga tłumów ciekawskich skierowana była na hotel Roosevelt. Ten największy w Hollywood hotel położony był tylko kilkadziesiąt metrów od pachnących jeszcze świeżością teatrów – będących własnością Sida Graumana, znanego w mieście showmana. Ku zdzi-

wieniu niektórych Grauman wszystkie swoje pieniądze zainwestował w nowy typ teatrów wyświetlających bieżące produkcje filmowe, które przestały już być prymitywnymi „ruchomymi obrazami” jak jeszcze 20 lat wcześniej. Nowe kinoteatry Egyptian, El Capitan i Chinese tworzyły wraz z hotelem Roosevelt centrum młodego świata filmu.

Około 250 osób zaliczanych do elity miasta zgromadziło się w hotelu Roosevelt w Blossom Room, aby po raz pierwszy rozdać nagrody ustanowione przez Louisa B. Mayera (MGM Studios) i Amerykańską Akademię Sztuki i Wiedzy Filmowej (ang. Academy of Motion Picture Arts and Sciences). Statuetka miała zachęcać do innowacji i kreatywności w nowo rodzących się: sztuce, przemyśle i biznesie.

Wybór hotelu Roosevelt na miejsce pierwszej gali akademii nie mógł być lepszy. Ten gigantyczny jak na owe czasy 12-piętrowy hotel z 300 pokojami był symbolem miejsca, które z niepozornej wsi pod Los Angeles w ciągu kilkunastu lat stało się integralną częścią miasta i siedzibą największych studiów filmowych na świecie. Na pierwszej gali Oscarowej nastąpiło nie tylko wręczenie nagrody filmowej, ale również zakomunikowanie światu ważnej wiadomości. Tego wieczoru nastąpiło cudowne przeistoczenie się grupy imigranckich przedsiębiorców, zajmujących się mającą wątpliwą reputację rozrywką, w grupę potężnych amerykańskich biznesmenów. Ich produkt nie tylko doskonale się sprzedawał, ale również powoli stawał się sztuką, za którą można było otrzymać prestiżową nagrodę. Przyznawanie nagrody Akademii Filmowej miało być materialnym dowodem siły nowego przemysłu. Film stał się nową, masową rozrywką, której znaczenie nabrało nieproporcjonalnych rozmiarów. Gwiazdy filmowe stawały się nowymi świętymi, a wielcy producenci i właściciele studiów bogami, którzy mogli stwarzać wszystko, co tylko przyszło do głowy. Rzeczywistość początku XX wieku została powiększona o nowy wymiar. Fantastyczne filmy zawładnęły ludzką wyobraźnią.

Filmy kreowały marzenia i pomagały ludziom przeżyć problemy szarego, ciężkiego dnia. Film zaczął tworzyć wzorce i inspiracje, za którymi podążały miliony zauroczonych widzów. Z biegiem lat rozdanie Oscarów elektryzowało miliony Amerykanów, którzy uznali, że film jest ważną częścią ich życia, bez której nie mogą się obyć. To stwierdzenie jest w dalszym ciągu aktualne po 88 kolejnych galach i ponad 2900 rozdanych Oscarach.

Tworzono oryginalne zwyczaje, tradycję i mistykę nowej sztuki. Nawet zwykłe premiery filmów stawały się wielkimi wydarzeniami. Mary Pickford i Douglas Fairbanks jako pierwsi aktorzy odcisnęli w świeżym betonie ślady swoich butów i rozpoczęli prawie stuletnią tradycję zostawiania przez gwiazdy filmowe swoich śladów przed Grauman's ; Chinese Theatre. Źródło tej jednej z najsławniejszych tradycji Hollywood było bardzo prozaiczne. W 1927 roku Norma Talmadge, jedna z gwiazd filmowych, przez przypadek wdepnęła w świeżo wylany cement przed Chinese Theatre, co spowodowało duże towarzyskie poruszenie. Właściciel teatru postanowił wykorzystać to poruszenie do stworzenia darmowego PR-u. Do dnia dzisiejszego zgromadzono 273 odciski dłoni i butów sławnych ludzi filmu, którzy są proponowani do tej nobilitującej już uroczystości przez anonimowy dla publiczności Komitet Uroczystości Utrwalenia Rąk i Stóp.

Początek przemysłu filmowego był tak skromny i nieznaczący, że do niedawna nie wiadano dokładnie, kiedy właściwie wyprodukowano pierwszy film w Hollywood. Dopiero w 2004 roku ustalono, że pierwszym filmem był 17-minutowy melodramat D.W. Griffitha *In Old California* z 1910 roku, w którym intensywnie eksploatowano piękno krajobrazu i romantyczną otoczkę tej do niedawna hiszpańsko-meksykańskiej prowincji.

Teatr, rozrywka, kabaret były traktowane w tych czasach jako podejrzana działalność niegodna szanujących się kobiety i mężczyźni. Takie przekonanie było prawie powszechne, chyba że pochodziło się z niektórych grup imigranckich, które kochały te sen-

tymentalne i infantylnie opowieści wyświetlane w maleńkich salach widowiskowych wciśniętych między czynszówki i fabryki w zakopconych i hałaśliwych miastach początku XX wieku.

To właśnie żydowscy, rosyjscy, włoscy, polscy, irlandzcy, węgierscy producenci byli siłą napędową rodzącej się branży rozrywkowej, a ich rodacy najwierniejszą publicznością. Przedstawień, które pokazywano, nie uważano za sztukę. To było dno dla kulturalnej elity W.A.S.P. (ang. White Anglo-Saxon Protestants) i niegodne uwagi szanującego się obywatela. Jeśli teatr, muzyczne komedie, kabarety, wodewile były dnem gustów kulturalnych, to produkcja krótkich filmów na początku XX wieku była drugim dnem właśnie tego dna.

Ta prymitywna rozrywka na poziomie lunaparku pokazywała „dramaty”, których tematem był uproszczony obraz Ameryki, w której częstym problemem byli niechciani, nieporadni i bezwartościowi Żydzi, Rosjanie, ograniczeni Afroamerykanie i groźni Indianie. Mimo to, że filmy były obraźliwe wobec wielu grup etnicznych, tłumy ludzi – w dużej części imigranci zapełniały sale kinowe. Ciekawość nowości, możliwość zrozumienia fabuły bez znajomości języka angielskiego miały większą siłę niż osobiste urazy. Popularność pierwszych filmów osiągnięta została w dużej części dzięki tanim biletom i łatwemu dostępowi do sal kinowych. Ta masowość zaczęła dawać nowej branży znaczącą siłę ekonomiczną. Miliony Amerykanów spędzały całe dnie w salach kinowych zwanych Nickelodeon, gdzie za jedyne 5 centów mogli bez ograniczeń od wczesnego popołudnia do późnej nocy oglądać serie krótkich, około 12-minutowych filmów.

W 1929 roku elicie przemysłu filmowego zgromadzonej w hotelu Roosevelt mogło się wydawać, że 15-minutowa uroczystość wręczenia nagród jest wystarczającym podkreśleniem prestiżu nowego przemysłu. Wydawało się, że miasto i jego studia filmowe były u szczytu swojej potęgi. W ciągu 20 lat Los Angeles prze-

kształciło się z małego prowincjonalnego miasta w światowe centrum filmowe.

Los Angeles miało to, czego potrzebował rodzący się biznes filmowy – idealne, naturalne światło ułatwiające produkcję filmów bez konieczności użycia drogiego sztucznego oświetlenia, które zresztą w tym czasie nie było wszędzie dostępne. Wszystkie filmy tych pionierskich czasów produkowano pod gołym niebem, w „studiach” składających się z trzech drewnianych ścian, bez względu na to, czy akcja filmu toczyła się w plenerze, czy też we wnętrzu budynku.

Unikatowe światło nie było jedyną przyczyną, gdyż podobne warunki pogodowe były na każdym kawałku amerykańskiego południowego zachodu lub na Florydzie.

Światło w połączeniu z intensywną kampanią promocyjną Izby Handlowej Los Angeles rozstrzygnęło sprawę. Izba reklamowała miasto i południową Kalifornię nie tylko jako prawdziwy raj z ponad 300 słonecznymi dniami w roku, ale również jako miejsce, gdzie w zasięgu ręki były spektakularne naturalne scenografie: od zaśnieżonych szczytów górskich do pustyń i pięknych plaż Pacyfiku. W czasach, kiedy filmy westernowe były głównym produktem studiów, możliwość kręcenia scen w górach, na pustyni, wśród kaktusów i meksykańskiej architektury i z udziałem meksykańskich statystów była kusząca.

O jednym fakcie jednak nie pisano w propagandowych broszurach i materiałach prasowych, choć wszyscy o tym szeptali. Rozstrzygającym faktem, który miał przyciągać ludzi kina do Los Angeles, był dystans od Wschodniego Wybrzeża. Atutem miasta było tak dalekie jak to tylko możliwe oddalenie od biura patentowego MPPC (The Motion Picture Patent Company), które dbało, aby żaden producent nie zapomniał o opłatach patentowych za używanie sprzętu do produkcji „ruchomych obrazów”. Właścicielem tego patentu był koncern Thomasa Edisona. Kontrola MPPC nie dotyczyła tylko sprzętu i technologii. Ze swojego biura w New Jer-

sey starano się kontrolować również tematykę filmów, długość ich trwania i koszty produkcji. W praktyce MPPC stworzyło monopol, który był nie do zaakceptowania. Producentami często byli imigranci, którzy dusili się w sztywnych ramach stworzonych przez stare elity. Jedynym wyjściem było, przeniesienie produkcji filmów tak daleko, jak tylko się dało od Nowego Jorku, a tym najbardziej oddalonym na zachód punktem na mapie było właśnie Los Angeles. Tym, którzy w dalszym ciągu czuli się niepewnie i obawiali się kar pieniężnych lub więzienia, poczucie bezpieczeństwa dawała leżąca w pobliżu miasta granica meksykańska, za którą mogli się schronić filmowi gringo niezgadzający się na dyktat MPPC.

Ten mit o przyczynach powstania przemysłu filmowego w Los Angeles jest tak malowniczy i emocjonujący, że przytaczany jest prawie we wszystkich materiałach informacyjnych o kolebce sztuki filmowej. Rzeczywistość była trochę mniej emocjonująca. Problemy z licencją Edisona miała tylko jedna firma, reszta pojawiła się w Kalifornii przede wszystkim z powodu fantastycznego słońca i możliwości plenerowych.

Pierwszym znaczącym producentem, który już w 1907 roku wykorzystał naturalne atrybuty południowej Kalifornii, był William Selig z Chicago. W mrocznym Chicago miał on problemy z realizacją swojego filmu *Hrabia Monte Christo* (ang. *The Count of Monte Cristo*). Ciemności jesiennych i zimowych miesięcy w Chicago uniemożliwiały zakończenie tego projektu. Rozwiązanie było proste. Selig wysłał kamerzystę i jego asystenta do Kalifornii w celu dorobienia brakującego materiału. „Aktorów” wynajęto już na miejscu. To, że nie przypominali oni postaci we wcześniej nagranych epizodach, nie odgrywało większej roli. Pięciocentowa publiczność nie była zbyt wymagająca i entuzjastyczni widzowie nie zauważyli podmiany „aktorów”. W filmie miała być duża dawka sentymentalizmu, romantyki, szybkich i dramatycznych akcji. Wśród publiczności pierwszych filmów niemych było nie-

proporcjonalnie wielu imigrantów nieznających języka angielskiego. Sale kinowe stały się jakby przedsionkami do nowego kraju. Filmy nieme były dla nich w pełni zrozumiałe dzięki grze aktorów z ich przesadnymi gestami i prostej fabule. Scenariusz i prawdopodobieństwo akcji nie było w tym czasie jeszcze najważniejszym wymogiem. Po pierwszym filmie zrealizowano kolejne w kalifornijskich plenerach, aż do momentu, gdy Selig całkowicie przeniósł swoją wytwórnię do jeszcze w tym czasie prowincjonalnego Los Angeles.

Przełomową decyzją dla miasta było zaangażowanie się w produkcję filmową jednego z ówczesnych gigantów – Davida W. Griffitha, który w 1909 roku zaczął intensywnie w nim filmować. Na wynajętym wolnym placu w centrum miasta w ciągu trzech miesięcy zdążył zrealizować ponad 20 krótkich filmów. Podobnie jak wielu innych producentów rodem ze Wschodu, Griffith zdecydował się w końcu na przeniesienie swojej działalności do słonecznej Kalifornii. Wśród pionierów, którzy zdecydowali się na osiedlenie w jeszcze słabo znanym Hollywood, byli również aktorzy, producenci filmowi, scenarzyści z Nowego Jorku i Chicago, w tym legendy filmu niemego: *America's Sweetheart* – Mary Pickford i późniejszy *The King of Hollywood* – Douglas Fairbanks.

W pierwszych latach XX wieku prawie wszyscy producenci z nowojorskiego Broadwayu i Chicago mieli swoje filie w Los Angeles i coraz częściej lokowali tu część swojej produkcji. Z początku była to tylko sezonowa obecność w okresie zimy. Udane rezultaty przekonały ich jednak do definitywnej przeprowadzki. Miasto stawało się atrakcyjną lokalizacją, która coraz częściej wygrywała z faworyzowaną, równie słoneczną Florydą. Floryda dostarczała słonecznego światła, ale z przyczyn naturalnych nie mogła zagwarantować pewnego typu plenerów. Nie można było tam kręcić westernów i scen gdzie zdobywało się łańcuchy górskie, pokonywało pustynie i wartkie strumienie, itp.

Życzliwi mieszkańcy, i gościnność miejscowego biznesu ułatwiała zaaklimatyzowanie się przybyszów z innych regionów kraju. Kalifornia w dalszym ciągu była ziemią pionierów, gdzie nie stworzono tak sztywnej hierarchii i etykiety socjalnej, jak w starych wschodnich metropoliach: Nowym Jorku, Bostonie czy Filadelfii. Tu łatwiej się żyło, szybciej wspinało na wyższy poziom lokalnej społeczności lub po prostu tworzyło się od podstaw własne środowisko rządzące się swoimi prawami i niepotrzebujące spoglądać na stare elity. Nawet takie powszechne słabości pierwszych pionierów filmu, jak: nieobyćcie towarzyskie, częsta przesadna ambicja i bezwzględność w rozwijaniu własnej kariery życiowej nie dyskwalifikowały ich w biegu do osiągnięcia awansu społecznego. Ciężka praca torowała im drogę do sukcesu. Ich atutem była umiejętność opowiadania fascynujących historii, pełnych życia, smutku, radości, wypełnionych muzyką i tańcem. Byli oni po prostu najlepsi w tym, co robili. Ich produkty nie były tak ambitne, jak francuskie, niemieckie lub brytyjskie, ale miały wielką przewagę – ściągały tłumy do sal kinowych. Być może właśnie dlatego, że były naiwne jak zwykłe ludzkie marzenia. Ludzie potrzebowali potwierdzenia swoich marzeń.

Ten nowy świat toczący się gdzieś między marzeniem a rzeczywistością, a tak podziwiany przez wszystkich, stworzyła mała grupa imigrantów ze wschodu USA. Część z tych ludzi miała swoje korzenie rodzinne w Europie Wschodniej: w Polsce, Rosji lub na Węgrzech. Prawie wszyscy byli Żydami. W Europie ich rodzice doświadczyli często biedy, ucisku i braku możliwości rozwoju. To właśnie ci ludzie lub ich dzieci kilkadziesiąt lat później stworzyli najbardziej ekskluzywne miejsce na świecie. Ci nowi Amerykanie wykreowali coś, co stało się symbolem całej Ameryki – Hollywood zbudowane na bazie sześciu głównych studiów filmowych, które były u szczytu swojego powodzenia od lat 20. do końca lat 60. XX wieku.

To dokonanie było rezultatem wielkiego wysiłku, umiejętności i konsekwentnego dążenia do celu. Przybyłszy z Europy Wschodniej nie żyło się łatwo w nowej ojczyźnie. Byli oni systematycznie izolowani, dyskryminowani i niedopuszczani do uczestniczenia w głównym nurcie gospodarki amerykańskiej zarówno przez sektor bankowy, przemysł, jak i usługi. Dlatego też znaleźli oni dla siebie szansę wybicia się w biznesie, którym nikt się nie interesował. Film w tym czasie w zasadzie nie był biznesem, lecz śmiesznym zajęciem niegodnym prawdziwych biznesmenów. Paradoksalnie to było doskonałe miejsce dla nowych, ambitnych przedsiębiorców. Wystarczyło tylko być odważnym, wyczuwać atmosferę i potrzeby masowego odbiorcy i mieć nowatorskie pomysły. Żydowscy pionierzy filmu nie byli artystycznymi mistrzami kina, ale na pewno byli geniuszami, którzy wiedzieli, co zrobić z tym nowym produktem. Stali się oni mistrzami dystrybucji, w której wiodącym motywem było klasyczne zawołanie: sprzedać, sprzedać, sprzedać! Film sprzedawał się niespodziewanie dobrze. Był to najlepszy biznes na świecie! Ludzie płacili, zanim otrzymali towar. Nawet jeśli film im się nie podobał, to pieniądze już były w kieszeni dystrybutora. Sprzedaż czegoś, co było bajką, marzeniem i nierealnym światem, stała się bardzo intrygująca.

Niewielu znaczących i bogatych kapitalistów spostrzegło wielki potencjał nowej branży. Znalazło się jednak wielu drobnych, zdeterminowanych biznesmenów, którzy postanowili włożyć w ten biznes swoje pieniądze. W 1911 roku angielscy producenci David i William Horsley zainwestowali w pierwsze stałe studio filmowe w Los Angeles, które nawet do dziś ma bardzo rozpoznawalną lokalizację. Leżało ono na rogu Sunset Boulevard i Gower Street, a więc tam, gdzie dziś ma siedzibę Sunset Gower Studios, jedna z największych niezależnych wytwórni, w skład której wchodzi ponad 20 supernowoczesnych studiów.

Niemiec Carl Laemmle stał się pionierem i założycielem pierwszego prawdziwego, profesjonalnego studia w Hollywood, które jest dzisiaj gigantem – Universal Motion Picture Manufacturing Company. Studio stworzono w 1914 roku na zakupionych 235 akrach ziemi w San Fernando Valley. To był gigantyczny i samowystarczalny kompleks, w skład którego wchodził szereg studiów, warsztatów i plenerów. Rok później jego ranczo, które przetrworzyło się w pierwsze na świecie filmowe miasto, zostało włączone w granice administracyjne Los Angeles. W tym czasie film zaczął być naprawdę dobrym interesem. Szczególnie jeden gatunek sprzedawał się bez żadnych ograniczeń. Ludzie oszaleli na punkcie westernów i jak to opisał jeden z producentów: „Kraj jest zalany filmami westernowymi. Na rynku sprzedaje się to jak narkotyk”.

Imigrant rodem z Węgier William Fox w 1915 roku przekształcił swoją już owocną działalność dystrybutora filmów w produkcję filmów. Swoje studia nazwał Fox Film Corporation i ulokował je na południu od centrum miasta w Culver City.

W 1916 roku rosyjski emigrant Louis B. Mayer założył wytwórnię, która parę lat później stała się częścią Metro-Goldwyn-Mayer (MGM). W połączeniu, które miało miejsce w 1924 roku, jego partnerami zostali polski Żyd urodzony w Warszawie Samuel Goldwyn i Marcus Loew. Dołożyli oni, do tej już i tak imponującej jak na owe czasy wytwórni Mayera, swoje własne, wcześniej założone studia. Samuel Goldwyn stał się później tym producentem, który najlepiej oddał entuzjazm i optymizm nowo rodzącego się przemysłu filmowego. Miał on tak powiedzieć: „Nieważne jest, czy zarabiam na moich filmach. Ważne jest to, aby każdy mężczyzna, kobieta i dziecko w Ameryce obejrzało je”.

Już od 1912 roku rozwijał się prawdziwy gigant tych czasów – Paramount Pictures. Pod kierownictwem finansisty nowojorskiego Adolpha Zukora w 1927 roku zbudowano potężną konstrukcję organizacyjną, w skład której wchodziła dystrybucja,

produkcja filmowa, wielkie studia i agencje teatralne. Jego biznes rozkwitał. Zapotrzebowanie wyprzedzało popyt. Po paru latach Paramount stał się tak potężną firmą, że zaczął dyktować warunki całej branży i stworzył w praktyce monopol na dystrybucję kinową. Był on tak efektywny, że dopiero po zakończeniu II wojny światowej rząd amerykański oskarżył Paramount Pictures o praktyki monopolistyczne i zmusił wytwórnię do znaczącego ograniczenia działalności.

Mary Pickford nie tylko zdobyła status pierwszej supergwiazdy kina, ale również tytuł nowatora w produkcji filmowej. Założenie przez nią i jej przyjaciół wytwórni stanowiło jeden z pierwszych eksperymentów rodzącego się przemysłu filmowego. „United Artists” zostało założone w 1919 roku na spółkę z reżyserem D.W. Griffithem, gwiazdami: Charlie Chaplinem i Douglasem Fairbanksem. Ich intencją była lepsza kontrola nad wielkimi pieniędzmi, które zaczęły zasilać przemysł filmowy. Już nie tylko duże studia miały decydować o losie aktorów, reżyserów i scenarzystów. Powstała „spółdzielnia”, która miała pilnować interesów tych, którzy w rzeczywistości tworzyli dzieła filmowe.

W późnych latach 20. XX wieku każdy rok przynosił nowości w postaci kolejnych firm próbujących swoich sił w nowym przemyśle. Joseph Kennedy z Bostonu, ojciec późniejszego prezydenta USA, właściciel Film Booking Office, połączył swoje siły z Radio Corporation of America i stworzył potężne studio RKO Radio Pictures. Parę lat później powstała kolejna niezależna wytwórnia filmowa, która przyjęła nazwę Twentieth Century Pictures.

Pierwszy okres kształtowania się systemu wielkich studiów filmowych w Los Angeles zakończył się założeniem w 1923 roku wytwórni Warner. Założycielami było trzech braci urodzonych w polskim Krasnosielcu w powiecie makowskim i najmłodszego z braci Jacka – urodzonego na emigracji w Kanadzie. Bracia Aaron, Szmul, Kirsz i Jack Wonsal (Wąsal) już pod zamerykanizowanym nazwiskiem Warner postanowili zrealizować marzenie o produk-

cji własnych filmów. Bracia Warner nie tylko wcisnęli się na coraz bardziej zatłoczony rynek filmowy, ale również dokonali rzeczy, która odmieniła cały przemysł filmowy.

W 1927 roku bracia Warner podjęli duże ryzyko i postanowili zainwestować w kino dźwiękowe. Pierwszy film stworzony w tej technice, *Śpiewak jazzbandu* (ang. *The Jazz Singer*), był pierwszą komercyjną próbą nagrania obrazu długometrażowego z zsynchronizowanym dźwiękiem dialogów i muzyki. Film był wielkim sukcesem i inne wytwórnie hollywoodzkie szybko zaczęły podążać śladami i przestawiać swoją produkcję na filmy dźwiękowe.

Ci, którzy nie zlekceważyli nowej formy rozrywki i sztuki, stali się bardzo szybko zamożnymi kapitalistami. Wielkie studia i setki mniejszych poddostawców usług filmowych, takich jak: krawcy, stolarze, malarze, stworzyli w Los Angeles chłonny rynek pracy. Był on tak znaczący, że uznano go za piąty co do wielkości obrotu przemysł amerykański. W 1926 roku obrót przemysłu filmowego osiągnął bajeczny poziom 1,5 miliarda dolarów, za tą sumą stało 90% wszystkich filmów produkowanych na całym świecie.

Filmowe marzenia kreowali ludzie pochodzący często z niezbyt znanych i odległych kręgów kulturowych. Żydowskie, wschodnioeuropejskie lub rosyjskie dziedzictwo literackie, muzyczne, taneczne połączone z czysto amerykańskim etosem początku XX wieku stało się niespodziewanie idealną mieszanką, która porywała tłumy. Hollywood zaczęło tworzyć mit szczęśliwej Ameryki, w której wszyscy, nawet ci, którzy często byli odrzucani z powodów etnicznych lub religijnych, czuli się jak u siebie w domu, gdzie każde niepowodzenie i klęska może być przekute w sukces. Był to wprawdzie mit, lecz z biegiem lat ludzie zaczęli w niego wierzyć i zaczął on kształtować ich dążenia, plany życiowe i realne życie. Hollywood zaczęło uczyć ludzi, jak reagować w życiu, co jest ważne, a co nie, z czym należy walczyć i kto jest prawdziwym Amerykaninem, a kto nie.

Szefowie wielkich studiów, którzy w swoim życiu doświadczyli odrzucenia i dyskryminacji, startując z pozycji outsiderów, stali się najlepszym przykładem, że można osiągnąć sukces w nowym kraju, że można wywindować się na szczyty. Ich upór i umiejętności walki o lepsze miejsce w społeczeństwie pomagały innym grupom etnicznym. Wielkie studia filmowe niespodziewanie stały się liberalnymi promotorami Afroamerykanów. Artystyczne Hollywood jak żadna inna instytucja kulturalna w połowie XX wieku przyczyniło się do popularyzacji kultury i muzyki Czarnych. Kultura Afroamerykanów była dostrzegana jako inspirująca i oryginalna, ale miała problemy z przebicciem się do świadomości białej Ameryki. Czarna twórczość artystyczna była zamknięta w specjalnej kategorii „filmów rasowych”, w której na przykład nie dopuszczano do filmowania mieszanych par aktorskich. Twórczy sojusz hollywoodzkich wytwórni z dziedzictwem kulturalnym czarnej Ameryki ułatwiał transmisję i zaakceptowanie kultury Afroamerykanów jako integralnej części kultury amerykańskiej.

Szeroki strumień pieniędzy płynący w rekordowym tempie na konta setek aktorów, producentów, scenarzystów i zwykłych robotników studyjnych był równie wartki, jak strumień marzeń dziesiątków milionów Amerykanów. Nowa sztuka stała się sposobem projekcji marzeń ludzkich o romantycznej przygodzie, lepszym życiu i sprawiedliwości, która zwycięża nad złem. Po raz pierwszy miliony Amerykanów oglądały, przeżywały i marzyły w ten sam sposób, bez względu na pochodzenie, status społeczny i wcześniejszą historię życia. Te same filmy oglądały dzieci magnatów i dzieci wychowane na ulicy, damy z towarzystwa i robotnice fabryczne. Wszyscy oni każdego dnia pokornie ustawiali się w kolejce do kas kinowych, które jeszcze w dalszym ciągu nazywano „teatrami”. Banalna rozrywka, która wcześniej uważana była za obrazę dobrego gustu i kultury, stała się ważnym spoiwem społecznym i wspólnym dobrem.

„Marzenie” i „Kalifornia” stały się dwoma nierozłącznymi słowami. Do Kalifornii przybywało się, aby dostać drugą lub trzecią szansę życiową, poprawić to, co nie za bardzo wyszło za pierwszym razem. Miasto było realną szansą na nowe rozpoczęcie. Fale nowych mieszkańców przybywały regularnie. Był to żywioł nie do pohamowania. Prawie każdy przyjeżdżający miał marzenie, aby kiedyś stanąć na skrzyżowaniu Hollywood Boulevard i Vine Street i udzielać wywiadów. To miejsce kiedyś było absolutnym centrum mitycznego świata filmu. Miasto przekształciło się w miejsce pełne pogody, uciechy i optymizmu życiowego. „Każdy kraj ma taki cyrk, na jaki zasłużył. Hiszpania ma walkę byków, Włochy Kościół, a Ameryka Hollywood”[8].

Część przybyszów miała bardziej przyziemne podejście do kalifornijskiej emigracji. Chcieli tu przyjechać, by dostać zwykłą pracę fabryczną. Mogła być ciężka, żmudna i brudna, byle pewna i dobrze płatna. Los Angeles stało się areną wielu historycznych paradoksów, ale jednym z największych było zbudowanie w mieście wielkiego przemysłu. Powstanie tu potężnych fabryk wynikało z kompromisu i swoistego sojuszu ultrakonserwatywnych kapitalistów z liberalizmem socjalnym rządu i opatrnością historii. Łapczywy kapitalizm doskonale współgrał z opiekuńczą rolą państwa, zwłaszcza w pierwszej połowie XX wieku.

Nikt nie mógł narzekać na brak pracy. Pracy było wiele – w każdym razie do końca lat 20. XX wieku. Kraj w dalszym ciągu przeżywał hossę związaną z tak zwaną drugą rewolucją przemysłową, która wyniosła USA do roli najbardziej uprzemysłowionego kraju świata.

Na początku XX wieku nastąpił gwałtowny rozwój związków zawodowych, wzrost ich siły, znaczenia i wpływu na warunki pracy i płacy. Pojmowanie roli związków zawodowych jako szansy na zmianę warunków pracy i życia było powszechne. Duża część narodu amerykańskiego pod koniec XIX wieku była masą ludzką wykorzystywaną do prawie niewolniczej pracy. Tak

zwane amerykańskie marzenie często, a dla nowo przybyłych imigrantów prawie zawsze, związane było z nieludzką pracą, bezgranicznym wyzyskiem, pracą dzieci i głodowym wynagrodzeniem kobiet.

W latach 30. XX wieku w trakcie wielkiej depresji za rządów prezydenta Franklina Delano Roosevelta dokończono prace nad prawem mającym za zadanie ochronę robotników i danie im możliwości działania w związkach zawodowych na terenie zakładów pracy. Wagner Act (ang. National Labor Relations Act) stał się federalnym prawem, które regulowało stosunki między pracownikami a pracodawcami w prywatnych firmach, z wyjątkiem pracowników kolejowych, rolników i pracujących w firmach stanowych lub państwowych.

Miejscem, gdzie Wagner Act wywołał popłoch, powszechne oburzenie i odrzucenie, było konserwatywne Los Angeles. Czołowymi przeciwnikami nowych regulacji byli przemysłowcy skupieni wokół redakcji wpływowego „The Los Angeles Times”. Na przełomie XIX i XX wieku ten dziennik funkcjonował jako rodzaj ministerstwa spraw zagranicznych republiki Kalifornia. Nadrzędnym celem tego ekskluzywnego klubu były, obok zarobienia wielkich pieniędzy, promocja Los Angeles i trzymanie miasta z dala od radykałów lewicowych i demokratów.

Na łamach tego dziennika, który nie tylko był źródłem informacji, ale przede wszystkim machiną polityczną i platformą wielkiego biznesu, nie dopuszczano nawet myśli o programie opieki socjalnej dla robotników, płacy minimalnej, emeryturach i ubezpieczeniach. Z oburzeniem odrzucano pomysł uprawnienia związków zawodowych do zawierania umów z pracodawcami. Pracodawcy głośno protestowali i nie rozumieli, dlaczego w ten sposób zaczęto regulować życie gospodarcze na tak zwanym Zachodzie, a więc w miejscu, które miało się różnić od niedawno opuszczonego Wschodu. Nie chciano nawet dyskutować o socjalnym liberalizmie, w którym państwo ma dbać o obywateli, za-

pewnić ludziom minimum socjalne, dostęp do wykształcenia i innych podstawowych potrzeb. Nie podobało im się, że USA miało dać obywatelowi wolność od biedy. Bieda i dobrobyt miały być prywatną sprawą każdego obywatela. Kapitałiści uważający związki zawodowe i interwencję państwa za wielkie zło stali się zdecydowanie bardziej liberalni, kiedy okazało się, że mogą zawierać korzystne umowy z państwem gwarantujące im zamówienia publiczne i stałe ceny ich wyrobów.

Wielka depresja lat 30. XX wieku była prawdziwą katastrofą gospodarczą dla kraju. W Kalifornii w pierwszych miesiącach po krachu giełdowym z 1929 roku próbowano zaprzeczać, że będzie miał on większe znaczenie dla stanu. Ta diagnoza propagowana przez izbę gospodarczą i miejscowe gazety była tylko w części błędna. O tym, że jednak był to katastrofalny kryzys, przekonali się mieszkańcy Los Angeles obserwujący tysiące ludzi pozbawionych pracy i domów, którzy koczowali na brzegu rzeki w gettach nazywanych Hooverville (na „cześć” ówczesnego prezydenta Herberta Hoovera). Dziesiątki tysięcy biedaków z peryferyjnych stanów USA uciekających przed kryzysem i katastrofalną suszą skierowało swoje kroki w kierunku miasta. Na ulicach powstawały prowizoryczne kuchnie utrzymujące przy życiu głodujących mieszkańców miasta i nowych przybyszów. W hrabstwie Los Angeles w 1933 roku 120 tysięcy ludzi potrzebowało pomocy społecznej, aby przeżyć.

Elita gospodarcza miała jednak trochę racji, twierdząc, że Kalifornia i Los Angeles różniły się od reszty kraju. Mimo że kryzys trwa! w USA ponad 10 lat, miasto stosunkowo szybko zaczęło zbierać się po pierwszych katastrofalnych latach. Miał w tym swój udział nieźle radzący sobie z kryzysem przemysł filmowy i doskonałe warunki pogodowe. W latach 30. XX wieku lokalne rolnictwo dawało pracę tym, którzy jej najbardziej potrzebowali – niewykwalifikowanym robotnikom i tysiącom imigrantów.

Ratunkiem wyrywającym miasto z rąk kryzysu była nadchodząca wielka wojna. Pod koniec lat 30. Stany Zjednoczone, pomimo głośnych deklaracji swojej neutralności, zaczęły się przygotowywać do potencjalnego konfliktu wojennego z Niemcami lub Japonią. Miasto stało się nagle wielkim warsztatem zbrojeniowym. Działały tutaj już liczne zakłady mechaniczne, fabryki tekstylne, mniejsze stocznie. Od początku lat 30. XX wieku istniały tu również fabryki samochodów: General Motors, Ford i Chrysler i kooperujące z nimi zakłady: Philips, Firestone i Standard Oil.

Po oddaniu do użytku zapory i elektrowni Hoovera do miasta popłynęła tania energia elektryczna i nowa wielka woda przekierowana z rzeki Kolorado, w efekcie czego stało się ono fabrycznym bastionem. Jak to barwnie opisał w 1943 roku „San Francisco Chronicle”, produkcyjna siła miasta była tak wielka, że tylko wielkość dostaw wody i energii elektrycznej były jedyną barierą do rozwoju. „Gdyby Columbia River przepływała przez hrabstwo Los Angeles, to można by oddać Detroit i Pittsburgh z powrotem Indianom” – pisano, dając tym samym do zrozumienia, że te dwie ówczesne potęgi industrialne USA były niczym wobec tego, co mogło powstać w południowej Kalifornii, gdyby był możliwy nieograniczony dostęp do wody i elektryczności.

Wybuch II wojny światowej ostatecznie przyczynił się do imponującego przemysłowego rozkwitu miasta. Prawdziwym fenomenem był błyskawiczny rozwój stoczni. Przed rozpoczęciem wojny w mieście nie zbudowano ani jednego większego statku lub okrętu pełnomorskiego. W 1941 roku przemysł okrętowy był drugim co do wielkości pracodawcą w mieście. Stało się to za sprawą stoczni California Shipbuilding Corporation zwanej Calship, która zrewolucjonizowała wojenny przemysł stoczniowy. Materialnym dowodem tego wyczynu było rekordowo szybkie zbudowanie 467 okrętów klasy Liberty i Victoria przeznaczonych do transportu wojsk i materiałów przez Atlantyk i Pacyfik. Stocznię stworzono od zera na kawałku nabrzeża na Terminal Island. Już w czerwcu

1942 roku pobito pierwszy rekord produkcji. W ciągu jednego miesiąca dostarczono marynarce wojennej 15 statków z serii Liberty, w ciągu całego roku było to 111 sztuk. Rok później poprawiono wynik i wodowano 20 okrętów miesięcznie, a w grudniu 1943 roku były to aż 23 egzemplarze. Żeby zbudować 467 nowych statków, stocznia zatrudniała w okresie największej hossy 55 tysięcy kobiet i mężczyzn. Razem z innymi stoczniami w okolicy budującymi łodzie podwodne, patrolowe, ratunkowe i remontującymi statki i okręty na potrzeby wojenne zatrudniano 90 tysięcy ludzi.

Zbliżający się koniec wojny nie był jednak dobrym sygnałem dla przemysłu okrętowego. Stocznie zbudowano w ekspresowym tempie, ale ich destrukcja i zakończenie produkcji były jeszcze szybsze. Stocznie zamknięto w sierpniu 1945 roku, a więc dokładnie co do jednego dnia cztery lata od rozpoczęcia produkcji. Wielka załoga została zwolniona, a na terenie stoczni powstało złomowisko. Paradoksalnie na tym złomowisku dokonano parę lat później całkowitej rozbiórki 55 statków, wcześniej zbudowanych w Calship.

Największym pracodawcą w mieście w połowie XX wieku był jednak przemysł lotniczy. Los Angeles zaczęto nazywać „Pittsburghiem lotnictwa”, co było ponownie wielkim komplementem, kiedy się pamiętało, jaką pozycję miał Pittsburgh jako światowe centrum produkcji stali.

Przemysł lotniczy był wymarzoną dla miasta strategicznym produktem o stałej wysokiej cenie i mającym pierwszeństwo w dostawie surowców. Zaczynano od drobnych zamówień na części do samolotów i kadłubów. Później przyszły bardziej poważne zamówienia. Nie po raz pierwszy Los Angeles wyciągnęło dzokera w rozgrywce o zamówienia, pracę i pieniądze. Tym dzokerem jak zawsze był fantastyczny klimat. Brak opadów, słońce, suche powietrze i bezchmurne niebo były tym, czego potrzebowała branża lotnicza. Los Angeles było jakby stworzone do produkcji samolo-

tów, której największym wrogiem była wilgoć. Tu zawsze było słońce, zawsze pogoda do lotów. Do tego doszły inne ważne czynniki: doskonale szkoły techniczne i instytuty badawcze, relatywnie tania ziemia, firmy bez dusznej atmosfery tworzonej przez restrykcyjne związki zawodowe, atrakcyjne towarzystwo branży filmowej, nieprzeciętna natura kalifornijska, bliskość gór i oceanu oraz największe z możliwych oddalenie od kłopotliwego stołecznego Waszyngtonu.

Państwo nie tylko gwarantowało pewne zamówienia, ale również finansowało w sposób bezprecedensowy rozbudowę infrastruktury miejskiej, takiej jak: drogi, mosty, porty i lotniska. Tu łatwo było o dotowaną przez państwo tanią energię elektryczną i istniała gwarancja stałego dostępu do wody. Setki tysięcy miejsc pracy stworzonych przez przemysł lotniczy było głównym motorem przemian, które wykreowały Los Angeles, jakie znamy dziś. Miasto stało się miejscem pracy dobrze opłacanej i stabilnej klasy średniej.

Na początku lat 40. XX wieku Los Angeles było największym producentem samolotów w dziejach lotnictwa. Każdego miesiąca produkowano tu 1800 samolotów dla armii, floty i zagranicznych sojuszników. To była szalona liczba aż do momentu, kiedy otrzymano wiadomość, że prezydent USA oczekuje zdecydowanie więcej, a dokładnie 185 tysięcy sztuk w ciągu dwóch lat produkcji. Ośmiu producentów samolotów działających w mieście i południowej Kalifornii (Consolidated, Douglas, Lockheed, American, Northrop, Ryan, Vega i Boeing Aircraft) zmuszonych zostało do podjęcia bezprecedensowej decyzji o współpracy i wzajemnej pomocy. Dotychczasowi zawzięci rywale strzegący za wszelką cenę swoich tajemnic technicznych i produkcyjnych postanowili wzajemnie współpracować i wspomagać się w jak najszybszej produkcji sprzętu wojskowego. Co najdziwniejsze, miało się to odbywać za darmo.

Kiedy światowi dyktatorzy zostaną zbombardowani z powierzchni ziemi, staniami się ponownie twardymi indywidualistami i rywalami. Jednak do tego czasu jesteśmy armią setek tysięcy robotników fabrycznych, którzy pracują nad osiągnięciem jednego celu – zwycięstwa[9].

Ta piękna deklaracja sprawdzała się w codziennej praktyce. Fabryki opuszczały w ekspresowym tempie niesłychanie skomplikowane produkty. Bombowiec Boeing B-17 Flying Fortress składał się ze 110 tysięcy części, które bezbłędnie montowano w jednym ciągu produkcyjnym. Żeby uzmysłwić sobie skalę trudności, trzeba podkreślić, że dokonali tego ludzie (najczęściej młode kobiety), którzy parę miesięcy wcześniej nawet nie widzieli czy nie dotknęli samolotu. W 1942 roku ta wielka armia kobiet i mężczyzn dostarczała prawie 8 tysięcy samolotów miesięcznie. Oprócz montowni gotowych samolotów w mieście istniały setki firm, które dostarczały komponentów do tej zintegrowanej produkcji.

Po wojnie przemysłowej Los Angeles rosło jak na drożdżach, mimo że w jego krajobrazie nie dało się zauważyć wysokich kominów fabrycznych. Miasto pozostawało idyllą pozbawioną przemysłowego brudu. W dyskretnie położonych fabrykach produkowano kable elektryczne, silniki, skomplikowane narzędzia, uzbrojenie. Głównymi pracodawcami stali się giganci lotniczy (Hughes, Douglas, Lockheed). Z czasem produkcja lotnicza przechodziła w czystą produkcję zbrojeniową. Los Angeles stało się największym na świecie producentem raketowych pocisków balistycznych. Na początku lat 70. XX wieku przemysł lotniczy i zbrojeniowy zatrudniał ponad pół miliona ludzi, co odpowiadało 43% wszystkich miejsc pracy w miejscowym przemyśle. Co trzeci zatrudniony w miejskich fabrykach pracował dla przemysłu zbrojeniowego. W mieście pojawiły się również laboratoria i zakłady NASA (Narodowa Agencja Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej). Los Angeles

było absolutnym centrum rozwoju i produkcji samolotów, rakiet i statków kosmicznych.

Koniec zimnej wojny w 1990 roku doprowadził do tego, że przemysł lotniczy stracił swoją pozycję najważniejszej gałęzi gospodarki miasta. Stuletnia dominacja Los Angeles w przemyśle lotniczym szybko odchodziła w przeszłość. Dziś nie ma w mieście fabryk Rockwell, North American, McDonnell Douglas, Hughes Aerospace. Cisza zaległa w bazie lotniczej Edwards. Lockheed już niczego nie buduje w Burbank. Część firm została przejęta przez wielkiego Boeinga. Symboliczną datą był rok 2010, kiedy wiodąca firma lotnicza Northrop Grumman ogłosiła, że przenosi siedzibę główną z Los Angeles w okolice Waszyngtonu D.C.

Początek lat 90. był problematycznym czasem dla większości firm, nie tylko lotniczych. Giganci przemysłowi jeden po drugim zaczęli znajdować inne, tańsze miejsca do produkcji. Z miasta zniknął General Motors z prawie 7 tysiącami miejsc pracy, Ford (2300 miejsc pracy), Goodyear (1600), Goodrich (1000), Max Factor (1000). Poziom zatrudnienia w mieście zmniejszył się do połowy tego, jaki był w czasach wysokiej koniunktury. Los Angeles zaczęło też przegrywać wyścig technologiczny z północną Kalifornią (San Francisco i Silicon Valley).

W mieście pozostawali jednak ludzie, co odróżniało je wyraźnie od środkowo-zachodnich metropolii, takich jak: Detroit, Cleveland czy Chicago, które stały się ofiarami szybkiej deindustrializacji.

To, co jest wspólne dla Los Angeles XIX, XX i XXI wieku, to umiejętność stworzenia różnorodnej bazy gospodarczej, pokonywania depresji i załamań koniunktury. Miasto nigdy nie było skazane na jedną branżę, bez względu na to, jak dochodowa ona była w latach swojej świetności. W momencie załamania jednej z gałęzi gospodarki następowało w miarę łagodne przejście na inną, która często okazywała się jeszcze bardziej dochodowa niż ta po-

przednia. To był stały cykl, dzięki któremu miasto przeżywało nawet największe kryzysy koniunktury gospodarczej.

Na przełomie XX i XXI wieku w okresie nieprawdopodobnych sukcesów firm komputerowych z rejonu zatoki San Francisco wydawało się, że Los Angeles poniesie sromotną klęskę gospodarczą i wizerunkową. Tysiące małych i dużych firm komputerowych z Los Angeles nie mogło równać się z tym, co powstawało w sąsiedniej metropolii. Jedyną nadzieją był rosnący w siłę sektor usług finansowych i usług komunikacyjnych (porty, lotniska).

Los Angeles na początku XXI wieku nie leżało jednak na macie, nie czekało na odliczanie i ogłoszenie nokautu po frontalnym ataku San Francisco i azjatyckich tygrysów gospodarczych. Wręcz przeciwnie. Miasto wyczekiwało, kiedy zostanie wywołane do tablicy, żeby zaprezentować swoje unikalne kwalifikacje i zasoby. Były one idealnie skrojone pod nadchodzącą nową epokę globalnej gospodarki XXI wieku.

ARKADIA, CZYLI COŚ WIĘCEJ NIŻ NOWY DOM

W historii Los Angeles nie ma epoki, w której ludzie masowo nie przyjeżdżaliby tu w nadziei znalezienia lepszego życia. Marzenia o pracy, zdobyciu majątku i wygodnym życiu w pogodnej Kalifornii były szczególnie intensywne w pierwszej połowie XX wieku. W każdym zakątku USA miliony ludzi w ciemnych salach kinowych lub przed ekranami telewizyjnymi oglądały ulice Los Angeles i mieszkających w nim ludzi. Prawie zawsze pokazywano mieszkańców miasta jako ludzi sukcesu. Wielu Amerykanów uwierzyło, że wystarczy tylko wsiąść na statek, w pociąg lub wyjść na główną drogę i rozpocząć podróż do mitycznej Kalifornii, która jest szczęśliwszym kawałkiem ziemi niż rodzinna wioska lub miasto.

Kalifornia i Los Angeles różniły się od innych miejsc będących celem wędrówek imigrantów amerykańskich. W stosunku do Detroit lub Chicago nikt nie zawracał sobie głowy myślą, jak wygląda miasto. Ważne było tylko to, aby mieć pracę, dach nad głową i móc wysłać dzieci do szkoły. W przypadku Los Angeles potencjalni mieszkańcy mieli przed oczami nie zwykłą zmianę miejsca zamieszkania, lecz romantyczną wizję nowego życia. Przybycie tu miało być spełnieniem marzenia wypełnionego konkretną treścią. To miało być miejsce azylu. Los Angeles zrealizowało sen o stylu życia, który był równoznaczny z „dobrym i wygodnym życiem” – zgodnie ze sloganem wykutym na ścianach rotundy ratusza miejskiego: „The City came into being to preserve life, it exists for the good life”. To dobre życie, które miasto ofero-

wało, dawało się zdefiniować przez takie słowa, jak: swoboda, uwolnienie się od kłopotliwych sąsiadów, własna przestrzeń do życia w fantastycznym klimacie, posiadanie domu, basenu, możliwość dotarcia wszędzie własnym samochodem. Te dziś wyglądające na archaiczne pomysły na szczęśliwe życie z pierwszej połowy XX wieku są w dalszym ciągu marzeniem milionów ludzi i nie tylko w tym mieście, ale i na całym świecie. Wartość takiego stylu życia, dającego możliwość kontrolowania prywatności i pożądanej samotności, okazała się bardzo atrakcyjna. Wystarczy tylko rzucić okiem na kopie amerykańskich przedmieść w Chinach, Indiach, Hiszpanii lub Polsce i ich staranne planowanie przestrzenne, którego głównym elementem jest oddzielenie się fizycznie od innych ludzi. Chce się żyć wśród takich samych jak my i odgrodzić od innych, którzy nie chcą albo najczęściej nie mają pieniędzy, aby zafundować sobie taki sam standard życia.

Ironicznie jeden z najbardziej zurbanizowanych obszarów świata powstał i rozwija się wokół idei posiadania własnego, trochę odizolowanego domu. Suma tych milionów małych suwerennych „księstw” stworzyła molocha, który jest tak wielki, że przeraża samych mieszkańców. To przestrzenne oddalenie i wielkość ma według niektórych pozytywne efekty. Mieszkając w tak zróżnicowanym etnicznie, ekonomicznie i kulturowo mieście, nie trzeba „mieszać” się z tymi, którzy nie odpowiadają naszemu stylowi życia. Dawna idea wolności i samodzielności na Dzikim Zachodzie przekształciła się w rodzaj egoizmu i chęć odizolowania się.

Pierwszym stylem życia i marzeniem o „dobrym życiu” w Los Angeles była możliwość stania się jednym z „Californio rancheros”, czyli posiadaczem wielkiej posiadłości ziemskiej nadawanej najpierw przez hiszpańskie władze kolonialne, a później przez władze młodego państwa meksykańskiego. Pierwsze ranczo nadane przez gubernatora hiszpańskiego powstało w 1784 roku na terenie dzisiejszego San Pedro i mogło imponować swoją wiel-

kością. Jego powierzchnia dochodziła do 195 kilometrów kwadratowych. Miało ono dostęp do źródeł wody i możliwość wykorzystania do pracy i usług zamieszkałych na jego obszarze Indian.

Imponująca wielkość pierwszych rancz była spowodowana nadmiarem wolnej ziemi i trwającą od lat 30. XIX wieku jej sekularyzacją – wcześniej zajmowały ją zakony katolickie, a w szczególności zakon franciszkanów. Stworzenie tych wielkich rancz było jednym ze sposobów złamania siły gospodarczej i politycznej Kościoła, który miał wielkie wpływy w Kalifornii, choćby przez rozbudowaną sieć misji i posiadłości ziemskich.

Bogate nadania ziemskie były nagrodą, jaką korona hiszpańska, a później Meksyk, chciały obdarzyć ważne osoby, które dawały gwarancje zagospodarowania tych rozległych pustych terytoriów. Szczęśliwcy, którzy otrzymali te ziemie i wobec których władza okazała się szczególnie wspałałomyślna, byli często potomkami pierwszych kolonizatorów, wysłanych tu przez Hiszpanię w 1769 roku, lub wojskowymi i urzędnikami meksykańskimi.

Hiszpania przyznała tylko 30, ale za to wielkich połaci ziemi. Meksyk był bardziej szczodry w liczbie przekazanych rancz i nie tak hojny w kwestii przydzielanej powierzchni. Rząd meksykański łącznie rozdał ponad 800 rancz wśród wiernych sobie obywateli. Głównym celem tej rozrzutności była chęć zwiększenia liczby osadników w Kalifornii. Warunki otrzymania ziemi były wyraźne: należało uprawiać ziemię i zagwarantować przejezdność istniejących dróg i szlaków. Nie można było też dzielić rancz na mniejsze i oddawać w dzierżawę. To ostatnie uwarunkowanie z czasem zostało zarzucone i okolice Los Angeles były terenem wielkiej wymiany, sprzedaży i dzierżawy, ziemi. Wielka wartość materialna tych darowizn połączona z prestiżem spowodowały, że bycie ranczerem było przepustką do łatwego życia.

„Hiszpańskie rancza kolonialne” nie imponowały tylko wielkością, ale również przepychem budynków i rozwiązłym stylem życia właścicieli. Był to świat budowany na wzór feudalnych spo-

łeczności, w pełni samowystarczalny i odizolowany od świata zewnętrznego. Centralną postacią był właściciel, który stanowił pierwszą i ostatnią instancję rozstrzygającą wszelkie problemy pojawiające się na terytorium jego rancza. Otoczony wielką rodziną i dziesiątkami, a nawet setkami pracujących na ranczu Indian, miał władzę dyktatorską. Oprócz ciężkiej pracy praktycznie zniewoleni Indianie i inni najemni robotnicy rolni otrzymywali podstawowe gwarancje bezpieczeństwa dla siebie i swoich rodzin, takie jak: wyżywienie, dach nad głową, szkołę dla dzieci i pewną dozę osobistej wolności, ale tylko w ramach prymitywnych obozowisk, które pozwolono im budować w odpowiedniej odległości od imponujących zabudowań właściciela. Odcięci od reszty świata, nienarażani na jakąkolwiek konkurencję, obdarzeni żyzną ziemią, która dawała im mięso, zboże, owoce i wysmienite wino, właściciele i ich rodziny delectowali się uprzywilejowanym życiem.

Dobrym przykładem takiego *Californio* był filmowy Zorro, czyli fikcyjny hiszpański arystokrata Don Diego De Vega, który na srebrnym ekranie heroicznie walczył o istniejące prawa nie respektowane przez skorumowanych urzędników. Pierwszy film *Znak Zorro* powstał w latach 20. XX wieku w jeszcze młodym Hollywood i zagarnął wyobraźnię publiczności kinowej. Uważa się, że postać Zorro była pierwowzorem XX-wiecznych supermanów, takich jak Batman, od których później zaroilo się w wytwórniach hollywoodzkich i masowo drukowanych komiksach. Zarówno Zorro, jak i wszyscy supermani mieli wspólny profil. Byli osobami zamożnymi i prozaiczne problemy finansowe nie przeszkadzały im w wypełnianiu misji, którą wykonywali zawsze bezbłędnie i zawsze pod przykryciem maski. Nikt nie znał ich prawdziwej osobowości, no i oczywiście byli oni zawsze po stronie skrzywdzonego ludu i przeciwko tyranii.

Właściciele „hiszpańskich rancz” żyli w dobrobycie dzięki wspaniałej naturze, ciężkiej pracy Indian i ochronie gwarantowa-

nej przez koronę hiszpańską, a później państwo meksykańskie. Rancza były wielkimi producentami wołowiny, skór i tłuszczu. Majątki ranczerów szybko rosły w siłę dzięki dramatycznym wydarzeniom rozgrywającym się w Kalifornii. Wojna amerykańsko-meksykańska, ale przede wszystkim „gorączka złota” w górach Sierra Nevada napełniały skarbce właścicieli „hiszpańskich rancz”. Pokolenie „49”, nazwane tak od daty wybuchu gorączki złota w 1849 roku, potrzebowało żywności. Rancza, które wyspecjalizowały się w hodowli bydła, nie mogły nadążyć z zamówieniami z San Francisco i Sacramento.

Bogacące się klany rodzinne skupione wokół Juana Avili, Josefa Korby, Josefa Serrano, Juana Forstera lub Pio Pico kształtowały gusta, mody i były obiektem zazdrości i naśladowania. Głowy rodzin dumnie nosiły hiszpański tytuł don. Byli oni patronami wyszukanych aktywności towarzyskich, bankietów, wyścigów konnych, balów i spektakli pokazujących siłę, bogactwo, sprawność i odwagę nowego pokolenia arystokratów wyrosłych w Alta California. Te radosne zgromadzenia towarzyskie pełne kolorów i egzotyki przyciągały uwagę coraz częściej przybywających do Kalifornii podróżnych amerykańskich. Przybysze z północy, którzy osiedlili się w słonecznej krainie, też chcieli zamieszkać w domach, które chociaż w minimalnym stopniu przypominały „hiszpańskie rancza”. Ich nowe domy pełne hiszpańskiej terakoty, charakterystycznie wyciętych okien, drzwi i balkonów pokryte były rozłożystymi dachami z czerwonej dachówki uzupełnianymi strzelistymi wieżyczkami dzwonnicy. Wszystko to otaczano ogrodami jakby wprost przeniesionymi z Malagi i Sewilli wraz z imponującymi palmami, gajami pomarańczy, wielkimi rabatami róż i winnicami.

Nawet 100 lat później XX-wieczne domy, osiedla, ulice zachowały architektoniczne detale i romantyczne hiszpańskie nazwy, nawet jeśli nie miały najmniejszego związku z XIX-wieczną historią tych terenów. Dziś trudno znaleźć w Kalifornii supermarket,

hotel, bar, osiedle domów jednorodzinnych lub budynek użytku publicznego bez tych specyficznych elementów architektonicznych wykorzystywanych przez wcześniejsze pokolenia *Californio*. Znanie dziś na całym świecie dzielnice lub okolice Los Angeles mają nazwy, które wskazują, jaki jest ich rodowód. Malibu nazywało się Topanga Malibu Sequit, Santa Monica była Boca de Santa Mónica, Long Beach powstało z Los Alamitos, a Pasadena z San Pascual.

Każda, nawet najbardziej fantastyczna i pozytywna historia, ma momenty załamania, zawinione zarówno przez wydarzenie obiektywne, jak i zwykłe ludzkie słabości. Tak też było z historią „hiszpańskich rancz”. Zagłada rancz była nieunikniona. W traktacie pokojowym między Stanami Zjednoczonymi a Meksykiem obiecywano respektować kulturę i zwyczaje Meksykanów zamieszkałych w Kalifornii, mimo że stali się oni przez jedną noc obywatelami amerykańskimi. Pierwszym amerykańskim gubernatorem był rodowity meksykański Don Pio Pico. Do upadku rancz przyczynili się i Amerykanie, i sami Meksykanie oraz nieobliczalna przyroda, która przypominała, że wyżyna Los Angeles nie jest rajem, lecz kawałkiem dzikiej natury, która może tworzyć cuda, ale również wszystko zniweczyć i zetrzeć w proch.

Otwarcie się na nowy, już amerykański świat, nie zawsze oznaczało zysk i korzyści. Nowi ludzie ze wschodu USA przyjeżdżali tu z wielką żądzą posiadania ziemi. Dla nich układ pokojowy między Meksykiem a USA był tylko kłopotliwym szczegółem biurokratycznym. Właściciele rancz kalifornijskich z przerażeniem patrzyli, jak ich ziemia staje się obiektem pożądania nowych osadników. Ich obrona nie była łatwa. Nawet ci, którzy byli w posiadaniu ziemi przez pokolenia, nie mogli dowieść swoich praw. Kiedy w XVIII i XIX wieku otrzymywali te wielkie nadania ziemskie, nie za bardzo dbali o formalną część tych transakcji. Nie było map pokazujących dokładne granice posiadłości. „Mapy” przypominały fantazyjne obrazki, które miały dać ogólne wyobrażenie o

położeniu topograficznym rancza. Autorzy tych dokumentów więcej uwagi przykładali do ozdobnego liternictwa niż do oddania odpowiedniej skali. Być może ta forma komunikacji była właściwa w owym czasie, gdyż wielu zasłużonych obywateli, którzy skorzystali z nadań, było analfabetami i dokumenty o przyznaniu ziemi potwierdzało przysłowiowym krzyżykiem. W pierwszym okresie władzy amerykańskiej respektowano zwyczajowe granice, ale po pewnym czasie próbowano ustalić je formalnie zgodnie z amerykańskim systemem prawnym.

Nie tylko żywioł amerykański był niebezpieczny dla ranczerów. Często oni sami stawali się sprawcami własnych nieszczęść. Na wielkopański styl życia, powszechny w ostatnim okresie pod rządami Meksyku, nie zawsze pozwalały dochody, jakie przynosiły rancza. Wielcy posiadacze ziemscy zaczęli się zadłużać po to, aby finansować swoje bajecznie kolorowe i drogie życie i płacić nowe amerykańskie podatki. Pożyczki na wysoki procent były na porządku dziennym. Gdy pojawiał się problem z ich zapłatą, sprzedawano ziemię – kawałek po kawałku. Ci, którzy stawali się nowymi właścicielami, nie zawsze byli ranczerami lub Meksykanaми. Kłopoty z zadłużeniem pogarszał fakt, że arystokracja ziemska w Kalifornii nie władała językiem angielskim i wszystkie ważne transakcje odbywały się przez tłumaczy, prawników i nie zawsze najuczciwszych pośredników. Wynajęcie tych ludzi do obrony własnej ziemi kosztowało majątek. Aby zapłacić im za usługi, decydowano się na sprzedaż kolejnego kawałka ziemi. W tym błędnym kole zadłużenia ranczerzy stawali się coraz bardziej niewypłacalni i posiadali coraz mniej ziemi.

Problemem była również nowa, niezmiernie droga forma rozrywki. Był nim hazard. Wielki posiadacz ziemski i jednocześnie pierwszy gubernator amerykańskiej Kalifornii Pio Pico potrafił postawić 25 tysięcy dolarów (dziś równowartość około 700 tysięcy dolarów) w pojedynczych zakładach wyścigów konnych. Niepomamowany hazard doprowadził wielu do ekonomicznej ruiny.

Nie tylko Amerykanie wykupowali kalifornijską ziemię. Do miasta zjeżdżali spekulanci z całego świata. Pod koniec XIX wieku ranczo, którego teren stanie się miastem nazwanym Hollywood, znalazło się w rękach kapitana francuskiego żaglowca, który zawinął do Los Angeles. Francuz sprzedał swój statek i za zarobione pieniądze założył własne ranczo o hiszpańsko brzmiącej nazwie Josef Masařek Ranch. Nie było ono wielkie, bo miało tylko 16 ha, ale stanowiło doskonałą inwestycję, która pozwoliła rodzinie Francuza żyć w dobrobycie i wygodzie, o którą dbały chińskie niańki i indiańscy robotnicy.

Meksykańscy posiadacze rancz, którzy nie ulegli hazardowi i nie wpadli w długi, stopniowo aklimatyzowali się w nowej amerykańskiej rzeczywistości. Nie oznacza to jednak, że zaznali spokoju. Częste pomory bydła pustoszyły ich stada. Największym niebezpieczeństwem na tym żyznym, ale suchym miejscu były sezonowe powodzie. Co parę lat z okolicznych gór staczały się olbrzymie masy błota będące mieszanką żyznej ziemi i wody z gwałtownie topniejących lodowców. Po przejściu takiej błotnej powodzi z systemu skomplikowanych kanałów irygacyjnych mozolnie budowanych wokół rancz pozostawała ruina.

Jeśli jednak udało się ranczerom uniknąć katastrof pogodowych, zadłużenia i innych przeciwności losu, ich najlepsze dni i tak były policzone. Cały naród chciał mieć coś nowego z Kalifornii, a tą nowością były owoce ziemi: winogrona, pomarańcze, awokado, brzoskwinie. Właściciele nowych, wielkich gospodarstw rolnych i sadów już nie nosili dumnie tytułu „don”. Najczęściej byli to Angloamerykanie z pierwszego pokolenia białych Kalifornijczyków, którzy tworzyli nie rancza, lecz nowoczesny przemysł spożywczy. W tym nowym, wielkim biznesie Meksykanie zajęli bardzo ważną część – stali się i niezastąpioną taną siłą roboczą pracującą w ciężkich warunkach, ręka w rękę z białą biedotą, która cały czas przybywała do miasta w poszukiwaniu lepszego życia.

Pracy w okolicach Los Angeles było tak dużo, że fala imigracyjna zaczęła coraz częściej omijać północną Kalifornię z jej centralnymi punktami – San Francisco i Sacramento – i zaczęła kierować się w stronę wciąż nieznanej i orientalnej południowej Kalifornii.

Na początku XX wieku wszyscy w USA już wiedzieli, gdzie leży Los Angeles. Miasto stało się tłem coraz bardziej popularnych filmów. Setki krótkich i infantylnych filmów rozpowszechnianych w tysiącach sal kinowych na terenie całego kraju działały na wyobraźnię. Każdego wieczoru widzowie byli świadkami historii toczących się w nowej, prawie nieznanej części Ameryki. Filmy były naszpikowane fałszywymi obietnicami i mitami, których rozpowszechnianie można było uznać za niemoralne i destruktywne dla ciężko pracujących ludzi. Po zakończeniu wieczorów filmowych ludzie wracali do swoich skromnych domów z głowami w obłokach i kontynuowali swoje marzenia wyniesione z sal kinowych. Wszyscy chłonęli z prasy codziennej, radia i taniej literatury najmniejsze szczegóły z życia osobistego popularnych gwiazd kina.

Gwiazdy filmowe robiły wszystko, aby udowodnić, że są istotami boskimi. Wyszukane stroje, ekstrawaganckie zachowania, rozwiązałe jak na tamte czasy postawy moralne – romanse, rozwody, fantastyczne przygody erotyczne były na pierwszych stronach prasy brukowej. Nie zanedbywano żadnych pikantnych szczegółów. Naginano życiorysy i kreowano fałszywe tożsamości. Zarówno wielcy, jak i mali ludzie filmu zmieniali nazwiska, o ile nie pasowały do nowej kariery. Nazwisko i imię musiało być romantyczne. Jeśli miało się prozaiczne jak miliony zwykłych Angloamerykanów, należało je zmienić. Jeśli nosiło się nazwisko wywodzące się z Europy Wschodniej lub Południowej, też należało to zrobić. Tak to niejaki Ullman stał się Fairbanks, Gladys Smith sławną Mary Pickford, Rodolfo D'Antonguella zmysłowym Rudol-

fem Valentino, a Issur Demsky superamerykańskim Kirkiem Douglasem.

Widzowie chcieli wiedzieć wszystko o emocjonującym świecie pokazywanym na wielkim ekranie. Aktorzy i producenci filmów z ochotą okazywali swoją wyjątkowość i rozkoszowali się otaczającą ich sławą. Szybko rosnąca grupa ludzi filmu zaczęła tworzyć i demonstracyjnie pokazywać swój nowy, kalifornijski styl życia. Gwiazdy filmu upatrzyły sobie szczególnie jedno miejsce. Było ono oddalone 16 kilometrów od centrum miasta i 8 kilometrów na zachód od Hollywood. Sto lat wcześniej to miejsce było wielkim ranczem (18 kilometrów kwadratowych.), które należało do Maríi Rity Valdez de Villa, kobiety mającej meksykańsko-afrykańskie korzenie. Ranczo, oznaczone na mapach jako Rodeo de las Aguas, w połowie XIX wieku stało się obiektem agresywnej spekulacji i w końcu wpadło w ręce imigrantów angloamerykańskich. Miejsce otrzymało mało oryginalną nazwę – Santa Maria. Po pewnym czasie z tego wielkiego rancza wydzielano mniejsze kawałki ziemi i nadawano im równie sztampowe nazwy: San Antonio, Villa Ranch lub Marco. Rolnictwo stało się doskonałą inwestycją, a Santa Maria wspnianym miejscem na hodowlę jarzyn, zboża, kukurydzy, grochu i fig. Pod koniec lat 80. XIX wieku, w momencie praktycznego rozwiązania problemu przechowywania owoców w chłodniach, na tym terenie założono wielkie sady owocowe. Ostateczną nazwę tej posiadłości nadał w 1906 roku nowy właściciel, Burton Green, agent nieruchomości, który do Los Angeles przybył ze Wschodniego Wybrzeża, a dokładniej mówiąc z Beverly Farms (Massachusetts). Green zbyt długo się nie zastanawiał i swój nowy nabytek nazwał Beverly Hills. Teren dawnego rancza podzielono na 75-akrowe działki, które wystawiono na sprzedaż zamożnym ludziom.

W 1912 roku Green zaskoczył wszystkich niecodzienną budowlą postawioną w szczerym polu, między niezabudowanymi parcelami a polami upraw fasoli. Zbudował tam mianowicie

ogromny luksusowy hotel, The Beverly Hills Hotel, który stał się prawdziwym magnesem przyciągającym okolicznych celebrytów. Hotel, nazywany również Różowym Pałacem, zaprojektowany został na wzór kolonialnych budynków misyjnych. Był największym obiektem w całym kompleksie, w skład którego wchodziły również bungalowy porozrzucane na terenie wielkiego ogrodu, baseny, wodospady i romantyczne źródła wody. Krótco po oddaniu go do użytku hotelowe lobby i bar zaczęły funkcjonować jako stałe punkty spotkań towarzyskich bogatych mieszkańców, którzy zbudowali sobie piękne domy w okolicznej dolinie i na stokach Hollywood. Beverly Hills stało się przystanią ekscentrycznej grupy ludzi filmu, którzy na co dzień pracowali w studiach sąsiedniego Hollywood. Tu zamieszkali między innymi: Rudolph Valentino, Gloria Swanson, Charlie Chaplin, Pola Negri, Harold Lloyd.

W nowo wybudowanych pałacach wzorowanych na hiszpańskich rezydencjach lub arystokratycznych angielskich siedzibach próbowano zadziwić świat imponującą okazałością. Piękne domy otoczone specjalnie sprowadzonymi do Los Angeles palmami nie były tylko miejscem zamieszkania, były symbolami sukcesu życiowego. Eksponowały one każde dziwactwo, które mogło ten dobrobyt potwierdzić. Taką ekstrawagancją było na przykład posiadanie na terenie swojej rezydencji pola strzeleckiego, prywatnego ogrodu zoologicznego, ptaszarni, miniaturowego pałacyku zbudowanego dla dzieci gwiazdorów czy kopii sławnych budowli historycznych.

Beverly Hills stało się z czasem miejscem, które było zaprzeczeniem i prowokacyjnym wyzwaniem dla powściągliwego i skromnego etosu amerykańskiego protestantyzmu, który podkreślał wagę pracy i spartańskiego morale. Według protestanckiej starej elity to właśnie ta koncentracja na codziennej, żmudnej pracy zbudowała potęgę USA, która była już bezdyskusyjnym faktem na początku XX wieku. Powściągliwy protestantyzm miał sprzyjać

budowie solidnego kapitalizmu. Ciężka praca była aktem wiary. Dobrą rzeczą było dążenie do powiększenia majątku. Protestanci mobilizowani byli moralnym przykazaniem dążenia do dobrobytu. Rosnący majątek nie miał być jednak natychmiast i demonstracyjnie konsumowany. Należało konsumować tylko to, co było niezbędne do godnego, skromnego życia. W kontaktach z innymi ludźmi należało pochwalać pracowitość, rzetelność, dotrzymywanie zobowiązań i uczciwość. Potępiano lenistwo i bezczynność. Grzechem było nie pracować. Posiadanie pieniędzy nie zwalniało od obowiązku pracy.

Hollywood było na początku swojego istnienia miejscem, które mogło znaleźć uznanie dawnej konserwatywnej Ameryki. Jego kariera rozpoczęła się w sposób, który może szokować. Pod koniec XIX wieku młoda dama Daeida Hartell ze stanu Ohio kupiła z rozparcelowanego wielkiego rancza skromny kawałek ziemi. Na jego obszarze założyła małą społeczność składającą się z mieszkańców, którzy myśleli, że udało im się znaleźć rajski kawałek ziemi. Hartell, będąca głęboko wierzącą kobietą, patronowała miejscu, które miało być prostym przeciwieństwem znanego z przemocy, pijaństwa i awanturnictwa Los Angeles. Była znana ze szczodrości wobec każdego dobrego chrześcijanina, który chciał się osiedlić na jej terenie. Ta wspaniałomyślność miała jednak konkretną cenę. W tej utopijnej osadzie picie alkoholu było absolutnie zakazane, nie wolno było nosić przy sobie broni, organizować wyścigów konnych, uprawiać hazardu, w tym nawet zwykłego bowlingu. Nie wolno było również jeździć niebezpiecznymi rowerami.

Kalifornijska oaza budziła podziw, ale nie wytrzymała próby czasu i zderzenia z rzeczywistością i sąsiednim wielkim miastem pełnym dynamicznych przemian. W 1903 roku mieszkańcy chcieli głosować za przekształceniem Hollywood w normalne miasto, ale to spowodowało gwałtowny sprzeciw głównej patronki – Daeidy Hartell. Mimo że to ona stworzyła tę społeczność,

nie potrafiła powstrzymać nowych czasów. Hartell zapomniała o małym drobiazgu, który spowodował, że jej głos się nie liczył. W tym czasie kobiety nie posiadały prawa wyborczego! Tak więc wyborcy z wąsami i cygarami w zębach zdecydowali, że Hollywood stało się normalnym miastem, po to tylko, aby już w 1910 roku mogło stać się częścią tak znienawidzonego Los Angeles. Około 1910 roku Hollywood miało już 5 tysięcy mieszkańców, a w mieście pojawiły się pierwsze eleganckie sklepy gęsto rozłożone po obu stronach głównej ulicy. Daeida Hartell, umierając w 1914 roku, musiała z bólem stwierdzić, że jej marzenie o wiejskiej idylli było pierwszym niespełnionym hollywoodzkim marzeniem. Los oszczędził jej konieczności patrzenia na to, co stanie się z miastem już parę lat później, gdy rozwiązałość i wielki biznes otworzą bramy czemuś, co ona sama kilkanaście lat Wcześniej zdefiniowała jako piekło.

Szybko zmieniające się Hollywood i jego sypialnia – Beverly Hills były prostym zaprzeczeniem szczytnych ideałów skromnych pionierów odkrywających słoneczną Kalifornię. Niewielu z nich wiedziało, że ta ziemia stanowiła obiekt wielkiej spekulacji, którą dyskretnie dyrygował Harry Chandler, szef „Los Angeles Time”. To, co dziś jest Hollywood, miało właściwie nazywać się Chandler City, ale sam Harry sprzeciwił się temu pomysłowi, uważając, że wielki biznes robi się dyskretnie, a nie ogłasza na pierwszych stronach gazet lub na znakach drogowych. Chandler podkreślał, że najważniejsze jest posiadanie ziemi, a reszta to tylko techniczny drobiazg.

Do takich drobiazgów należało sprowadzenie nowych mieszkańców ze Wschodu i Środkowego Zachodu (Illinois, Nebraska, Iowa, Kansas, Indiana). Narzędziem do przeprowadzenia tego planu było ilustrowane pismo „Mid-Winter Edition”, które ujrzało pierwszy raz światło dzienne w 1886 roku. To jednak nie był zwykły lokalny dodatek prasowy. To była tuba propagandowa izby handlowej będącej w bliskim sojuszu z „The Los Angeles Times”.

„Mid-Winter Edition”, które trafiało do domów białej klasy średniej, entuzjastycznie opisywało południową Kalifornię jako autentyczny raj na drugim końcu kraju. Entuzjazm był tak wielki, że nie można było mówić o dziennikarstwie i informacji. To była czysta propaganda i to czyniona z wielkim profesjonalizmem i z niespotykanym rozmachem:

Tysiące ludzi na wschodzie otrzymywało bezpłatne dodatki, które rozwożono pociągami, dyliżansami, żaglowcami, nawet tak daleko jak do okolic zaśnieżonej granicy kanadyjskiej, w pobliże Cleveland, Buffalo, Pittsburgha, Filadelfii lub na głębokie południe – do Atlanty i Dallas. Było tradycją, że dostawy miały miejsce w styczniu.

Kiedy większość kraju opatulala się w swoje zimowe płaszcze, „Mid-Winter Edition” przekazywało raporty z wielkiej parady pod hasłem „Turniej Róż”, która przemierzała w słońcu i ciepłej pogodzie podmiejską Pasadenę. „The Los Angeles Times” bawiło się każdym płatkim róży, tak że biedni Eskimosi w Chicago mogli niemal czuć zapach kwiatów, kiedy zmarznięci czytali swój egzemplarz „Mid Winter-Edition”[10].

Ten zwyczaj masowej propagandy w ciężkich okresach jesieni i zimy na północy i wschodzie kraju, prezentujący Kalifornię niemal jak biblijną arkadę, przetrwał do dnia dzisiejszego. Nikt wprawdzie nie pamięta tradycji „Mid-Winter Edition”, ale wszyscy starsi mieszkańcy USA i wiele osób na całym świecie nieraz nuci sobie wielki szlagier lat 60. *California Dreamin* zespołu The Mamas & The Papas:

*All the leaves are brown and the sky is gray.
I've been for a walk on a winter's day.
I'd be safe and warm if I was in L.A.;
California dreamin' on such a winter's day[11].*

Oprócz czystej propagandy podejmowano też konkretne działania mające uczynić Los Angeles miastem niezwykłym. Już w

1908 roku uchwalono plan zagospodarowania przestrzennego, który miał gwarantować, że Los Angeles nie stanie się podobne do ponurych miast przemysłowych, takich jak: Nowy Jork, Detroit lub, nie дай Boże, przerażające wszystkich Chicago. Los Angeles miało być miastem przyszłości, gdzie oddzielono dwa typy zabudowy: mieszkalną (Residence District) i przemysłową (Industrial District). Stworzono system podziału terenu ściśle określający rodzaj zabudowań, typ ulic, wysokość budynków, gęstość zabudowy. Miasto nie miało być połączeniem różnych funkcji w tym samym miejscu. Dążono do stworzenia idealnego miasta przyszłości, nad którym unosił się zapach pomarańczy i brzoskwiń z pobliskich sadów. Ludzie po pracy mieli opuszczać swoje fabryki i warsztaty i udawać się do dyskretnie oddalonych od kurzu przemysłowego dzielnic mieszkaniowych.

Życie dość szybko i brutalnie skorygowało idealistyczne plany. Biedni imigranci nie opuszczali swoich warsztatów, lecz zamieszkali na ich zapleczach. To spowodowało, że pewne dzielnice różniły się diametralnie w wyglądzie, zabudowie, składzie etnicznym od reszty miasta. Marzenia o budowie nowego, innego, lepszego miasta zaniechano całkowicie w połowie lat 60. XX wieku. Wtedy to zniesiono ograniczenia dotyczące wysokości budynków, które dotychczas nie mogły być wyższe niż 45 metrów. Wcześniej nie było to ograniczenie zbyt dokuczliwe z racji wielkich obszarów ziemi, które były do dyspozycji pod każdy typ zabudowy. Pod koniec XX wieku miasto musiało zacząć piąć się do góry, a nie rozpyływać się na boki. Taka była potrzeba, a nowa technika budowlana pozwalała na pokonanie groźby trzęsień ziemi. Wieżowce były w stanie przetrwać nawet najbardziej gwałtowne wstrząsy. Sprawdziły się koszmarnie sny niektórych mieszkańców. Los Angeles zaczęło przypominać wschodnie metropolie, a panorama miasta nabierać takiego samego wyglądu, jaki miały Nowy Jork i Chicago. Miasto zaczęło postrzegać jako zanieczyszczone piekło

zdominowane przez wieżowce i toczące się na milionach kół zżerających ogromne ilości paliwa samochodów.

Ten obraz motoryzacyjnych dinozaurów, którzy uwięzili bezbronnych mieszkańców Los Angeles, był tak powszechny, że niewielu znało skomplikowaną historię ich miłości do jednego z najważniejszych wynalazków XX wieku – samochodu. Wynalazek, który jest dziś symbolem degradacji środowiska naturalnego, kiedyś był najważniejszym elementem nowego stylu życia, symbolem postępu, wolności osobistej, innowacji technicznej i nowych, niemal nieograniczonych możliwości życiowych. Skłonność do pokazywania miasta jako potwora, gdzie nigdzie nie można dojechać bez samochodu, byłaby mniejsza, gdyby wiadano, że Los Angeles ma za sobą pełną sukcesów ponad 140-letnią historię komunikacji zbiorowej. Tutaj zawsze eksperymentowano i niekiedy znajdowano rozwiązania, które w innych miastach były tylko czystą fantazją.

Na przełomie XIX i XX wieku ludzie oszaleli na punkcie rowerów. Wtedy wydawało się, że to bicykl będzie przyszłością komunikacji lokalnej. W 1900 roku otwarto pierwszy odcinek 10-kilometrowej drogi rowerowej California Cycleway mającej połączyć centrum miasta z Pasadeną. To nie była zwykła ścieżka rowerowa. To była prawdziwa autostrada rowerowa. Pierwszy odcinek o długości około dwóch kilometrów wybudowano z najlepszego drewna sprowadzonego z Oregonu i pomalowano na zielono. Było to prawdziwe чудо, estakada zawieszona około 15 metrów nad ziemią, z bezkolizyjnymi skrzyżowaniami z drogami i torami kolejowymi. Wzniesienia zostały wyprofilowane tak, aby ułatwić pokonywanie różnicy terenu, droga została otoczona barierkami bezpieczeństwa z oświetleniem punktowym umożliwiającym jazdę w nocy. Z typowymi dla miasta ciągotkami do wielkości, wysokiego standardu i ekonomicznego zysku nadano tej drodze rowerowej cechy późniejszych autostrad. Rowerzyści mogli poruszać się po czterech pasach ruchu, oczywiście jeśli tylko

wnieśli 10-centową opłatę. Rower mimo swojej fantastycznej popularności nie wytrzymał konkurencji wygodnej komunikacji kolejowej. Zaniechanie dalszej budowy California Cycleway na rzecz coraz bardziej popularnej i wygodnej kolei nie oznaczało ostatecznego zwycięstwa tej ostatniej. Czterdzieści lat później Los Angeles przesiadło się ponownie, tym razem z kolejki i tramwajów do samochodów.

Nikt nie odbierze Los Angeles zasług w pionierskiej roli odegranej w rozwoju sieci masowej komunikacji szynowej. Koleje i tramwaje w czasach swojej świetności, a więc w pierwszej połowie XX wieku, stanowiły największy na świecie system komunikacji zbiorowej, na który składało się 2160 pociągów i tramwajów kursujących po torowiskach o długości 1600 kilometrów. W tym czasie w mieście działało ponad 220 miejskich i prywatnych spółek komunikacyjnych. Od 1910 roku w mieście dominowały dwie firmy transportowe: żółte tramwaje miejskie (Yellow Cars) były własnością Los Angeles Electric Railway, a podmiejska kolejka, która malowała swoje pojazdy na czerwono (Red Cars) była prowadzona przez Pacific Electric Railway. W centrum Los Angeles królowały żółte tramwaje. Czerwona kolejka obsługiwała połączenia miasta z Inland Empire i Orange County.

Jednym z właścicieli Pacific Electric Railway był Henry E. Huntington, który był siostrzeńcem wielkiego barona kolejnictwa amerykańskiego Collisa P. Huntingtona. Tego samego, który razem ze swoimi współnikami zrealizował największe marzenie Amerykanów w XIX wieku, a było nim transkontynentalne połączenie kolejowe. Pięćdziesiąt lat później, około 1910 roku, jego siostrzeniec też mógł się pochwalić wyczynem, które dało mu sławę i wielkie pieniądze. Stworzona przez niego sieć elektrycznych pociągów, które pokonywały trasę około 118 tysięcy kilometrów, każdego dnia przewoziła 225 tysięcy ludzi. To był wielki wyczyn, który przyniósł mu sławę na skalę narodową. W 1913 roku w „Sunset Magazine” ukazał się artykuł pod tytułem *Imperium*

czerwonych wagonów, w którym bez żadnych zahamowań dziennikarz porównywał jego pociągi do „czerwonych wagonów z niewidocznymi skrzydłami”, które „przelatują” nad miastem.

Los Angeles jest w centrum najlepiej rozwiniętego międzymiastowego systemu kolei elektrycznej. [...] W promieniu 56 km od Los Angeles znajdują się 42 miasta i niezliczona ilość domostw leżących między nimi. Wszystko to tworzy dosłownie jedno ciało, najzdrowsze i najszybciej rosnące ciało w Ameryce. System arterii komunikacyjnych utrzymuje wszystkie te ciała miejskie w łączności dzięki dwutorowej kolei elektrycznej[12].

Nie było wątpliwości, że w 1914 roku Los Angeles miało najbardziej rozwiniętą i technicznie zaawansowaną sieć transportu publicznego. Z centrum miasta można było szybko, wygodnie i tanio dostać się do każdej części rozwijającej się metropolii. W 1924 roku czerwona kolejka przewiozła 101 milionów pasażerów, żółte tramwaje aż 255 milionów. Duma z posiadania tak rozwiniętej sieci komunikacyjnej była jednak zdecydowanie mniejsza niż dzisiejsze hymny pochwalne na jej cześć. Już około 1920 roku zarówno władze miejskie, jak i mieszkańcy narzekali na jakość ówczesnej komunikacji. Tramwaje były zatłoczone, często niesprawne technicznie i – co najgorsze – bardzo niebezpieczne z powodu konieczności współużytkowania dróg z coraz bardziej powszechnymi samochodami. Dowodem na to, że mieszkańcy nie czuli się usatysfakcjonowani jakością usług komunalnych, było pojawienie się setek nielegalnych taksówek, które za pięć centów przewoziły pasażerów do dowolnego punktu w centrum miasta. Ci bardziej zamożni spośród niezadowolonych z komunikacji miejskiej przymierzali się do kupienia sobie pierwszych samochodów.

Rosnąca ilość wypadków drogowych spowodowała jednak, że władze miasta już myślały o modyfikacji systemu komunikacji miejskiej. Spoglądano na to, co robiły większe miasta, przede wszystkim Nowy Jork i Chicago, i zastanawiano się, jak przełożyć

komunikację z poziomu ulicy na estakady biegnące nad ulicami lub pod ziemię. Rozwiązania techniczne były gotowe, kłopot w tym, że nie pasowały one do takiego miasta jak Los Angeles. Miasto było rozległe, z masą wolnego terenu między dzielnicami. Tworzenie takiej samej komunikacji jak w zatłoczonych miastach Wschodu nie miało sensu. Cała uwaga została skierowana w stronę pewnej innowacji.

Ludzie nie ukrywali swojej nowej słabości – pokochali samochody. Dawały one wolność poruszania się i poczucie dobrobytu, za którym wszyscy tak bardzo tęsknili. Pierwszy odcinek autostrady miejskiej powstał na terenie kupionym i zarezerwowanym na budowę wspomnianej wcześniej California Cycleway. Autostrada została przyjęta z entuzjazmem przez mieszkańców Pasadena i Los Angeles.

Miasto dosłownie pławiło się w swojej miłości do samochodów i wolności, jakie one dawały. Tłumy zaczęły znikać z centrum miasta, skrzyżowanie Broadway i 7 Street już nie było pępkiem miasta. Ludzi zaczęła przyciągać inna ulica – Wilshire Boulevard, która jeszcze w latach 20. XX wieku była zapomnianą drogą między Śródmieściem a Hollywood. Ulice zaczęto dopasowywać do handlu, ale tym razem pod klientów przybywających samochodami. Tu nie spacerowało się po chodnikach, tak jak kiedyś po Broadwayu. Na Wilshire Boulevard zainstalowano skomplikowany jak na tamte czasy system skoordynowanej sygnalizacji świetlnej i wybudowano wydzielone pasy ruchu dla samochodów skręcających w lewo. Właściciele sklepów i domów towarowych byli zobowiązani do wybudowania parkingów, z których można było bezpośrednio wejść do sklepu. Ulicę tak zaprojektowano, aby umożliwić dojazd do każdego budynku samochodem i zaparkowanie go bez tamowania wartkiego strumienia pojazdów. Architektura budynków była prosta i czytelna. Dla dodania elegancji tej nowej ulicy architektura i zdobnictwo nawiązywały do wyrafinowanego stylu art déco.

Tanie samochody stały się dostępne dla przeciętnego mieszkańca i zrozumiałe było to, że stawiano na budowę coraz szerszych dróg łączących ze sobą okoliczne miasta i dzielnice. Teraz można było zamieszkać tam, gdzie się chciało, a nie tam, gdzie dochodziła kolejka lub tramwaj. Ludzie zachłysłeni się wolnością indywidualnego wyboru. Wraz z upowszechnieniem się samochodu sami decydowali nie tylko gdzie, ale również kiedy chcieli jechać. Samochód stał się rodzajem manifestacji amerykańskiej wolności. Przysłowiową kropką nad i oraz potwierdzeniem bezdyskusyjnego zwycięstwa kultury samochodowej nad starym transportem publicznym było otwarcie w 1953 roku prawdziwego „cudu świata” – czteropoziomowego, bezkolizyjnego skrzyżowania autostrady 101 (Hollywood Freeway) ze 110 (Harbor Freeway). Ludzie byli zachwyceni i dumni z tej fantastycznej konstrukcji. W jednym miejscu spotykały się dwa poziomy ramp rozjazdowych i dwa poziomy autostrad tranzytowych. To dawało gwarancję, że w przyszłości nie trzeba będzie stawać na światłach w czasie próby wjazdu do centrum miasta. Nie mogło przecież być inaczej, gdyż kierowcy mieli w końcu do dyspozycji 22 pasy ruchu i 7 mostów.

Nie wszyscy byli zachwyceni postępującą masową motoryzacją. Część mieszkańców miała odmienne zdanie. „Kto potrzebuje samochodu w L.A.? Mamy najlepszy na świecie system transportu publicznego!” – stwierdził prywatny detektyw Eddie Valiant w filmie *Kto wrobił królika Rogera?*, którego akcja rozgrywa się w 1947 roku. Jednym z wątków filmu jest opowieść o złowrogiej korporacji, która wykupiła miejskie tramwaje i kolejkę po to, aby zastąpić je samochodami przez nią produkowanymi. Ta historia jest tak mocno zakorzeniona w świadomości mieszkańców, że do dnia dzisiejszego przekazuje się ją jako prawdę. Faktem jest, że doszło do tak zwanego „wielkiego amerykańskiego skandalu tramwajowego”, za którym stał General Motors. Zajmował się on wykupem firm komunikacyjnych, zwłaszcza tramwajowych. W

zmowie był nie tylko GM, ale również koncerny paliwowe i produkujące ogumienie (Firestone Tire, Standard Oil California, Phillips Petroleum). Korporacje te powołały do życia w 1947 roku własną spółkę, której celem było wykupienie linii tramwajowych w 45 miastach. Oprócz Los Angeles uczyniono to między innymi w: Baltimore, Nowym Jorku, Filadelfii, St. Louis i Salt Lake City. To była oczywista walka lobby samochodowo-benzynowego z kolejowym. Jej celem było zastąpienie starej trakcji tramwajowej nowoczesnymi liniami autobusowymi.

W latach 40. XX wieku nie dokonano jednak zamachu na komunikację szynową. Jej upadek spowodował przede wszystkim wzrost zamożności mieszkańców i spadek cen samochodów osobowych. Do tego doszła ówczesna polityka transportowa wielu miast i stanów, których władze uznały utrzymywanie transportu tramwajowego za przeżytek. W miastach komunikacja tramwajowa zajmowała zbyt wiele miejsca. Przyszłością miało być metro i linie autobusowe. Z tej perspektywy bardzo zadowolone było lobby kolejowe, które dostrzegło szansę pozbycia się mało intratnego obowiązku, jakim była komunikacja miejska i regionalna. Wielkie zyski przynosił transport towarów, a nie ludzi. Tak więc lobby autobusowo-samochodowe nie musiało się zbyt wiele wysilać, aby doprowadzić do radykalnego ograniczenia lokalnej komunikacji szynowej. Po pewnym czasie kolej przegrała również albo oddała walkowerem batalię o trasy dalekobieżne, ale tym razem winny nie był samochód, lecz komunikacja lotnicza.

Samochód był częścią ideologii sukcesu intensywnie propagowanej już w czasie wystawy światowej w Nowym Jorku w 1939 roku. Świetlana przyszłość nie jawiła się jako wielkie zatłoczone miasta i kolejki, lecz przestronne przedmieścia połączone doskonałymi drogami, po których poruszali się zamożni Amerykanie będący posiadaczami prywatnych samochodów. Tak miała wyglądać Ameryka pod koniec lat 50. XX wieku i tak rzeczywiście wy-

glądało Los Angeles w momencie wkraczania w złote lata dobrobytu na początku lat 60.

Ludzie wiedzieli, że nazwa Motor City jest zarezerwowana dla Detroit, ale nie było wątpliwości, że światowa stolica motoryzacji znajduje się w Mieście Aniołów. Zmotoryzowanie miasta uznano za prawdziwy sukces i pozytywne rozwiązanie problemu komunikacji miejskiej. W tym samym czasie firmy kolejowe w dalszym ciągu nie dostrzegały śmiertelnego niebezpieczeństwa dla swoich interesów. Ciągle zawyżały koszty działalności, konsekwentnie broniły się przed wspólnymi projektami z władzami miasta. Równie konsekwentnie mieszkańcy miasta bronili się przed przepłacaniem za ich usługi i szukali alternatywnych sposobów poruszania się. Miasto było w trakcie intensywnego rozwoju. W latach 1920–1930 ludność się podwoiła. Samochodów przybywało jeszcze szybciej: ze 161 tysięcy do 806 tysięcy w ciągu dziesięciu lat. Liczba stacji benzynowych wzrosła ze 170 do 1500.

Koncentrując się na walce z konkurentami, a nie na poprawie jakości własnych usług, firmy kolejowe zlekceważyły fakt, że władze federalne i miejskie intensywnie inwestowały w bezkolizyjne drogi szybkiego ruchu. Pojawiły się propozycje polepszenia komunikacji poprzez rozdzielenie powolnych tramwajów i kolejki od ruchu samochodowego. Takie wydzielone pasy tylko dla samochodów miały zapewnić ludziom szybkość przemieszczania się i bezpieczeństwo.

Oblicze Los Angeles i Kalifornii zmieniła decyzja jednego człowieka, który nie był związany z miastem. Był on mityczną postacią kojarzoną z armią i sławnymi wyczynami wojennymi. Tym człowiekiem był Dwight „Ike” Eisenhower, dowódca zwycięskich wojsk alianckich w Europie i 31. prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki. Decyzja, która zmieniła życie wszystkich Amerykanów, nazywała się System Autostrad Między stanowych (ang. Interstate Highway System) i spowodowała, że pod koniec lat 50. podróż mieszkańców Los Angeles nie zaczynała się i nie kończyła

na Union Station, lecz jej początek i koniec następowały pod drzwiami ich własnego domu. Nowe autostrady międzystanowe sprawiły, że wsiadało się do samochodu i dojeżdżało wygodnie do najbardziej oddalonych miejsc w Stanach Zjednoczonych. Na wsi autostrady były narzędziem do „wyciągnięcia farmera z błota”. Autostrady stały się magicznym środkiem modernizacji kraju, ale miały nie tylko łączyć ze sobą istniejące miasta, jak to było w przypadku niemieckiego oryginału – Autobahn, miały też stać się impulsem do powstawania nowych społeczności położonych między starymi centrami miejskimi lub do budowy wielkich, jak Los Angeles, obszarów metropolitalnych. Idea była dokładnie taka sama jak sto lat wcześniej w momencie rozkwitu komunikacji kolejowej. Kiedyś kolej pomagała zaludniać Zachód. Teraz samochód miał pomóc w przemieszczeniu się ludności USA ze wsi do miasta lub z miasta na przedmieścia.

W pierwszej połowie XX wieku kult motoryzacji był tak ugruntowany, że wszystko, co się z nią wiązało, było nieprzeciętne, niezwykłe i emocjonujące. Nawet tak prozaiczne punkty usługowe, jak stacje benzynowe czy garaże, były budowane z wielką architektoniczną pieczołowitością i nierzadko przypominały małe świątynie, w których oddawano się nowej religii. Świat był tym zachwycony, mieszkańcy również, a najbardziej handlowcy, którzy założyli swoje przedsiębiorstwa poza tradycyjnym centrum, miasta, które zaczęło powoli zamierać z braku klientów. Los Angeles stało się pionierem i nowatorem w praktycznym zastosowaniu samochodu w życiu codziennym. Miasto zakochało się bezwarunkowo w samochodach, a one całkowicie zmieniły sposób życia w nim, sposób mieszkania i robienia zakupów, wpływały także na rozrywkę i spotkania towarzyskie. Zaczęto budować kulturę samochodową, która obejmowała wszystkie przejawy życia codziennego. Los Angeles stało się pierwszym na świecie zmotoryzowanym i zdecentralizowanym miastem. Życie zaczęło się toczyć wokół *drive-in*, w których można było zrobić zakupy, zała-

twić sprawy bankowe, obejrzeć film i spotkać przyjaciół. Żeby to uczynić, nie trzeba było nawet na sekundę wysiadać ze swojego ukochanego samochodu.

Tak więc nie konspiracja koncernów samochodowych spowodowała rozmontowanie komunikacji zbiorowej, lecz niedbalstwo i brak innowacji. Dziś z dawnych 1600 kilometrów torów kolejowych i tramwajowych pozostało tylko 140. Z pierwotnego imperium Yellow Car i Red Cars zostało tylko parę krótszych linii tramwajowych, a żaden z pojazdów nie jest w tradycyjnych kolorach, tak jak to było w czasach, gdy „czerwone wagony z niewidocznymi skrzydłami „przelatywały” nad miastem.

Epoka masowej komunikacji zbiorowej z początku XX wieku zostawiła jednak trwały ślad we współczesnym Los Angeles. Henry E. Huntington, główny budowniczy „najlepiej rozwiniętego międzymiastowego systemu kolei elektrycznej”, po wycofaniu się z biznesu kolejowego zaczął realizować inne marzenie, które miało być bardziej trwałe niż tramwaje i kolejki. Huntington rozpoczął kolekcjonowanie dzieł sztuki, książek i dokumentów dotyczących historii i kultury angielskiej i amerykańskiej. Jego zbiory stanowią dziś jedną z najwspanialszych kolekcji na świecie i przyciągają do miasta najbardziej wysmakowanych miłośników kultury i sztuki.

Te fantastyczne zbiory znalazły swoje miejsce w Los Angeles, kiedyś jednym z najbardziej dzikich miast Zachodu. Wszystko to dzięki tramwajom i kolejce, które sto lat wcześniej przewoziły miliony ludzi, pocztę, worki z burakami cukrowymi, pomarańcze, dziwnych ludzi, których nazywano turystami.

Rząd federalny w połowie XX wieku zachęcał do eksperymentów w dziedzinie planowania przestrzennego, urbanistyki i architektury, które chociaż częściowo rozwiązywałyby problem przełudnienia miast. Przed 1940 rokiem tylko około 20% mieszkańców USA mieszkało na przedmieściach, pozostali żyli w przeludnionych miastach lub na wsi. Nikt właściwie nie chciał mieszkać

w zatłoczonym centrum, często ściana w ścianę ze sklepami, szkołami, teatrami i zakładami usługowymi. Wraz z możliwością szybkiego dojazdu miasto mogło się otworzyć. | Po 1945 roku nastąpił prawdziwy exodus na tereny podmiejskie, a więc tam, gdzie „wieś połączyła się związkiem małżeńskim z autostradą”. Siłę tego procesu uważano za prawdziwą rewolucję w świecie zachodnim w połowie XX wieku. Tendencję do ucieczki z zatłoczonych centrów miejskich jeszcze bardziej spotęgowała sytuacja polityczna po II wojnie światowej. Lęk przed atakiem atomowym w okresie zimnej wojny był tematem codziennych rozmów. Politycy i urbaniści zastanawiali się, czy nie zorganizować na nowo znaczących ośrodków miejskich i przemysłowych, takich jak: Nowy Jork, Filadelfia, Chicago, Los Angeles i Detroit, aby uniknąć masowej zagłady mieszkańców w wyniku ewentualnego ataku atomowego.

Jednocześnie do kraju z frontów wojennych wróciły miliony żołnierzy. Weterani, którzy często byli bardzo młodymi ludźmi, mieli dostęp do różnych form pomocy, od możliwości podnoszenia wykształcenia do udogodnień kredytowych. Ich powrót stworzył nowy front, tym razem był to „front rodzinny”. USA przeżywało prawdziwy wyż demograficzny. Młode małżeństwa, wspierane przez państwo w formie dodatków na wykształcenie, tanich kredytów i nieograniczonego dostępu do pracy, w błyskawicznym tempie powiększały szeregi klasy średniej.

Największą areną eksperymentu pod nazwą „przedmieścia” było Los Angeles i dzielnica San Fernando Valley. Tu powstawało tysiące domów zgodnie z zasadą masowej produkcji. Domy na przedmieściach miały mieć zestandaryzowane pomieszczenia i funkcje. Mieszkańcy pokochali te domy często przypominające miniaturowe rancza Zachodu. Przestronne, niskie, zorientowane na rozbudowę w poziomie, z płaskim dachem oraz z wielkimi oknami i przeszkłonymi drzwiami, które zachęcały do wyjścia na zewnątrz. Wybudowane przy domach tarasy dawały bezpośredni

dostęp do domowego basenu, grilla, garażu. Seryjna produkcja takich domów odbiła się na cenie, która była tak niska, że właściwie każda pracująca rodzina dawała sobie radę ze spłatą pożyczki wziętą na zakup nieruchomości. Budowa tanich domów na obrzeżach miast stworzyła fundament nadchodzącej rewolucji mieszkaniowej. Oddalenie od zakładów pracy i centrów biurowych też nie stanowiło już problemu. Przemysł samochodowy, po okresie zastoju wymuszonego przez wojnę i przestawieniu się na produkcję zbrojeniową, działał na najwyższych obrotach. Życie codzienne na przedmieściach zaczęło wzbogacać się o nowe, wcześniej nieznane elementy, takie jak trawnik przed domem, samochód na podjeździe i grill w ogrodzie.

Ameryka rozkoszowała się nowym standardem, relaksowała kolorowymi reportażami prasowymi w „Life”, zabawiała telewizyjnym „The Ed Sullivan Show” i z zapartym tchem śledziła losy serialowych bohaterów „I Love Lucy”. Amerykański sen nie był już tylko optymistyczną bajką, stał się rzeczywistością przedmieść. Co więcej, nowe domy i drogi były tylko początkiem rozwoju przedmieść.

Wkrótce powstały centra handlowe otoczone gigantycznymi parkingami gotowymi do przyjęcia tysięcy zmotoryzowanych klientów. Amerykanie zaczęli uczyć się radości z robienia zakupów. Zakupy nie były już rutynową koniecznością, lecz przyjemnością, sposobem zrelaksowania się i dobrym pretekstem do towarzyskich spotkań[13].

Przedmieścia, gdzie zamieszkiwali robotnicy fabryczni, też rozrastały się błyskawicznie. Budowano tysiące prostych jak kartony domów pomalowanych pastelowymi kolorami, z małymi ogródkami i werandami. Wokół tych sypialni budowano jedno-, dwupiętrowe centra usługowe i sklepy wielkich sieci handlowych, lokalne banki, stacje benzynowe, bary z hamburgerami, pizzą i hot dogami. Świeżo plantowane palmy mieszały się z krzykliwymi neonami barów i kiosków. Powstawał świat będący Ameryką w miniaturze, w którym mieszkańcy czuli się bezpiecznie i nie mieli

potrzeby opuszczania terenu, żeby zrobić zakupy, załatwić sprawy lub wysłać dzieci do szkoły.

Ludzie z własnej nieprzymuszonej woli przykuli się do samochodów, gdyż uznali je wówczas za najlepsze rozwiązanie kłopotów komunikacyjnych. Niektórzy twierdzili nawet, że samochody są remedium na wszystkie problemy, nawet te najbardziej trudne, jak np. rasizm. Dzięki motoryzacji nastąpiło szybkie spolaryzowanie mieszkańców. Bogaci wyprowadzali się na przedmieścia i mieszkali wśród takich samych jak oni, biedni zostawali w coraz bardziej zaniedbanym śródmieściu i zaczęli otaczać się ludźmi, którzy mieli takie same problemy życiowe jak oni. W szkołach amerykańskich nie spotykały się już dzieci z biednych i bogatych rodzin, Amerykanów i imigrantów. Nastąpił podział społeczeństwa uwarunkowany czysto fizyczną odległością. Każda z grup mieszkała pod swoim własnym kloszem ochronnym i opuszczała swoje terytorium tylko w wyjątkowych sytuacjach.

Dzisiejszy imponujący system autostrad miejskich, szereg nowych „cudów świata”, czyli wielkich skrzyżowań bezkolizyjnych (które zajmują dziesiątki hektarów powierzchni ziemi miejskiej), nie zrealizowały marzenia o bezkolizyjnym ruchu drogowym. Do stanie się do centrum lub na przedmieścia w godzinach szczytów komunikacyjnych jest męką. Mimo zmniejszenia się o 10% korków w mieście w 2012 roku przeciętny mieszkaniec w ciągu roku był uwięziony na autostradach w drodze do i z domu ponad dwie doby, a dokładnie 59 godzin.

Mimo wszystkich negatywnych efektów masowej motoryzacji mieszkańcy w dalszym ciągu darzą samochody miłością. Wszystko, co jest związane z autem, ma wielki ładunek emocjonalny i potrafi eksplodować bez ostrzeżenia. Najlepszym sposobem zniszczenia kapitału politycznego jest próba zderzenia się z lobby samochodowym. Nie chodzi o wielkich producentów samochodowych lub dystrybutorów, ale o lobby składające się ze zwykłych mieszkańców Kalifornii. Gubernator Gray Davis próbował w

pierwszych latach nowego milenium ratować budżet stanowy poprzez dodatkowe opłaty dla kierowców, a dokładnie mówiąc przez rezygnację z ulg przysługujących im przy rejestracji nowych samochodów. Zamiast pieniędzy Davis ujrzał na własne oczy prawdziwą furję kalifornijskich kierowców. Ta propozycja podniesienia podatku plus ostry kryzys energetyczny w Kalifornii spowodowały, że niecały rok po wygraniu wyborów Davis został drugim gubernatorem w historii Stanów Zjednoczonych odwołanym w trakcie kadencji w specjalnych wyborach, które odbyły się w 2003 roku.

To dzięki kolosalnym rozmiarom przedmieść Los Angeles stało się tak rozległą metropolią, że dziś nawet miejscowi używają GPS-u, poruszając się po mieście. Jak to jeden z mieszkańców opisał w artykule dla portalu *A Walker in LA*:

To nie jest miasto, lecz wielkie niekończące się urbanistyczne rozlewisko. Miejsca są tak rozrzucone, że pomysł przejścia z jednego sklepu do drugiego wydaje się śmieszny. Chcesz się przemieścić od jednego hydraulika do innego konkurującego z nim, to masz zagwarantowane, że ugrzęzniesz w korku. Nieważne, co i gdzie chcesz załatwić, musisz spędzić co najmniej pół godziny w samochodzie, bez względu na to, czy próbujesz się tam dostać autostradą czy równoległymi ulicami.

Rewolucja na przedmieściach odmieniła całkowicie oblicze centrum miasta. Ta zmiana nie była zamianą na coś lepszego. Śródmieście stało się miejscem, do którego nie jechało się zbyt często i opuszczało się je tak szybko, jak to tylko było możliwe.

Centrum Los Angeles jest stosunkowo małym obszarem, który swoją wielkością proporcjonalnie oddaje wielkość miasta w latach 30. XX wieku. Na tym historycznym terenie już niepotrzebny jest GPS. Wystarczy przewodnik turystyczny i parę dobrych porad udzielonych przez miejscowych. Doskonałym źródłem informacji, które nie są publikowane w oficjalnych przewodnikach, są panowie będący częścią legendarnej instytucji amerykańskiej

kultury miejskiej. Dla niektórych *valet parking* jest jedną z najbardziej wygodnych, dla innych najbardziej irytujących rzeczy w momencie podjazdu pod hotel, galerię lub restaurację. Rezolutni panowie grzecznie, ale i stanowczo próbują wyrwać z rąk podjeżdżających gości kluczyki do ich samochodu. Za jedyne 30, 40 dolarów są w stanie szybko zaparkować auto, gdzieś w głębokich czełściach podziemnego parkingu należącego do miejsca, które odwiedzasz. Jeśli nie uda ci się obronić przed nimi, masz gwarancję, że za parę godzin lub następnego poranka czeka na ciebie słony rachunek i długie wyczekiwanie na własny samochód, którego „właśnie szukają” i który „za chwilę będzie podstawiony”. I właśnie ta chwilka, najczęściej około 20 minut, jest doskonałym momentem do wymiany wartościowych informacji z lokalsami na temat tego, co, gdzie i jak można zobaczyć w centrum miasta bez niepotrzebnej straty czasu.

Niespodzianką może być to, że całe centrum Los Angeles można zwiedzić w dwie godziny. Jeśli mieszka się w jednym z hoteli w centrum, porady i wskazówki miejscowych byłyby prawdopodobnie bardzo proste i brzmiałyby następująco:

Zejdź w dół w kierunku Pershing Square. Mówiąc w dół, ma się na myśli zejście naprawdę stromymi ulicami porównywalnymi do tych w San Francisco. Od Pershing Square kontynuuj spacer przez dzielnice jubilerów, teatrów i banków. Na Spring Street skręć w lewo, aby dojść do ratusza i dzielnicy administracyjnej. Skręć ponownie w lewo i dojdiesz do centrum kultury z salami koncertowymi, salą Disneya i nowymi muzeami. Po kilkuset metrach skręć tradycyjnie w lewo w kierunku dzielnicy wieżowców będącej największym skupiskiem wysokościowców na zachód od Chicago. Po dwóch godzinach jesteś z powrotem w swoim hotelu z czystym sumieniem, że widziałeś najważniejsze miejsca centrum Los Angeles. Należy tylko trzymać się wskazanej linii i cały czas skręcać w lewo, i w lewo i jeszcze raz w lewo.

Już pierwszy kilometr spaceru zapowiada niezwykle wrażenia i widoki. Na Pershing Square warto przyjrzeć się hotelowi, który przez dziesiątki lat był symbolem miasta – „Biltmore Hotel”. Jest to wielki 11-piętrowy budynek mający być syntezą hiszpańsko-włoskiego Renesansu z francuskim stylem Beaux Arts. Ta mieszanka stylowa została doklejona na solidną konstrukcję stalową, która była powszechna przy budowie amerykańskich wieżowców na początku XX wieku. W hotelu, który jest łatwo dostępny dla każdego przechodnia z poziomu ulicy, można zobaczyć niezwykle nagromadzenie imponujących fresków, marmurowych fontann, drewnianych kasetonów, kryształowych żyrandoli, wykonanych z brązu drzwi i schodów, draperii i innych pełnych przepychu detali. Ozdabiają one sam hotel, jak i liczne sale balowe, bankietowe i galerię handlową. W tym miejscu zatrzymywali się moiżni tego świata od prawie stu lat. W 1929 roku Niemiec Graf Zeppelin wraz z załogą swojego sterowca zatrzymał się na krótki odpoczynek w czasie rejsu dookoła świata. Tutaj w latach 30. XX wieku wręczano hollywoodzkie Oscary. Tu kongres Partii Demokratycznej wybrał Johna Kennedy’ego na swojego kandydata na prezydenta USA. Tu mieszkali Beatlesi w 1964 roku i członkowie Amerykańskiego Komitetu Olimpijskiego w czasie Igrzysk Olimpijskich w 1984 roku. W dalszym ciągu do tradycji należy organizowanie przez hotel after party dla gości corocznej muzycznej nagrody Grammy.

Z tego bajkowego pałacu można wyjść wprost na niewielki Pershing Square, który kiedyś był górnolotnie nazywany Central Park. Plac w dalszym ciągu jest niewielki, ale na pewno nie jest to żaden park. Niewiele tu zieleni, w przeciwieństwie do ilości miejsc parkingowych w podziemnym parkingu zbudowanym pod „parkiem” w połowie XX wieku. Na początku wieku była to zielona oaza z egzotycznymi drzewami i krzewami w samym centrum gwałtownie rozwijającego się miasta. To było ulubione miejsce spacerów i spotkań. Rzędy ocienionych ławek otoczono impo-

nującymi rabatami. Plac i był wielokrotnie przebudowywany, zgodnie z tym, co było modne i postępowe w minionych dziesięcioleciach. Po ostatniej przebudowie w latach 90. XX wieku zniknęły prawie wszystkie drzewa dające kojący cień, a trawniki zastąpiono alejkami spacerowymi. Skromna obecność zieleni w połączeniu z fioletowo-żółtą kolorystyką małej architektury sprawiły, że Pershing Square jest bez dyskusji jednym z najbrzydszych placów w centrum Los Angeles. Pedagogiczne ambicje i chęć przekazania informacji historycznej w nowych elementach architektury są niezrozumiałe dla nielicznych odwiedzających to miejsce. Ci, którzy je odwiedzają, nie są jednak zwykłymi mieszkańcami miasta. Większość z nich śpi na trawnikach, mając pod głową cały dobytek, czyli plecak, torbę lub walizkę. To są często ludzie, którzy przyjechali do miasta, aby się rozejrzeć. Nie mają możliwości zapłacenia za nawet najtańsze schronisko, koczują tu, wykorzystując to, że plac należy do najlepiej pilnowanych miejsc w centrum i daje poczucie relatywnego bezpieczeństwa.

Ze skweru jest tylko parę kroków do Hill Street, kiedyś jednej z głównych ulic handlowych śródmieścia. Dziś ulica szumnie nazywana jest Jewelry District. Ilość reklam firm handlujących i obrabiających biżuterię, szlachetne kamienie i kruszce może rzeczywiście imponować, ale tylko wtedy, gdy nie podnosi się wzroku powyżej witryny lub pierwszego piętra. Pomieszczenia biurowe, lokale usługowe lub mieszkania na wyższych piętrach stoją puste i są tylko maskowane przez rozlatujące się żaluzje. Z tych wspańiałych budynków mieszkańcy i lokatorzy zniknęli definitywnie już w latach 80. XX wieku. Biznes przeniósł się do wieżowców w nowym centrum finansowym wzdłuż Figueroa Street czy Wilshire Boulevard. Mieszkańcy przenieśli się na przedmieścia, a ci, którzy się tutaj pojawiali, stosowali praktykę *drive-in and drive-out*, która oznaczała, że wykonywali oni tu pracę, a następnie błyskawicznie opuszczali teren, który coraz mniej przypominał ruchliwe centrum prawie największego miasta amerykańskiego.

Po przejściu jednej przecznicy od Hill Street dochodzi się do Broadway Street, która w pierwszej połowie XX wieku była główną ulicą miasta z licznymi klubami nocnymi, teatrami i kinami. Tu bogaci mieszkańcy przychodzili, aby zrobić zakupy w najlepszych domach towarowych miasta, takich jak: Hamburger & Sons, May Company, JW Robinson's i Bullock's. Tu również zaszła radykalna zmiana. Anonimowy George w komentarzu do jednego z artykułów w „Los Angeles Magazine” dość trafnie wskazał różnicę między Broadwayem w latach 40. XX wieku a Broadwayem dziś:

Broadway zawsze był ważną ulicą spacerową. Różnica jest jednak taka, że kiedyś była ona wypełniona pięknymi sklepami, wspieranymi teatrami, wielkimi domami towarowymi i zapchana klasą średnią robiącą zakupy. Dziś ta sama ulica jest miejscem tanich sklepów, brudnych „salonów” z telefonami komórkowymi, zamkniętych teatrów i zapchana tłumem imigrantów za biednych, aby kupić tu cokolwiek.

Większość zachowanych monumentalnych budynków stoi pusta, a na ich parterach rozgościły się sklepy, kioski, sale kościelne, bary i inne instytucje, w których wszyscy, zarówno właściciele, jak i klienci często mówią tylko po hiszpańsku. Wyższe kondygnacje od czasu do czasu używane są jako naturalna scenografia do filmów hollywoodzkich, nawet tych z gatunku *action*, gdzie do potrzeb fabuły trzeba wzniecić mały pożar lub dokonać drobnej detonacji. Jak to wygląda na ekranie, można przekonać się po obejrzeniu popularnego *Rash Hour* z Jackie Chanem i Chrisem Tuckermem w rolach głównych.

Po przejściu kolejnych kilkuset metrów dochodzimy do Spring Street albo – jak kiedyś się mówiło – „Wall Street of the West”. Tu miały swoje centrale banki i instytucje finansowe. Do dziś w doskonałym stanie stoją tu siedziby wielkich banków: Bank of America, Barclays Bank, California Canadian Bank, Lloyds Bank California, Pacific Southwest Bank, United California Bank, Los Ange-

les Stock Exchange i wielu eleganckich hoteli. Budynki dzielnie przetrzymują kolejne dekady bez systematycznej konserwacji. Zmienia się publiczność odwiedzająca to miejsce. Na początku lat 80. „Los Angeles Times” opisywał Spring Street jako miejsce, gdzie przyjezdni mieszkają w bramach i sikają na chodnikach. Wielki biznes przeniósł się sześć przecznic dalej, do nowego „Wall Street of the West”, a Spring Street pozostało do dyspozycji chuliganów, bezdomnych i pijaczków.

Śródmieście ze swoimi wspaniałymi ulicami i gmachami podupadało ostatnie 30, 40 lat. Na horyzoncie pojawiają się jednak nowe lepsze czasy. Po 2013 roku zauważono duże zainteresowanie tym rejonem u młodych, dobrze sytuowanych ludzi, tak zwanych hipsterów. Swoją obecnością zaczęli oni zmieniać charakter dzielnicy, co zaowocowało powstaniem nowych miejsc i zjawisk wcześniej nieznanych na tym terenie, takich jak: ścieżki rowerowe, małe parki, wybiegi dla psów, nocne kluby i bary kawowe. Jest to jednak w dalszym ciągu nietypowe śródmieście, nawet jak na USA. 37% ludzi w nim mieszkających to Latynosi, 23% stanowią Afroamerykanie, 21% to Azjaci, a biali Amerykanie zajmują zaledwie 16% ogółu. Aż 42% mieszkańców centralnego Los Angeles urodziło się poza granicami USA.

Po dojściu do Spring Street zgodnie z wcześniejszymi radami należałoby skrócić w lewo, aby dojść do nowego ratusza. Większość turystów to czyni, ale nie wszyscy. Jak bowiem można zmieniać kierunek zwiedzania, kiedy przed nami są jeszcze takie ulice, jak Wall Street lub Main Street? W każdym amerykańskim mieście należy odwiedzić Main. W każdym śródmieściu Wall Street jest rodzajem ciekawostki. Jeśli kontynuuje się spacer właśnie w kierunku tych ulic, po przejściu kilkuset metrów można zauważyć niezwykle widok po obu stronach 5th Street lub równoległych. Wzdłuż ścian budynków zaczynają pojawiać się dziwne konstrukcje z tektury lub niebieskich brezentów. Na chodniku lub na skrawkach zieleni stoją rozbite namioty i szałas.

Przy wielu z nich stoją zaparkowane wózki z centrów handlowych służące jako magazyn. Nie ma wątpliwości, że doszliśmy do najbardziej znanego adresu Los Angeles, być może z pominięciem Sunset czy Hollywood Boulevard. Wszyscy słyszeli o tym adresie, ale tylko garstka ludzi ma odwagę lub ochotę odwiedzić to sławne miejsce. Znane i przerażające Skid Row, największa dzielnica bezdomnych świata zachodniego, prezentuje się w całej krasie. Prawie 50 bloków ulic leżących od Main do Alameda oraz między 3rd i 7th Street tworzą światową metropolię ludzi, których domem są chodniki miejskie. To nieszczęsne miejsce zamieszkania tysięcy bezdomnych jest częścią bolesnej historii miasta. Początki Skid Row były sielskie. Tu leżały w XIX wieku wspaniałe winnice, które zatrudniały tysiące robotników sezonowych. Po doprowadzeniu do miasta kolei transkontynentalnej miejsce to stało się pierwszym przystankiem dla robotników przybywających do miasta. Tu powstały tymczasowe tanie mieszkania, hotele i bary. To właśnie tu przybywali biedni imigranci z innych części Stanów Zjednoczonych, szczególnie w latach 30. XX wieku czy w epoce wielkiej depresji i epoce katastrofalnych burz piaskowych (Dust Bowl) na terenie Południa i Środkowego Zachodu. Tu mieszkali ci, którzy każdego poranka pojawiali się na polach, w sadach i pod bramami fabryk. Setki tysięcy biednych imigrantów nazywano Okies lub Arkies (od Oklahoma i Arkansas) bez względu na to, skąd pochodzili. To, co ich łączyło, to nie pochodzenie geograficzne, lecz wspólna bieda i wola przetrwania największego z kryzysów w amerykańskiej historii.

Po II wojnie światowej, pomimo rosnącego dobrobytu, Skid Row w dalszym ciągu był przepełniony ubogimi, którzy byli klientami tanich hotelików, licznych sklepów z alkoholem, lombardów i obskurnych teatrzyków rozrywki. Prawdziwym szokiem dla tej dzielnicy było systematyczne wprowadzanie w życie rygorystycznych przepisów przeciwpożarowych, które wymagały przebudowy i wzmocnień domów ceglanych tak, aby wytrzymały one

nawet gwałtowne trzęsienia ziemi. W całej Kalifornii 70% z 26 tysięcy budynków zostało wzmocnionych lub zburzonych. Jeżeli właściciele nie mieli pieniędzy na przebudowę domów lub hoteli, były one wyburzane, a ludzie trafiali na bruk. Tak najczęściej działo się na terenie Skid Row.

W styczniu 2015 roku policzono dokładnie, ilu bezdomnych zamieszkuje Los Angeles, i doliczono się 44 390 osób mieszkających przede wszystkim na ulicach, ale także w swoich samochodach, namiotach lub przytułkach. Jest to drugie co do wielkości, po Nowym Jorku, zbiorowisko bezdomnych w USA. To, co różni Nowy Jork od Los Angeles, to fakt, że w Kalifornii większość bezdomnych nie znajduje miejsca w przytułkach, które są powszechnie dostępne w Nowym Jorku. Duża część z 44 390 bezdomnych żyje na ulicach, a zwłaszcza w okolicach Skid Row. Aż 50% wszystkich bezdomnych to Afroamerykanie, 33% stanowią osoby pochodzenia latynoskiego, a 14% to biali obywatele. Rzadko zdarza się, aby bezdomnymi byli Azjaci.

Przyczyny bezdomności są dość oczywiste: wysokie czynsze, niskie pensje i stałe bezrobocie. Bliskość Meksyku i łatwy dostęp do narkotyków również ma duże znaczenie. Ale te powody bezdomności nie są jedyne. Bezdomnych z całego kraju i częściowo z zagranicy przyciąga „kalifornijskie marzenie”, podobnie jak o wiele lepiej sytuowane grupy imigrantów. Fantastyczny klimat, tolerancyjna Kalifornia i istniejąca już wielka społeczność bezdomnych przyciągają nowych członków tej tragicznej społeczności. Skid Row powiększa się systematycznie również z tego powodu, że biedni i bezdomni są skutecznie wypychani ze swoich dawnych terytoriów. Downtown i dzielnica Venice Beach, które były dotychczas miejscem schronienia wielu bezdomnych, przeżywają obecnie swój renesans i zaczynają przyciągać nowych, młodych i bogatych lokatorów. Każdy kryzys gospodarczy zwiększał liczbę ludzi bezdomnych. W 2015 roku na tej niewielkiej przestrzeni mieszkało co najmniej 26 tysięcy bezdomnych. Pra-

wie 40% wszystkich bezdomnych to kobiety, dwie trzecie z nich stały się ofiarami przemocy i gwałtów. Rośnie liczba bezdomnych, którzy cierpią na niepełnosprawność umysłową i fizyczną, wymagają oni specjalnej opieki. Bezdomni mężczyźni, kobiety, chorzy i niepełnosprawni stają się często narzędziem w rękach przestępców, którzy w Skid Row magazynują i dystrybuują broń i narkotyki.

Mieszkańcy Los Angeles reagują na to nieszczęsne miejsce i zbiorowisko ludzi tu koczujących obojętnością. Ta sytuacja trwa już tak długo, że zdążyli się do niej przyzwyczaić i uznać ją niemal za naturalną. Uważa się, że to sprawa policji, która powinna podjąć właściwe działania. Przez „właściwe działania” mieszkańcy mają na myśli zlikwidowanie tego zbiorowiska, gdyż obecność bezdomnych obniża wartość okolicznych nieruchomości. Dla większości z nich rozwiązanie problemu jest równoznaczne z policyjną i socjalną akcją mającą ukrócić nadużywanie narkotyków, żebractwo i drobną przestępczość. Gdy już zlikwiduje się powody bezdomności, można pomyśleć o pomocy w znalezieniu tym biednym ludziom zwykłego dachu nad głową w formie subwencjonowanych mieszkań socjalnych.

Część mieszkańców, szczególnie ta, która sama nie mieszka w bezpośredniej bliskości Skid Row, jest bardziej wyrozumiała. Uważają oni, że nawet bezdomni mają swoje prawa, które trzeba im zagwarantować. Ta solidarność z ludźmi mieszkającymi na ulicach znalazła też formalne potwierdzenie. Decyzja sądowa z roku 2007 potwierdziła, że z racji tego, że chodniki są własnością publiczną, a nie prywatną, nie można zabraniać ludziom, bez względu na ich status społeczny, użytkowania ich. Innymi słowy, bezdomni mogą spać na chodnikach, ale tylko w godzinach od 21 do 6 rano. Jednakże spać nie można w bramach i na chodnikach należących do nieruchomości i nie można też blokować przejścia dla pieszych. Mimo że chodniki są częściowo wolne od „domów” i legowisk bezdomnych, nie ma zbyt wielu chętnych do spacerów

po wąskiej ścieżce między bezdomnymi a ruchliwymi ulicami. Biura turystyczne i hotele wprost informują, aby raczej nie zapuszczać się w te rejony w dzień, a już zwłaszcza po zapadnięciu zmroku.

Coraz częściej do głosu dochodzą aktywiści społeczni chcący odmienić los bezdomnych. Uważają oni, że należy odwrócić do góry nogami strategię pomocy. Bezdomnym powinno się dać mieszkania socjalne, aby mogli zniknąć z ulic miasta. Powinni je dostać, nawet jeśli w dalszym ciągu nie zerwali z alkoholizmem i narkotykami. Burmistrz Los Angeles, Eric Garcetti, stwierdził wprost: „Najpierw zabierzmy ludzi z ulic, bez względu na okoliczności towarzyszące, dopiero później zajmijmy się ich rehabilitacją”. Ta rewelacyjna nowa metoda stawia bezdomnym tylko jeden warunek – muszą przestrzegać prawa, np. respektować zakaz dystrybucji narkotyków. System „najpierw mieszkanie, później leczenie” daje pierwsze pozytywne efekty. Zmniejsza się liczba bezdomnych w całym kraju. Tych, którzy nie wierzą w dane statystyczne, być może przekona komentarz 65-letniej bezdomnej z Salt Lake City, która tak opisała pierwszy dzień w nowym mieszkaniu: „To była najpiękniejsza rzecz, jaką zobaczyłam w swoim życiu. Nareszcie mogłam być gdzieś, gdzie nikt nie mógł mnie zranić”[14].

Mogłoby się wydawać, że życie w posiadłościach Beverly Hills i na ulicach Skid Row wypełni całą skalę możliwości życia w tym specjalnym miejscu, któremu na imię Los Angeles. Okazuje się, że nawet śmierć nie jest definitywnym końcem. Jeśli jesteś z L.A., to powinieneś umrzeć i zostać pochowany ze stylem.

Tu ciężko zaakceptować czerń, smutek i krzyże jako atrybuty zakończonego życia ziemskiego. Tu nie ma miejsca dla brzydkich, przygnębiających kamiennych cmentarzy. Wieczne słońce Kalifornii oferowało lepszy sposób uczczenia pamięci zmarłych niż mroczność cmentarzy, które nie miały być miejscem pożegnań, lecz spotkań żyjących z tymi, którzy już odeszli. Scenografia tego

miejsca spotkań miała być inna niż na całym świecie. Zamiast makabrycznych symboli śmierci, należało wyeksponować to, co było piękne: drzewa, rozległe trawniki, małe strumienie, tryskające fontanny, rzeźby i wspaniałą architekturę. Nawet po śmierci ludzi miało otaczać piękno i pogodna miłość najbliższych.

Człowiek, który postanowił pokazać śmierć jako coś, co jest pełne spokoju, piękna i wzniosłości, stworzył cmentarz przyszłości. Nazywał się dr Hubert Eaton. Już w 1917 roku założył on swój pierwszy Park Pamięci w Glendale, w którym likwidowano wyodrębnione kwatery cmentarne i potężne kamienie nagrobne. Parę lat później zbudował podobne miejsce w Hollywood Hill. Aby zagwarantować spokój ducha i wytchnienie cierpiącym rodzinom zmarłych, jego firma oferowała również kompletne usługi na telefon jeszcze „przed właściwą potrzebą”. Jego piękne pogrzeby o poranku, pieczołowicie wypieszczone łąki, gdzie zamiast nagrobków były prawie niewidoczne leżące w trawie plakietki z nazwiskami zmarłych, zdobyły niezwykłą sławę i popularność. Zamiast bezdusznych numerów kwater szukało się grobów najbliższych w miejscach, które miały romantyczne nazwy, takie jak: Dolina Pamięci, Szepczące Sosny czy Kraina Uśpionych.

Z użycia wykreślono nazwę cmentarz, zastępując ją romantycznymi określeniami, takimi jak: Forest Lawn (Leśna Łąka), Memorial Park (Park Pamięci) lub Home of Peace (Dom Pokoju). To miały być miejsca do kontemplacji, gdzie wzbogacano trwające życie pięknem, energią i optymizmem. To przesłanie i idea zostały zaakceptowane przez ówczesnych ludzi i pomysł na takie miejsca zrobił błyskawiczną karierę i rozpowszechnił się na cały kraj. Nowe cmentarze stały się parkami pamięci, romantycznymi miejscami ulubionymi nawet przez gwiazdy filmowe. Właśnie w jednej z kaplic w Glendale wziął ślub późniejszy prezydent USA, Ronald Reagan, ze swoją pierwszą żoną, aktorką Jane Wyman.

Tragiczne wydarzenia, jakimi były pogrzeby, zaczęły przyjmować bajkowe formy. Ludziom się to podobało, a najlepszym tego

dowodem było uznanie ze strony jednej z legend hollywoodzkich, bajecznego Walta Disneya, który stał się prawdziwym przyjacielem przedsiębiorcy pogrzebowego Eatona. Parę lat po śmierci ojca parków pamięci Walt Disney, największy twórca bajek XX wieku, sam na miejsce ostatniego spoczynku wybrał końcowy przystanek i ostatni adres w Los Angeles. Tym miejscem oczywiście był jeden z parków pamięci stworzony przez jego przyjaciela i prawdziwego wizjonera ostatecznego spoczynku. Disney został pochowany „tam, po drugiej stronie strumienia życia”, czyli na Forest Lawn Memorial Park w Glendale.

RAJ NA TRZĘSĄCYCH SIĘ NOGACH

Los Angeles uznane zostało za wymarzone miejsce na Ziemi. Źródłem sukcesu miasta miał być fantastyczny klimat. Jest to prawda, ale nie do końca. Tym, co zdecydowało o wyjątkowości i szczególnej wielkości miasta, było coś, czego miasto absolutnie nigdy nie miało w nadmiarze – woda!

Krótki spacer po centralnej dzielnicy administracyjnej, tak zwanym City Center, najlepiej pokazuje, co było i jest największym problemem tego słonecznego raju. W City Hall Park przed budynkiem ratusza trawniki wyraźnie różnią się od sąsiednich. Zwyczajowo tereny zielone są zadbane, przyozdobione drogimi roślinami, krzewami i ozdobnymi aranżacjami stworzonymi przez architektów terenów zielonych. Trawniki leżące tuż przy ratuszu, ruchliwej 1th Street i na wprost supernowoczesnej siedziby Policji (LAPD) są w kolorze krzykliwej żółci, całkowicie wyschnięte i jakby zapomniane przez służby parkowe. O tym, że tak nie jest, świadczy dyskretna tabliczka umieszczona na samym środku tego, wydawałoby się, zapuszczonego, fragmentu zieleni miejskiej. Tabliczka informuje przechodniów, że ten trawnik przestał być podlewany ze względu na katastrofalną suszę i że władze miasta są świadome problemu i zrobią wszystko, aby oszczędzać wodę.

O tym, że jest to szczególna susza, świadczy fakt mówiący, że w ostatnich czterech latach roczne opady deszczu, szacowane na skromne 380 milimetrów, skurczyły się do około 230 mm.

Nie tylko miasto ma problem. Siedemdziesiąt procent powierzchni Kalifornii cierpi na ekstremalną suszę, która jest tak dotkliwa, że po raz pierwszy od 50 lat powstała konieczność racjonowania wody i zaczęto wymagać od rolników zastosowania programów oszczędnościowych, które zmniejszyłyby ich zapotrzebowanie na wodę. U niektórych farmerów i ogrodników nieużytki wymuszone przez suszę stanowią 90% powierzchni ich gospodarstw. Wymuszone nieużytki i bezrobocie wśród rolników są jednak dobrą formą oszczędzania wody. Osiemdziesiąt procent wody zużywane jest właśnie przez rolnictwo. Każdego roku wypłaca się rolnikom miliardy dolarów z racji rekompensaty za utracone dochody. Około 18 tysięcy ludzi straciło pracę na farmach i plantacjach. Susza stała się poważnym problemem politycznym. W czasie kampanii prezydenckiej 2016 roku Donald Trump przekonywał podczas wiecu w środkowej Kalifornii, że „nie ma suszy”, i oskarżył władze stanu o celowe pozbawianie wody farmerów poprzez kierowanie jej zamiast do systemów nawadniających do morza, „aby chronić pewien rodzaj rybek”. Jak każdy populistyczny polityk miał on prostą receptę na rozwiązanie sytuacji kryzysowej. „Rozwiążemy wasz problem z wodą. Macie problem, który jest niedorzeczny. To śmieszne, że oni [władze stanowe] zabierają wodę i spuszcza ją do morza”[15].

Turyści przybywający do miasta nie mogą sprawdzić, jak katastrofalna sytuacja jest na wsi, ale mogą zauważyć symptomy tej dramatycznej sytuacji niemal na każdym kroku.

Setki tysięcy domów i rezydencji w dalszym ciągu imponują zielonymi trawnikami, ale nie zawsze oznacza to, że jest to trawa, która wytrzymuje ekstremalne warunki pogodowe. Coraz częściej trawniki są po prostu malowane specjalną zieloną farbą. Ten zabieg jeszcze przed paroma laty zarezerwowany był dla trawników na stadionach, które reperowano po meczowych zniszczeniach lub gdy chciano wymalować imponującej wielkości teksty czy znaki reklamowe. Dziś firmy wykonujące te usługi całkowicie

przestawiły się na malowanie trawników przed domami i budynkami publicznymi. Jest to kosztowny, ale jednocześnie dobry interes. Jednorazowe malowanie kosztuje około 1500 dolarów i starcza na parę miesięcy, zanim murawa się zakurzy i potrzebna będzie nowa runda malarska. Malowanie gwarantuje kolor zielony, mimo że trawa jest sucha jak przysłowiowy pieprz. Za tę cenę można oszczędzić około 2500 litrów wody, jakie zużywa się za każdym razem, kiedy zaczyna się krótkie, 10-minutowe podlewanie przeciętnego trawnika o powierzchni około 800 metrów kwadratowych.

Omijanie zakazu podlewania trawników, pól golfowych i innych terenów w okresie suszy jest jednoznaczne z łamaniem prawa i wywołuje publiczną dezaprobatę. O tym, że nie są to żarty, przekonał się gwiazdor hollywoodzki Tom Selleck, który będzie musiał stawić się przed sędzią i wytłumaczyć, dlaczego wynajął beczkowóz, który przez dwa lata tankował wodę z hydrantu w sąsiedniej dzielnicy. Jak tłumaczył się gwiazdor, woda była mu potrzebna do utrzymania przy życiu jego 25-hektarowej łąki.

Amerykański system prawny uważa wodę za dobro wyższej użyteczności publicznej, które jest ograniczone przez naturę i należy chronić je przed marnotrawstwem. W pierwszych latach swojej państwowości w USA trwał spór, jak należy rozumieć to prawo. Opierano się najpierw na angielskich wzorach, gdzie nieograniczone prawo do wody miał właściciel ziemi. O ile źródło wody było na jego terenie, nie musiał się przejmować roszczeniami innych ludzi. Z czasem prawo wodne zaczęło ewoluować w kierunku amerykańskiego wariantu, który przewidywał, że właściciel w dalszym ciągu mógł eksploatować wodę w sposób nieograniczony, o ile tylko nie marnotrawił jej lub nie wykorzystywał do niecných celów. To zastosowanie prawa stało się bardzo popularne na terenie większości stanów USA.

W Kalifornii rozwinęto trzeci wariant prawa wodnego, które narodziło się w latach gorączki złota w połowie XIX wieku. Mó-

wiło ono, że właściciel może w pełni korzystać z prawa do eksploatacji wody, o ile jej użycie nie jest jej marnowaniem i nie zagraża świadomemu ograniczeniu dostawy wody innym właścicielom ziemskim. Inną zasadą regulującą podział wody jest reguła *use it or lose it*. Jeśli nie wykorzystujesz wody, do której masz prawo, to prawo przechodzi na kogoś innego. Instytucjami rozstrzygającymi konflikty o wodę były sądy stosujące ustawodawstwo stanowe. To bardzo liberalne kalifornijskie prawo teoretycznie mogło gwarantować sprawiedliwy podział wody, gdyby nie to, że w sądach dopuszczano do głosu zwykłych ludzi, którzy mieli wszelkiego typu słabości i przywary. Do dziś walki o prawo do wody należą do najbardziej zaciętych, długotrwałych i skomplikowanych batalii procesowych w stanowych sądach.

Specjalny raport o stanie wody w Los Angeles można otrzymać, zatrzymując się w jednym z hoteli miejskich. O tym, że jest to raport z katastrofy naturalnej, świadczą fakty, które w innych częściach USA uznano by za dziwne i niezrozumiałe. W Los Angeles już nikt nad ranem nie myje trotuarów przed wejściem do hoteli i sklepów. Trawniki hotelowe można podlewać, ale tylko 48 godzin od ostatniego opadu deszczu.

W łazienkach hotelowych strumień wody został tak radykalnie ograniczony, że można zapomnieć o długich, rozkosznych chwilach pod prysznicem. Hotele apelują o nieużywanie wanien do kąpieli. Zaczęto montować w łazienkach nowe typy oszczędnych toalet, które zużywają 6 litrów wody, a nie jak to było zwyczajowo – 13,5 litra. W hotelowej restauracji przed posiłkiem nie podaje się automatycznie gościom dużych karafek z wodą, tak jak to jest w zwyczaju w całym kraju. Wodę otrzymasz dopiero, jak wprost o nią poprosisz. Eksperymenty w oszczędzaniu wody mają miejsce również na zapleczach restauracji. Jeden z miejscowych restauratorów stosuje w swojej kuchni oryginalną metodę zmywania naczyń. Wykorzystuje mocny strumień powietrza, który zmiata z talerzy resztki jedzenia. Wody używa się już tylko w końcowym eta-

pie zmywania. Tylko jedna restauracja jest w stanie rocznie zaoszczędzić wiele tysięcy litrów wody, stosując tę suchą technologię zmywania naczyń.

Woda jest dobrem, o które się walczy od dwóch wieków i ta walka zaczyna powoli przynosić rezultaty. W ciągu ostatnich 20 lat konsumpcja wody spadła o ponad 40%.

Zanim zaczęto oszczędzać wodę w małej, ale masowej skali, uspokajano, że istnieją techniczne możliwości sprowadzenia do miasta każdej potrzebnej ilości wody. Piątego listopada 1913 roku w Kalifornii oddano do użytku budowlę inżynieryjną, której sławę mogła przyćmić tylko jedna rzecz na świecie Kanał Panamski. Budowniczy tego obiektu inżynieryjnego, mimo skromnych słów z okazji oddania go do użytku, stał się w oczach narodu bohaterem realizującym jeszcze jedno marzenie Amerykanów.

„No i jest – bierzcie ją” – tymi krótkimi i prozaicznymi słowami William Mulholland, główny inżynier budowy akweduktu, przywitał pierwsze strumienie wody w drodze z Owen Valley do Los Angeles. Jeszcze kilkanaście lat wcześniej nikt nie mógł sobie wyobrazić, że można zbudować długi na 375 kilometrów akwedukt, pokonując wysokie góry i okrutną pustynię. To cudo inżynieryjne miało raz na zawsze zakończyć męczarnie mieszkańców Los Angeles łaknących wody, która stała się najważniejszym towarem w mieście. Nikt wcześniej nie mógł zagwarantować ani dostarczyć wody w takiej ilości, żeby było jej pod dostatkiem. Teraz dzięki inżynierowi Williamowi Mulhollandowi i jego ludziom po pięciu latach budowy gwarantowano miastu dostawę wody, która miała starczyć dla następnych pokoleń. Poczucie dumy dominujące w momencie oddania akweduktu do eksploatacji z czasem ustąpiło diametralnie innym uczuciom. Kilkanaście lat później gazety nie pisały już o triumfie cywilizacji i postępu, lecz przytaczały dramatyczne głosy mieszkańców Owen Valley, którzy prosili o pomoc i głośno oskarżali polityków, bankowców i przemysłowców o przeprawę wobec ich ziemi rodzinnej. „Rząd federalny Stanów Zjedno-

czonych siłą przetrzymywał Owen Valley w tym czasie, kiedy miasto Los Angeles dokonywało gwałtu na niej”.

Historia Owen Valley opowiada o jednej z najbardziej kontrowersyjnych decyzji podjętych przez władze Los Angeles, które chcąc rozwijać miasto, postanowiły zdobyć wodę za wszelką cenę, nawet jeśli będzie się to wiązało z użyciem siły wobec tych, którzy mogą stanąć na przeszkodzie realizacji tego celu. Na przełomie XIX i XX wieku Los Angeles rozwijało się bardzo szybko i osiągnęło jak na ówczesne czasy całkiem pokaźny rozmiar. Sto tysięcy mieszkańców miasta miało jednak jeden podstawowy problem – zaopatrzenie w wodę. Takie źródła wody jak rzeka Los Angeles, studnie głębinowe i podziemne zbiorniki wodne już nie starczały, mimo że w mieście i okolicach na początku XX wieku działało prawie 160 studni głębinowych. Za pomocą małych turbin wyciskały one z ziemi każdą kroplę wody. Jeśli miasto chciało się rozwijać równie szybko jak dotychczas i chciało włączyć w swoje granice sąsiednie osiedla, musiało zaproponować rozwiązanie fundamentalnego problemu, jakim było zaopatrzenie w wodę.

Problem pogłębiał się z dnia na dzień ze względu na bardzo intensywne uprawy pomarańczy, innych owoców i jarzyn w okolicach miasta. Hrabstwo Los Angeles zawdzięczało swój pomyślny rozwój ogrodom i farmom, a brak dostaw wody skazywało je na porażkę, która byłaby również klęską dla miasta. Tego okrutnego losu już wcześniej zasmakowali mieszkańcy dziesiątków miast na zachodzie, gdzie nie udało się zagwarantować stałej dostawy wody. Przed mieszkańcami i władzami stało widmo wielkiej suszy, które zmieniłoby Los Angeles w wyschnięte i ledwo wegetujące miasto-widmo. Na wielką skalę podjęto poszukiwania źródeł wody. Inżynierowie zatrudnieni przez magistrat przeszukiwali całą Kalifornię w pogoni za wielką wodą, którą można by przekierować do miasta.

Na przełomie wieków takie źródło wody zostało znalezione. Leżało ono w hrabstwie Inyo tuż przy granicy z Nevadą w wielkiej dolinie szerokiej na 16 kilometrów i długiej na 150 kilometrów, otoczonej najwyższymi szczytami górskimi na kontynencie. Miejsce to było bardzo cenne dla miasta Los Angeles. Przepływała przez nie rzeka Owens, wypełniona świeżą wodą, która pochodziła z topniejących na wysokich zboczach High Sierra śniegów. Z powodu stabilności w dostarczaniu wody przez cały rok rzeka stała się już wcześniej ulubionym miejscem osadników, którzy krok po kroku nawadniali swoje coraz bardziej rozległe pola, niektóre leżące do 7 kilometrów od jej brzegu. Z doliny Owens stworzyli oni najbardziej żyzną część Kalifornii. Z czasem dolina stała się przysłowiowym spichlerzem i określana była jako kraina zbożem, mlekiem i miodem płynąca. Jeszcze na początku XX wieku naturalne jezioro Owen było wielkim akwenem o powierzchni 160 kilometrów kwadratowych, po którym kursowały pasażerskie i towarowe statki parowe.

Nie było możliwości, aby inżynierowie Los Angeles nie dostrzegli potencjału doliny, rzeki i jeziora Owens. Inżynierowie, bankierzy i politycy dostrzegli, ale nawet wstępnie potajemnie studiowali położenie, warunki geologiczne, topografię i inne uwarunkowania tego miejsca.

Nie tylko dolina Owens znalazła się w centrum zainteresowania ludzi z Los Angeles. Zaczęto intensywnie przyglądać się innej dolinie – San Fernando, terenowi, który leżał tuż za bramą miasta. Dolina San Fernando miała jednak całkiem inne walory niż dolina Owens. Ziemia była bardzo dobra, ale niestety pozbawiona większych źródeł wody. Był to wielki kawał świetnie położonej ziemi, która niestety w praktyce była pustynią.

Ci, którzy okazywali szczególne zainteresowanie doliną San Fernando, nie byli jednak zwykłymi obywatelami miasta. W skład powstałej spółki wchodził najbogatsi bankierzy, przedsiębiorcy, agenci nieruchomości, spekulanci ziemscy, czołowi politycy. To

możne i wpływowe towarzystwo zaczęło za pośrednictwem drobnych agentów, których działalność nie budziła większych podejrzeń, w całkowitej tajemnicy przed mieszkańcami wykupywać ziemię w wydawałoby się bezwartościowej dolinie San Fernando. Chętnych do sprzedaży było wielu, a ceny były niskie. Nie można całkiem przekreślić altruistycznych motywacji w postępowaniu członków syndykatu, ale bliżej prawdy będzie stwierdzenie, że chodziło o pieniądze i to w takiej skali, jakiej wcześniej nikt nie widział, z wyjątkiem może wielkich baronów kolejowych, którzy pod koniec XIX wieku mieli na koncie wielkie malwersacje.

W filmie Romana Polańskiego z 1974 roku *Chinatown* (nominiowany do 11 Oscarów) sens całego oszustwa przedstawiono w dialogu prywatnego detektywa Jacka Gatesa z żoną ofiary – Evelyn Cross Mulwray:

&– *Ta tama to oszustwo.*

&– *Jaka tama?*

&– *Ta, której budowie sprzeciwiał się twój mąż. Oszukali L.A. i namówili do budowy, tylko że wodą nie dopłynie do L.A., lecz tu.*

&– *W dolinę?*

&– *Wszędzie, gdzie tylko okiem sięgniesz. Byłem dziś w Biurze Umów.*

[...]

&– *W ciągu ostatnich trzech miesięcy Robert Knox kupił siedem tysięcy akrów, Emma Dill dwanaście tysięcy akrów, Clarence Speer pięć tysięcy akrów i Jasper Lamar Crabb dwadzieścia pięć tysięcy akrów.*

[...]

&– *Wystawili do wiatru tych farmerów i wykupują ziemię za grosze. Czy masz wyobrażenie, ile ta ziemia będzie warta po doprowadzeniu tu na stałe wody? Około trzydzieści milionów więcej, niż za nią zapłacili.*

Pierwszym sygnałem do rozpoczęcia akcji „porwanie wody rzeki Owens” nie były działania miasta Los Angeles, lecz rządu fe-

deralnego.

W 1903 roku rządowe Biuro do Spraw Odzyskiwania Gruntów (ang. United States Bureau of Reclamation) gwałtownie zaczęło się interesować doliną i rzeką Owens. Reprezentant tego Biura J.B. Lippincott pojawił się w dolinie i zaczął roztaczać wizję federalnego projektu rozbudowy irygacji doliny, stworzenia nowych terenów rolniczych, które miejscowi rolnicy będą mogli kupić za zaniżoną cenę. Inwestycja rządowa wydawała się niczym innym jak prawdziwym łutem szczęścia, które miało zagwarantować dolinie rozwój i dobrobyt w przyszłości. Prasa miejscowa entuzjastycznie relacjonowała intensywne prace nad badaniem jakości ziemi, pomiarami geodezyjnymi, nad lokalizacją potencjalnych zapór i zbiorników retencyjnych. Prace te, w części wykonywane dzięki pomocy miejscowych farmerów, miały przyspieszyć czas realizacji projektu. Właściciele gruntów mieli tylko częściowo dopłacać do projektu. Koszt był niewielki, bo tylko 23 dolary za 1 akr ziemi, który miał stać się najlepszą i najlepiej nawodnioną częścią Kalifornii. Te różowe perspektywy mąciły tylko niezrozumiałość i zbyt częste wizyty dostojników z Los Angeles: Williama Mulhollanda – głównego inżyniera z Miejskiego Wydziału Wody i grupy bankierów. Ich zainteresowanie rzeką i doliną budziło podejrzliwość mieszkańców, która stała się jeszcze większa, gdy zaczęto od czasu do czasu wspominać o możliwości opóźnienia lub całkowitego porzucenia projektu przez Biuro do Spraw Odzyskiwania Gruntów. Uspokojenie nastrojów następowało tylko wtedy, gdy w dolinie pojawiał się J.B. Lippincott, który w dalszym ciągu intensywnie pracował nad gromadzeniem danych potrzebnych do przyszłej inwestycji. Studiował i gromadził prywatne mapy, robił pomiary przepływu wody, przeglądał akty własności, które umożliwiały poznanie każdego kilometra kwadratowego doliny. Mieszkańcy jednego nie wiedzieli o J.B. Lippincocie – że już nie pracował dla rządu federalnego. Główny inżynier projektu otrzymywał swoją pensję od... miasta Los Angeles.

Zmienił się nie tylko główny inwestor, ale też cel całego projektu. To nie miało być zirygowanie doliny. To miało być odprowadzenie wody z rzeki i jeziora do oddalonego 375 kilometrów Los Angeles. Należało tylko przetransportować wodę z Owens River płynącą na wysokości 1158 metrów do miasta, które leżało 365 metrów nad poziomem morza. Sprawa nie wyglądałaby na zbyt skomplikowaną, gdyby nie trzeba było wynosić jej ponad wysokie szczyty i wypompowywać z głębokich pustynnych kanionów. Pomysł wyglądał bardziej na fantazję niż na realne rozwiązanie problemu, które dałoby się zrealizować z pomocą ówczesnej techniki.

W Los Angeles nikt nie miał pojęcia o nowym projekcie. W prasie panowała kompletna cisza, którą łatwo było wytłumaczyć. W tym czasie cały czas wykupowano resztki wolnej ziemi w dolinie San Fernando. Mając w swoich rękach pełną dokumentację techniczną i prawną, wykupione potajemnie ziemie wraz z prawami do wody w dolinie Owens, miasto Los Angeles otrzymało gwarancje rządowe umożliwiające budowę akweduktu na ziemi państwowej. Miejscowi bogacze zdążyli też nabyć prawa własności do ziemi w prawie całej dolinie San Fernando. Teraz można było przystąpić do realizacji pionierskiego projektu.

Powoli zaczęto publikować coraz więcej informacji o planowanej inwestycji. Okazało się, że to nie miało być zwykłe odprowadzenie nadwyżek wody z rzeki. Planowano wyssać z doliny prawie całą wodę, nawet tę, która znajdowała się w podziemnych zbiornikach, studniach głębinowych i okolicznych strumieniach.

Brakowało tylko jednej rzeczy – wielkich pieniędzy na sfinansowanie tego projektu. Pieniądze w zasadzie były łatwe do zdobycia. Należało je pożyczyć od mieszkańców Los Angeles. Aby mieszkańcy byli bardziej skłonni do pożyczania pieniędzy na projekt, który miał przede wszystkim stworzyć fortuny prywatnych firm i inwestorów, należało tylko przekonać ich, że miasto jest w drodze do zagłady z powodu katastrofalnej suszy i należy zrobić

coś radykalnego. Rozwiązaniem był akwedukt z doliny Owens. Właściwymi osobami do podniesienia takiego alarmu w mieście był właściciel „Los Angeles Times”, który oczywiście sam był w syndykacie spekulującym ziemią w obu dolinach. Mając w ręku pozwolenia władz federalnych i pieniądze ze sprzedaży obligacji miejskich w wysokości 22,5 miliona ówczesnych dolarów, można było rozpocząć budowę tego historycznego obiektu inżynieryjnego. Jakby cudów, które sprzyjały tej budowie, było mało, w 1906 roku gubernator Kalifornii zarządził stworzenie „federalnego rejonu leśnego” na pustynnych terenach doliny Owens i to dokładnie w miejscu, które było potrzebne do budowy akweduktu. Budowa rozpoczęła się w 1908 roku i dzięki pracy ponad pięciu tysięcy robotników postępowała w szaleńczym tempie. To mogło się podobać mieszkańcom miasta, mimo że od czasu do czasu wspominano, że woda nie dopłynie do samego Los Angeles, tylko do doliny San Fernando.

Zbudowany w 1913 roku akwedukt rzeczywiście kończył swój bieg na terenie wcześniej wykupionym przez wielkich posiadaczy ziemskich, bankierów i polityków. Ceny tych niedawno nabytych hektarów wystrzeliły w powietrze. To był jednak tylko początek wspaniałych interesów. Aby wywindować cenę ziemi jeszcze wyżej, należało tylko przyłączyć ją do miasta Los Angeles, co też nastąpiło dwa lata później, w 1915 roku. W tym momencie San Fernando stało się ziemią obiecaną, która miała zagwarantować miastu i małej grupie jej mieszkańców świetlaną przyszłość i dobrobyt.

Historia doliny i rzeki Owens nie ma szczęśliwego zakończenia. Miasto wprawdzie otrzymało wodę, ale tysiące farmerów dopiero po fakcie zauważyło, jakie katastrofalne skutki miało odprowadzenie wody z ich doliny. W następnych latach trwały zaćięte boje farmerów z miastem o prawa do wody. Mówiono głośno o oszustwach, wyłudzeniach i kradzieży. Mieszkańcy doliny zaczęli organizować się w rodzaj partyzantki, która sabotowała

odpływ wody. W 1923 roku miarka się przebrała. Los Angeles nie tylko zabierało wodę z rzeki, ale również zaczęło wypompowywać wodę gruntową zalegającą pod powierzchnią ziemi. W maju 1924 roku grupa zdesperowanych farmerów wysadziła w powietrzu fragment akweduktu. Sześć miesięcy później inna grupa wzburzonych mieszkańców otworzyła zawory, przekierowując wodę do wysychającego jeziora Owens. Wzajemna przemoc trwała przez następne lata. Bronią farmerów najczęściej był dynamit, który podkładano co najmniej siedmiokrotnie pod wielkie rury odprowadzające wodę lub pod inne obiekty inżynieryjne. Nawet 50 lat później nie wahano się przed dynamitową dyplomacją.

W 1976 roku ktoś podłożył ładunki dynamitu w okolicach Alabama Gates oraz próbował, ale bez sukcesu, wysadzić w powietrzu pompaduczną fontannę – pomnik Mulhollanda, głównego inżyniera akweduktu w Los Feliz. Fontanna była dla sprawców zamachu symbolem niesprawiedliwości i marnotrawstwa wody, którą „skradziono” z doliny Owens.

Kilka lat po wybudowaniu akweduktu trwała euforia i poczucie, że miasto ma tyle wody, ile potrzebuje, plus solidną rezerwę na przyszły rozwój. Szaleńcze lata 20. XX wieku, kiedy miasto zaroiło się od nowych mieszkańców przyjeżdżających tu z całego kraju, uświadomiły włodarzom Los Angeles szybko, że trzeba ponownie ruszyć na poszukiwanie wielkiej wody. Ta z doliny Owens już nie starczała. Tym razem miasto miało szczęście. To, czego pożałowało, było tuż za miedzą, w pustynnej Nevadzie, a rachunek za sprowadzenie nowej wody do miasta miał zapłacić rząd federalny.

Zapora Hoovera na rzece Kolorado miała być obiektem na miarę coraz większych amerykańskich ambicji lat 30. XX wieku. To miała być najwyższa tama na świecie, największy zbiornik wody stworzony ręką człowieka i największa elektrownia świata. Decyzja o jej budowie wprawiła mieszkańców Los Angeles w stan

euforii. Miasto za jednym zamachem mogło rozwiązać już nie jeden, lecz dwa największe problemy hamujące jego rozwój. Do Los Angeles miała dotrzeć nowa fala świeżej wody i niemal nieograniczona ilość taniej energii elektrycznej. Ten ostatni dar dawał szansę miastu na stanie się wielkim warsztatem zachodnich USA, tym samym uniezależniając je od koniunktury rolniczej i kapryśków przemysłu filmowego. Można było stworzyć wystarczającą liczbę nowych miejsc pracy dla wielkich fal imigracyjnych przechodzących przez miasto.

Tak jak wielokrotnie wcześniej nastąpiła frontalna konfrontacja interesów miasta Los Angeles i jego sąsiadów. Mniejsze i słabsze stany południowego zachodu podkreślały własne potrzeby i wskazywały na traktowanie ich po macoszemu przez rząd federalny. Była to niemal odruchowa samoobrona przed drapieżną, zachłanną na każdą kroplę wody Kalifornią. Sąsiednie stany głośno ogłaszały, że Kolorado jest „ich” rzeką. Jej głównym źródłem wody są odległe od brzegu Pacyfiku Góry Skaliste i ich topniejący śnieg. Rzeką o całkowitej długości ponad 2300 kilometrów przepływa między innymi przez terytorium Wyoming, Nowy Meksyk, Utah i przede wszystkim przez Arizone, która od samego swojego poczęcia jako stan USA zacięcie walczyła ze swoim wielkim sąsiadem – Republiką Kalifornii.

Niezaspokojony apetyt Kalifornii na wodę jest niewyczerpanym źródłem konfliktów, które trwają całe pokolenia. Każdy z tych wysuszonych i spragnionych stanów próbuje udowodnić, że został pokrzywdzony przy podziale wody. Zacięte dyskusje trwały od lat 20. XX wieku. Dopiero w 1963 roku Sąd Najwyższy USA wydał wyrok nakazujący zmniejszenie udziału wody odprowadzanej do Kalifornii i oddanie jej sąsiadom – przede wszystkim Arizonie. Spór nie zakończył się w 1963 roku ani w 1968 roku, kiedy Kongres go zaakceptował, lecz trwał w zasadzie do roku 2007, gdy na nowo podpisano ostateczne porozumienie o dystrybucji wody z rzek.

Procesowanie się o wodę między miastem Los Angeles a mieszkańcami terenów, skąd brana jest woda, stało się głównym zajęciem prawników zatrudnionych przez miasto. Procesy trwały nie latami, lecz dziesiątkami lat. Mieszkańcy doliny Owens mogli mówić o częściowym sukcesie, kiedy przed końcem XX wieku sądowo zatwierdzono, że można podnieść poziom wody w okolicznym jeziorze Mono o 61 cm i mieszkańcy mogą zatrzymać... 5% wody w przepływających strumieniach.

Dziś Los Angeles jest zaopatrywane w wodę nie przez dwa akwedukty, lecz przez cztery, z których najbardziej oddalony od miasta leży aż w okolicach Sacramento, czyli ponad 700 kilometrów od miasta. Żeby przetransportować wodę do Los Angeles, stworzono największy na świecie system hydrauliczny, w skład którego wchodzi 1400 większych zbiorników i tysiące kilometrów akweduktów. Tak skomplikowany mechanizm pozwala na przeniesienie wody z północy, która jest źródłem 70% wody, na tereny południa, gdzie mieszka 70% mieszkańców. Konsumpcja wody przez mieszkańców jest jednak mniejszym problemem, gdyż na to przypada tylko 20% potrzebnej wody. Resztę pochłania spragnione rolnictwo, dla którego woda jest wszystkim. Ciężko doświadczona dolina Owens zaspokaja dziś tylko 11% potrzeb na wodę. Tylko 1% pochodzi z ponownego odzysku wody, a resztę, czyli 79%, gwarantuje coraz bardziej wysychająca rzeka Kolorado i woda z delty Sacramento – San Joaquin.

Przepompowanie wody do miasta jest sztuką samą w sobie, ale również największym pojedynczym wydatkiem, jakie miasto musi finansować. Do tego również zużywa jedną piątą swoich zasobów energetycznych, czyli tego, co obecnie jest równie cenne i deficytowe jak woda.

*

Most First Street Bridge nie zajmuje zbyt wiele miejsca w przewodnikach turystycznych. Jest on ostatnim fragmentem First

Street, przebiegającej przez centrum Los Angeles i punktem orientacyjnym dla wycieczek, które po obejrzeniu wypieszczonej dzielnicy Little Tokio kierują się w stronę Union Station i historycznych Paseo De La Plaza i El Pueblo de Los Angeles. Tylko niewiele osób kontynuuje spacer przez sam most. Uważany jest on często za „posterunek graniczny” wyznaczający podział na zachodnie i wschodnie Los Angeles, na bogatą i biedną część miasta. Jest on granicą zasobnej światowej metropolii i wielkiego przedmieścia, gdzie często dominują: bieda i gangi. Wschodnie dzielnice miasta są przeważnie zamieszkane przez tych, którzy mieli trochę mniej szczęścia w życiu. Ta część Los Angeles stała się wielkim niewyczerpanym źródłem tanich pracowników, armii ludzi gotowej sprzątać, pilnować, budować, świadczyć wszelkiego rodzaju usługi szczęśliwcom z Beverly Hills, Bel Air i z innych miejsc leżących po zachodniej stronie miasta lub na stromych zboczach okolicznych gór.

Ci, którzy odważą się wejść na most i kontynuować zwiedzanie miasta, być może należą do wąskiej grupy, która wie trochę więcej o mieście niż zwykli turyści. Sam most i jego otoczenie jest bowiem legendą. Można by zebrać wiele godzin materiałów filmowych, których akcja dzieje się właśnie na tym moście. Można by obejrzeć setki reklam różnego typu produktów, których wyeksponowanie w tym miejscu miało zachęcać do ich kupienia. Popularność właśnie tego mostu jest spowodowana tym, że można z niego zobaczyć najbardziej imponującą panoramę wieżowców Los Angeles. Ta niesamowita sylwetka miasta stała się tak atrakcyjna, że obecnie jest ona częściej eksponowana w mediach niż wcześniejsza najbardziej popularna tapeta obrazująca wielką amerykańską metropolię, czyli widok południowego Manhattanu widzianego od wejścia do nowojorskiego portu.

Niemal każdego dnia kręci się na moście i w jego najbliższym otoczeniu sceny filmów kinowych, realizuje się zdjęcia do reklam i ustawia się modeli i modelki do trwających godzinami sesji zdję-

ciowych. Zainteresowanie tym miejscem nie ogranicza się tylko do eksploatawania panoramy śródmiejskich wieżowców. Równie duża aktywność jest pod samym mostem, czyli w wielkim wybetonowanym kanale, przez który przez większą część roku przepływa anemiczna rzeczka. Ta potężna konstrukcja betonowego kanału jest również prawdziwą celebrytką. Tu kręcono fragmenty dziesiątków filmów, z których najbardziej pamiętne to: *Terminator 2* z Arnoldem Schwarzeneggerem czy *Grease* z Johnem Travoltą i Olivią Newton-John.

To miejsce stało się kultową scenografią filmów sensacyjnych. Most, kanał, przestępstwo i bezprawie są zawsze w roli głównej. Każdy celebryta, szczególnie mający ambicje bycia macho, musi zrobić sobie tu sesję zdjęciową do swojego portfolio. Stało się ono tak popularne i rozpoznawalne jako symbol miasta, że zdjęcia na jego tle są równoznaczne z informacją, że jest się w Los Angeles. Zrobienie sobie tu zdjęcia jest równie oczywistym przesłaniem, jak zrobienie sobie fotki na tle neonów Times Square na dowód tego, że się jest w Nowym Jorku.

Nie wszyscy są jednak zainteresowani tym miejscem z racji spektakularnych widoków na panoramę miejską lub sławnej lokalizacji wielu produkcji filmowych. Od czasu do czasu pojawiają się tu grupy ludzi, które z powagą przyglądają się betonowemu kanałowi i żarliwie dyskutują. Jeśli można by zrozumieć wszystkie języki obce, w których odbywają się te dyskusje, to wiedzieliśmyby, że ci ludzie są zdegustowani i zmartwieni tym, co widzą. To, co widzą, nie jest tuzinkowym kanałem odpływowym przepływającym przez tereny przemysłowe, lecz rzeką – matką, założycielką i przyczyną powstania miasta. Ten kanał nazywa się Los Angeles River. Ta krótka rzeka (82 kilometry) wypływająca z doliny San Fernando, mająca kiedyś zdecydowanie bardziej skomplikowaną nazwę (El Río de Nuestra Señora La Reina de Los Angeles de Porciúncula), wzmacniana przez jeszcze bardziej cheralawe strumienie niż ona sama (Arroyo Calabasas, Bell Creek, Tu-

junga Wash), stała się przyczyną powstania miasta. Była ona przez dziesiątki lat głównym źródłem wody w mieście. Ta skromna rzeka decydowała o możliwości przeżycia na pustyni, jaką właściwie jest wyżyna Los Angeles. Była najcenniejszą rzeczą, jaką miasto miało do zaproponowania swoim mieszkańcom lub potencjalnym osadnikom. Jeszcze w połowie XIX wieku mieszkańcy Los Angeles, którzy mieszkali w pewnym oddaleniu od rzeki, w okresie suszy byli gotowi płacić za wodę do 50 centów za wiaderko.

Dziś ku przerażeniu miłośników natury Los Angeles River stała się symbolem nieludzkiego miasta. Wielu uważają za najbardziej zadręczoną rzekę na świecie, wyrwaną z naturalnego koryta, wpuszczoną w głębokie betonowe wykopy umożliwiające przeprowadzenie nad jej korytem 10 wielkich autostrad i wielu linii kolejowych. Została pozbawiona ekologicznej funkcji, wyrzucona ze świadomości mieszkańców i zredukowana do roli kanału przemysłowego niosącego w swoim korycie zanieczyszczenia i śmieci wielkiego miasta.

Przemiana z sielskiej małej rzeki w kolosalne betonowe koryto przecinające miasto na połowę nie jest skutkiem ludzkiej bezmyślności. Los Angeles River jest nie tylko dowodem brutalności człowieka, ale również dowodem przemocy, jaką jest w stanie stworzyć natura. Los Angeles River podobnie jak wiele innych kalifornijskich rzek i strumieni ma pewną szokującą cechę, którą co kilkanaście lat pokazuje z całą stanowczością. Te wody są złośliwe i nieobliczalne. W momentach podwyższonego stanu wody nie płyną w swoich tradycyjnych korytach, lecz gwałtownie znajdują sobie nowe drogi do Pacyfiku. W Kalifornii nieraz rzeki zalewały wielkie połacie ziemi, tworząc nowe rzeki i jeziora. Najślawniejszym spontanicznym tworem nieobliczalnych rzek było największe jezioro kalifornijskie Salton Sea (Słone Morze). Powstało ono przez zmianę kierunku rzeki Kolorado, która zamiast popłynąć do Zatoki Kalifornijskiej, zalała depresję Salto i stworzyła

wielkie jezioro o powierzchni ponad 950 kilometrów kwadratowych. Dla usprawiedliwienia natury trzeba ; powiedzieć, że ludzki błąd, a dokładniej błąd California Development Company, w pewnym stopniu przyczynił się do tego, że rzeka Kolorado przez dwa lata płynęła nie tam, gdzie powinna.

Los Angeles River wielokrotnie ujawniała taką spektakularną, ale już bez pomocy ludzkiej zmianę kierunku spływu. W ciągu ostatnich dwóch wieków rzeka zamiast spływać w okolicach Long Beach, robiła sobie turę po całej wyżynie i zamiast na wschód płynęła na zachód w okolice Santa Monica i Beverly Hills. Mając tylko niecałe 90 kilometrów długości, Los Angeles River potrafiła skrócić w nieodpowiednim kierunku o 40, 50 kilometrów. Topniejące lodowce, zimowe deszcze i sztormy uczyniły z tej rzeki prawdziwą plagę, która nękała mieszkańców miasta i każdego roku groziła, że przestawi kierunek swojego nurtu tak, jak jej się będzie podobało. Katastrofalne konwulsje rzeki zdarzały się w 1814, 1824, 1851, 1867, 1887 i 1889 roku.

Po katastrofie w 1914 roku wiedzano już, że egzystencja miasta jest zagrożona, jeśli nie przeprowadzi się szybkiej regulacji rzeki. Najtragiczniejsza była powódź w lutym 1938 roku. Po pięciu dniach ulewnych deszczów z gór zaczęła spływać ogromna fala powodziowa. Nikt nie był w stanie jej zatrzymać. Potężna masa rzadkiego błota zabrała ze sobą ponad 100 osób i majątek o wartości około 600 dzisiejszych milionów dolarów. Ta bezprecedensowa powódź spowodowała, że postanowiono stworzyć cały system zabezpieczeń hydrologicznych chroniących miasto przed zalaniem.

Żeby przekształcić tę niepozorną rzekę w istniejący kanał, który dziś przeraża ekologów, trzeba było włożyć w to wiele energii. Całą operację wykonano w zgodzie z ówczesnymi priorytetami społecznymi i wiedzą o ochronie środowiska naturalnego. Kanał był budowany w lęku przed rzeką, która przerażała ludzi, a nie z chęci pomocy naturze. Zdecydowano, że jedynym wyjściem

jest uregulowanie rzeki i zakucie jej w kamienne lub betonowe brzegi, dokładnie tak samo, jak wcześniej uczyniono z rzekami w Londynie lub Paryżu. Jedyna różnica polegała na tym, że nikt nie bawił się w stworzenie kamiennych bulwarów. W Los Angeles postawiono na surowy beton i totalną funkcjonalność. Żadnych ozdób i upiększeń. Rzeki nie należało kontemplować, lecz tak szybko, jak to się dało przetransportować jej wody do Pacyfiku.

Zadanie zostało wykonane w prawdziwie militarnym tempie i z precyzją przez The Army Corps of Engineers. Regulacja dotyczyła prawie całego biegu rzeki z wyjątkiem 20-kilometrowego odcinka w pobliżu Griffith Park. W 1959 roku zakończono prace. Wybudowano przy okazji trzy tamy przeciwpowodziowe. To miało definitywnie zabezpieczyć i uchronić miasto przed wodnymi kataklizmami. Ludzie przestali obawiać się dzikiej rzeki. Potężna fala wody i błota, pędząc z gór z niesamowitą szybkością, miała spływać do Pacyfiku, a nie toczyć swoje wody przez Hollywood Boulevard.

Oczywiście istniało wiele alternatywnych projektów uspokojenia rzeki. Myślano o wykorzystaniu jej wód do stworzenia zalewisk, które w konsekwencji mogły podnieść poziom wody gruntowej. To rozwiązanie wydawało się jednak nie za bardzo praktyczne. Na wyżynie Los Angeles ziemia była warta złota. Tę ziemię sprzedawało się, a nie zalewało wodą, która zresztą znikałaby po paru tygodniach ze zbiorników retencyjnych, wykorzystana do celów rolniczych. Opinia publiczna miała w pamięci historię rzeki Kolorado, której wody były tak intensywnie zagospodarowane, że rzeka przestała uchodzić do Zatoki Kalifornijskiej i wodna delta stała się suchym klepiskiem. Jak to niektórzy mieszkańcy sformułowali: ich kłopotliwa rzeka wprawdzie jest zakuta w betonowe kamasze, ale ma przynajmniej możliwość wpadać prosto do naturalnego ujścia, to znaczy do Pacyfiku.

Z dzisiejszej perspektywy sposób, w jaki Los Angeles River została potraktowana, uważany jest za odstraszaający symbol dzia-

łań człowieka i miasta, które morduje naturalne środowisko. Skuteczna krytyka aktywistów ochrony środowiska i nowe spojrzenie na problemy ekologii spowodowały, że ta sama jednostka, która kilkadziesiąt lat temu obezwładniła rzekę, ma dokonać rekonstrukcji systemu ekologicznego. Ta inicjatywa kosztuje 453 miliony dolarów, ale w dalszym ciągu ma zachować... betonową ramę, w którą rzeka została wciśnięta. Jest ona bezdyskusyjną podstawą systemu ochrony miasta. Ta częściowa rekonstrukcja systemu ekologicznego rzeki ma polegać na zbliżeniu mieszkańców do zniewolonej wody, umożliwieniu na pewnych odcinkach rekreacji nad jej brzegami przez wyznaczenie szlaków pieszych, rowerowych i miejsc kempingowych.

*

Kalifornia jawi się jako „złoty stan”, gdzie piękno i nieprzeciętność są częścią każdego zjawiska. Jeśli wszystko w Teksasie musi być większe niż u sąsiadów, to wszystko, co związane jest z Kalifornią, musi być piękniejsze i bardziej imponujące – nawet to, co przeraża mieszkańców i przybyszów. Nigdzie nie ma tak wielu wspaniałych katastrof naturalnych, jak w Kalifornii. Ci, którzy delectują się fantastycznym klimatem tego miasta, muszą zaakceptować to, że mieszkają na niebezpiecznym terenie, gdzie natura w każdy możliwy sposób pokazuje swoje ciemne strony.

Każdego dnia Los Angeles drży ze strachu przed katastrofalnym trzęsieniem ziemi. Wyżyna Los Angeles jest miejscem, gdzie następuje gwałtowne rozładowanie naprężenia w skorupie ziemskiej połączone z ruchem warstw skalnych wzdłuż uskoku. Los Angeles rozłożyło się na potężnym uskoku San Andreas, który od czasu do czasu daje o sobie znać w postaci swojej niszczącej siły. Uskok oddziela dwie poruszające się w przeciwnych kierunkach płyty skorupy ziemskiej: pacyficzną i północnoamerykańską. San Francisco znajduje się na północno-wschodnim (północnoamerykańskim) krańcu uskoku, natomiast Los Angeles – na skrzydle po-

łudniowo-zachodnim (pacyficznym). To właśnie uskok San Andreas stworzył fantastyczną naturę i topografię Kalifornii. Strone skały spadające wprost do Pacyfiku, widowiskowe góry, głębokie wąwozy zostały stworzone przez naturę, a dokładnie przez dwie płyty ziemskiej, które ocierały się o siebie lub frontalnie zderzały.

Śmiertelne niebezpieczeństwo trzęsień ziemi w okolicach San Francisco było znane. Mieszkańcy Los Angeles myśleli, że ich miasto jest narażone co najwyżej na średnie i mniejsze wstrząsy. W 1933 roku zmieniono zdanie na ten temat. Na wyżynie zanotowano wtedy wstrząsy tak silne, że zginęło 115 osób, a centrum Long Beach zostało zniszczone. Los Angeles uświadomiło sobie, że leży w miejscu, gdzie może nastąpić podobny kataklizm. Po tragedii w 1933 roku przyszły inne, trochę mniejsze, ale w 1971 roku miała miejsce prawdziwa katastrofa w San Fernando. Okolice dzielnicy Whistler Narrows, a więc w najbliższym sąsiedztwie śródmieścia, zostały dotknięte tragicznym wstrząsem w 1987 roku. To ostatnie wydarzenie potwierdziło teorię, która mówiła, że samo centrum miasta jest wybudowane na obszarze aktywności sejsmicznej.

W 1994 roku Los Angeles uświadomiło sobie, jak tragiczne mogą być skutki trzęsienia ziemi. Wydarzyło się ono 17 stycznia o godzinie 4.30 nad ranem, trwało od 10 do 20 sekund i osiągnęło moc 6,7 stopni w skali Richtera. Epicentrum znalazło się w okolicach dzielnicy Northridge, około 30 kilometrów od śródmieścia. To było jedno z najmocniejszych trzęsień ziemi, jakie nawiedziło zurbanizowane tereny Ameryki Północnej. Komputery w Caltech (California Institute of Technology), które miały za zadanie obserwowanie ruchów ziemi, były tak „wstrząśnięte” siłą, że przez dłuższy czas nie potrafiły podać wielu ważnych informacji, np. gdzie było epicentrum wstrząsu. Jedenaście godzin po pierwszym tragicznym wstrząsie nastąpiło kolejne trzęsienie – następce. Siłę tych wstrząsów dobrze ilustrowały nie tylko zniszczenia w mieście, ale również potężne burze piaskowe, które rozszalały się w

górach otaczających miasto. Ten pokaz siły natury był obserwowany z zapartym tchem przez mieszkańców. Był on zarówno pięknym, ale i śmiertelnie groźnym widowiskiem.

Bilans trzęsienia był tragiczny. Zginęło 57 osób i 5 tysięcy zostało rannych. Straty materialne osiągnęły niespotykane wysoki poziom około 40 miliardów dolarów. Ta katastrofa nastąpiła na terenie najgęściej zabudowanym i dlatego stała się również jedną z najdroższych w dziejach USA. Kataklizm wpłynął na życie 10 milionów mieszkańców. Tylko dzięki wczesnej porze (4.30 rano) tak niewiele osób zginęło w zapadających się wielopiętrowych parkingach i na autostradach. Rozpadały się one jak źle złożone klocki Lego. Przez miasto przeszła fala za falą seria potężnych eksplozji i pożarów spowodowanych zniszczeniem przewodów gazowych. W wielu miejscach drogi wyglądały jak wielkie rzeki. Woda z systemu wodociągów zaczęła zalewać całe dzielnice. Kiedy się rozjaśniło, ludzie mogli stwierdzić, że domy, które wieczorem miały np. trzy piętra, nad ranem posiadały już tylko dwa. Wielu ludzi zostało uwięzionych w takich zapadających się domach. Zniszczeniu uległy drogi i nie były to zwykłe drogi lokalne, bo dewastacji uległy nawet fragmenty Santa Monica Freeway – jednej z najchętniej uczęszczanych autostrad w USA, z której każdego dnia korzystają setki tysięcy mieszkańców miasta i podróżnych.

Ludzie ginęli w domach, które pochodziły ze starszych okresów. Straty materialne i ludzkie byłyby jeszcze większe, gdyby wcześniej nie wprowadzono w życie nowych norm budowlanych tuż po trzęsieniu ziemi w dolinie San Fernando w 1971 roku. Od tego wydarzenia nowe budynki musiały mieć odpowiednią konstrukcję, a do ich budowy trzeba było stosować materiały, które zmniejszały ryzyko zawalenia się. W 1994 roku żaden budynek i konstrukcja wybudowana według nowych norm nie doznała większych szkód.

Każdego roku następuje tysiące wstrząsów, często nieodczuwalnych dla ludzi. Przykładowo na terenie wielkiego Los Angeles 6 grudnia 2015 zanotowano: 2 trzęsienia ziemi, 13 trzęsień w ciągu 7 wcześniejszych dni, 43 w ciągu ostatniego miesiąca i 570 od początku 2015 roku. Trzęsienia miały moc 1,5 w skali Richtera lub więcej, z czego poważne wstrząsy zanotowano w Inglewood, dzielnicy położonej w bezpośrednim sąsiedztwie portu lotniczego LAX.

Wszyscy jednak obawiają się tego jednego rozstrzygającego wstrząsu, tak zwanego The Big One, który może pogrążyć całe miasto. Pytanie nie brzmi, czy to wielkie trzęsienie ziemi kiedyś nastąpi, właściwe pytanie brzmi – kiedy? Konsekwencje mogą być apokaliptyczne. Jeśli ktoś chce wiedzieć, jak by to wyglądało, to może obejrzeć jeden z już zrealizowanych filmów katastroficznych, które z realistycznym rozmachem pokazują, jak całe Los Angeles „ześlizguje” się do oceanu lub zapada w głębokie czeluście Ziemi. Takich filmów katastroficznych powstało już kilka. Cały świat zamiera w rozrywkowym przerażeniu w trakcie ich wyświetlania. Sami mieszkańcy miasta mają mieszane uczucia co do wartości tych dzieł. Część jest wręcz zirytowana tym, że ludzie gustują w takiej rozrywce:

Nie chodzę na takie filmy. One są głupie. Nie chcę patrzeć na obrazy pokazujące, jak miasto jest redukowane do góry gruzu. Nie potrzebujemy takich obrazów w naszych głowach[16].

Mieszkańców Los Angeles przeraża również coś, z czym tak na poważnie jeszcze się nie zetknęli. Źródło tego nieszczęścia może leżeć tysiące kilometrów od miasta. To nowe zagrożenie nazywa się tsunami. W przypadku uderzenia w wybrzeże kalifornijskie jest ono w stanie zalać tereny, na których mieszka około 750 tysięcy mieszkańców zamieszkałych w Long Beach, Malibu, Laguna, części hrabstwa Orange, w okolicach portu lotniczego LAX i największej przystani jachtowej na świecie Marina del Rey. Te tereny jest w stanie zniszczyć i zalać trzęsienie ziemi w skali 9,1

Richtera, które nastąpi np. w odległej Alasce, w wyniku czego powstałyby fale oceaniczne wysokie od trzech do siedmiu metrów. Wszystkie plany ratownictwa związane z trzęsieniami ziemi zrewidowano i wprowadzono nowy rozdział poświęcony taktyce obrony przed falami i szybkiej ewakuacji dużych grup mieszkańców. To, że to nie jest fantazja i czarnowidztwo, przekonali się Azjaci, gdy dotknęło ich tsunami na Sumatrze w 2004 roku, i Japończycy – wiosną 2011. Wtedy nie doceniono możliwości tej bezlitosnej fali, która bez problemu zmyła z powierzchni ziemi wiele miast otoczonych murami przeciwpowodziowymi, które w teorii powinny zahamować nawet największe fale. Gdyby tsunami uderzyło kilkaset kilometrów bardziej na południe, to wtedy mieszkańcy Los Angeles wiedzieliby przed czasem, jakie są konsekwencje takiego uderzenia w wielkie miasto. Ofiarą i ceną takiego doświadczenia byłoby tragiczne zniszczenie Tokio, podobnego molocha miejskiego jak Los Angeles.

Istnieje jedno niebezpieczeństwo, które wydaje się bardziej paraliżować mieszkańców miasta niż groźba dzikich powodzi, a nawet trzęsień ziemi. Nigdzie na świecie nie ma tak częstych i spektakularnych dzikich pożarów wielkich połaci ziemi. Nic tak nie przeraża mieszkańców jak żółta taśma samoprzylepna na ich skrzynkach pocztowych. Przyklejana jest ona przez strażaków i jest wyraźnym, ostatnim sygnałem, że należy opuścić dom i szybko ewakuować się przed nadciągającym ogniem.

Cieńko przewidzieć, kiedy i gdzie wybuchnie następny wielki pożar natury. Wszyscy wiedzą, że należy być szczególnie ostrożnym na jesień i w zimie, kiedy przez miasto przetacza się halny wiatr nazwany Santa Ana. Ten suchy, ale jeszcze relatywnie zimny, pustynny wiatr wieje z gór i Wielkiej Wyżyny Amerykańskiej. Po pokonaniu szczytów San Gabriel następuje jego gwałtowne ocieplenie i w konsekwencji zwiększenie jego szybkości. Ten już bardzo ciepły, szybki, wiejący tuż przy powierzchni ziemi

wiatr potrzebuje tylko iskiej, aby postawić | w ogniu całe dzielnice miast czy setki akrów terenów leśnych.

Najpotężniejszy łańcuch górski San Gabriel – oddzielający obszar metropolitalny Los Angeles od pustyni Mojave – co 40 lat jest miejscem wielkich pożarów. Wybuch ognia w okolicy Monrovia Peak w 1953 roku obejmował 60 kilometrów kwadratowych. W czasie tego pożaru wytworzona energia była równa energii pięciu bomb atomowych, które spadły na Hiroszimę. W następnym roku w hrabstwie Orange paliło się 44 tysiące akrów suchej trawy i krzewów. W krótkim odstępie czasu paliło się też Malibu Canyon, w którym zniszczeniu uległo 40 tysiące akrów lasów i 72 domy. Wielki ogień docierał do najbliższych okolic miasta. Paliło się wzgórze Hollywood i okolice Bel Air. Szczególnie pożar w Bel Air w 1961 roku wstrząsnął miastem, elitą filmową i finansową, która zadomowiła się na tych wysokich zboczach. Spaliły się 484 posiadłości. Były one wspaniałe, ale przy ich budowie nikt nie myślał o takich drobiazgach, jak zabezpieczenia przeciwpożarowe. Nie było do nich dojazdu, nie miały one rezerwowanych zbiorników wody, przy budowie używano niebezpiecznych materiałów i budowano w terenie, na którym ludzie nie powinni przebywać – właśnie z powodu ryzyka wybuchu pożaru. Przepadły wspaniałe domy, bezcenne kolekcje sztuki i cenne meble. Tacy znani mieszkańcy, jak Zsa Zsa Gabor, Burt Lancaster czy Joan Fontaine, stali się w ciągu paru godzin bezdomnymi celebrytami.

Tak jakby miastu nie wystarczały naturalne katastrofy, ludzie dołożyli jeszcze jeden kataklizm, który realnie zagraża życiu i zdrowiu mieszkańców. Masowa motoryzacja, niecodzienne położenie geograficzne i specyficzne warunki atmosferyczne owocują mgłami i nisko zawieszonymi chmurami, które zmieszane ze spalinami milionów samochodów tworzą osławiony smog, czyli jak niektórzy go opisują – „wielki brązowy worek unoszący się w powietrzu”. Od kwietnia do października miasto należy do najbardziej zanieczyszczonych miejsc w USA. Smog jest niebezpieczny

dla ludzi, ale w makabryczny sposób też bardzo malowniczy i efektowny w niektórych porach dnia. Nic tak nie podkreśla romantycznego zachodu słońca na horyzoncie Los Angeles jak dobrze ugruntowany smog. W kombinacji ze słońcem smog nabiera fantastycznego, żeby nie powiedzieć hollywoodzkiego, złocistego koloru. Mniej zachwyceni smogiem są członkowie Amerykańskiego Towarzystwa Chorób Dróg Oddechowych, którzy nie mają wątpliwości, że Los Angeles ma najgorsze powietrze w USA. Dowody na to dostarczane są prawie każdego dnia. Zdarzało się, że technicy medycyny sądowej ustalali pochodzenie ofiar ludzi znalezionych w domach, na ulicach i wzgórzach Los Angeles przez analizę ich płuc. W pełni zdrowe drogi oddechowe ofiary mogły wskazywać na to, że przybyła do miasta niedawno i nie zdążyła za długo zachłystywać się miejscowym powietrzem. W ciągu ostatnich 14 lat Los Angeles było na pierwszym miejscu w 12 kolejnych badaniach pokazujących, gdzie powietrze jest najbardziej niebezpieczne dla mieszkańców. Miasto w ciągu roku ma przeciętnie 122 dni, w których dopuszczalne normy jakości powietrza są przekraczane z dużym marginesem.

Sytuacja jest poważna, ale nie beznadziejna. Następuje systematyczna poprawa, chociaż nie budzi ona nadziei, że miasto szybko spadnie z podium w konkurencji miejsc o najbardziej zanieczyszczonym powietrzu. Jak podał „New England Journal of Medicine”, dzieci na obszarze metropolitalnym Los Angeles, szczególnie w okolicy Long Beach, od 20 lat wykazują coraz lepsze wyniki badań wydolności płuc. Zszokowani lekarze mówią nie o poprawie „statystycznej”, lecz „zasadniczej”. Jest to jeden z pierwszych raportów mówiący o tym, że w walce ze smogiem Amerykanie zaczynają osiągać pierwsze, odczuwalne sukcesy. Autor opublikowanego badania, James Gauderman, stwierdził wprost, że czuje się dziwnie, mogąc opublikować pozytywne informacje zamiast negatywnych, jak to było w latach wcześniejszych.

MAGNES

Los Angeles ma jakby wbudowany w swoje fundamenty magnes przyciągający ludzi z każdego zakątka świata i we wszystkich epokach swojej historii. Jest to miejsce, gdzie ludzie przybywali, aby dostać drugą życiową szansę. Miasto było naturalnym miejscem na nowy początek. Był i jest to żywioł nie do pohamowania. Fale imigrantów przybywały tu regularnie bez względu na to, czy ich celem było stworzenie meksykańskiego pueblo, kowbojskiego miasta na południu Kalifornii, budowanie nowego miasta Stanów Zjednoczonych czy przeżycie w czasie wielkiej depresji. W XX wieku Los Angeles stało się miastem marzeń z racji możliwości otrzymania pracy na farmach rolniczych i w sadach, przy eksploatacji złóż ropy naftowej, zatrudnienia w licznych zakładach przemysłowych lub chęci życia w klimacie, który nie miał sobie równego w kontynentalnej Ameryce. Media na przestrzeni ostatnich dwóch wieków stworzyły bajkę, z którą identyfikowali się ludzie i którą pragnęli zrealizować. Z początku przyjeżdżali ze Wschodu i Środkowego Zachodu USA. Od połowy XX wieku nowi mieszkańcy imigrowali już głównie z zagranicy.

Los Angeles należy do najbardziej etnicznie zróżnicowanych metropolii świata. W oficjalnych statystykach mówi się o 140 narodowościach pochodzących ze 115 krajów i mówiących 225 językami. Polacy, którzy nie należą do największych grup etnicznych, mogą pochwalić się, że mieszka ich tu ponad 56 tysięcy. Dla niektórych narodowości Los Angeles stało się największym skupiskiem ludności, z wyjątkiem stolic rodzinnych krajów. Tak jest w przypadku Meksykanów, Koreańczyków, Filipińczyków, obywa-

teli Salwadoru i Gwatemali. Nigdzie w USA nie ma większego skupiska Japończyków, Kambodżan i Irańczyków.

Pierwszymi imigrantami nie byli Indianie (tubylczy Amerykanie), chociaż nawet oni kiedyś emigrowali z Azji. Pierwszych Francuzów, Anglików, Holendrów i Hiszpanów również trudno uznać za imigrantów. Już w XVIII wieku w Ameryce żyło 400 tysięcy ludzi przybyłych z Wysp Brytyjskich. Połowa z nich to była tak zwana służba. Byli to pracownicy, którzy w zamian za bilet do Ameryki lub uwolnienie się od długów podpisywali wieloletnie kontrakty, które właściwie czyniły z nich białych niewolników. Zarówno kolonizatorzy, jak i najemnicy traktowali Amerykę jako przystanek w karierze życiowej lub tymczasowe rozwiązanie kłopotliwych sytuacji, w jakie wpadli w krajach ojczystych. Odniesienie sukcesu w Ameryce było jednoznaczne z powrotem do cywilizowanej Europy.

Imigrantami nie byli też brutalnie porwani mieszkańcy Afryki Zachodniej, którzy stali się tylko ludzkim towarem w epoce kolonialnej i pierwszych latach nowej, amerykańskiej republiki.

O imigrantach można zacząć mówić w momencie, kiedy Ameryka stała się atrakcyjna ze względu na poszanowanie wolności i prosperity gospodarczej, kiedy swoim sukcesem zaczęła przyciągać zwykłych ludzi, a nie urzędników, wojskowych i duchownych będących narzędziem podboju kolonialnego.

Przez cały XIX wiek główne grupy imigrantów przybywały z Europy. Od 1836 do 1914 roku do Ameryki przyjechało 30 milionów Europejczyków. Bezkonkurencyjni w liczbie napływających imigrantów byli Niemcy, których kusiła wolność religijna i możliwości awansu społecznego, oraz Irlandczycy uciekający przed okrutnym głodem na „zielonej wyspie” i brutalnym traktowaniem przez okupantów brytyjskich. Te grupy do dziś są największymi grupami narodowościowymi w USA. Według spisu ludności z 2013 roku 14,6% Amerykanów deklaruje swoje niemieckie pochodzenie, a 10,5% irlandzkie.

Szczyt fali imigracyjnej z Europy osiągnięto w 1907 roku, kiedy do USA przybyło 1,2 miliona obcych obywateli. Na początku XX wieku Irlandczycy zostali zepchnięci na niższą pozycję przez masowo emigrujących Skandynawów i Włochów. Za nimi podążały kolejne wielkie grupy z Rosji, Polski, Austrii i Grecji.

Napływ nowych emigrantów z Europy Wschodniej i Południowej był tak wielki, że rząd postanowił w 1924 roku zahamować go, ustanawiając narodowe kwoty wyliczane na podstawie procentu wcześniej przybyłych imigrantów. Naturalne było, że największe limity otrzymali Niemcy, Anglicy i Irlandczycy. Próby hamowania emigracji z Europy Wschodniej i Południowej były czasami świadomymi działaniami polityków i ich wyborców chcących zmniejszyć napływ ludzi z regionów niezbyt pasujących do XIX-wiecznej wizji Ameryki. Większość Żydów, Polaków, Rosjan, Włochów czy Greków była ludźmi biednymi, bez wykształcenia, znajomości języka angielskiego i do tego przywiązana do swoich „nieamerykańskich” religii. Aklimatyzowanie ich w nowym kraju postępowало powoli.

W pamięci ówczesnych Amerykanów były jeszcze świeże obrazy imigracji irlandzkiej rozpoczętej kilkadziesiąt lat wcześniej. Ta wielka, biedna grupa imigrancka w drugiej połowie XIX wieku stała się poważnym problemem społecznym. Większość protestancka uważała ją za prawdziwe nieszczęście Ameryki. Irlandczycy stali się jednak poszukiwaną taną siłą roboczą, która budowała miasta, kanały żeglugowe i linie kolejowe w najbardziej niesprzyjających warunkach i za najniższe wynagrodzenie. Podejmowali się oni najbrudniejszych i najcięższych prac, jakie można było sobie wyobrazić. Jeden z reporterów w Chicago w połowie XIX wieku informował czytelników swojej gazety, że przeciętny Irlandczyk „nie tylko jest ignorantem i słabą jednostką... ale również pijanym, brudnym, leniwym i rozbrykanym do tego stopnia, że jest przez wszystkich traktowany jako obiekt niechęci i strachu”.

Na przełomie wieków liczono nie tylko koszty i konsekwencje społeczne napływu coraz bardziej orientalnych grup przybyszów. Do głosu doszedł również czysty rasizm i uprzedzenia, szczególnie wobec Żydów, Włochów, Polaków i Rosjan. Powszechny był pogląd, że oni nigdy nie staną się prawdziwymi Amerykanami w przeciwieństwie do przybyszów z Europy Północnej. W przypadku Żydów powielano często te same przesady, jakie już były mocno zakorzenione w Europie. Żydzi ponoć kierowali się egoistycznymi, religijnymi motywami, a ich celem było finansowe uzależnienie reszty świata od żydowskiej elity bankowej.

Ze względu na wyjątkowo trwale przywiązanie do wiary katolickiej nowych imigrantów z Europy Wschodniej i Południowej nie uważano za potencjalnie lojalnych obywateli USA, którzy będą respektować konstytucyjną zasadę rozdziału państwa od religii. Według większości ówczesnych Amerykanów nowo przybyli są bardziej podporządkowani Kościołowi katolickiemu i papieżowi niż zasadom Konstytucji Stanów Zjednoczonych, a zwłaszcza pierwszej poprawce podkreślającej zakaz wpływu jednej religii na życie publiczne i nakaz całkowitego równouprawnienia wszystkich wyznań:

Kongres nie ustanowi ustaw wprowadzających religię lub zabraniających swobodnego wykonywania praktyk religijnych; ani ustaw ograniczających wolność słowa lub prasy, lub naruszających prawo do pokojowych zgromadzeń i wnoszenia do rządu petycji o naprawę krzywd[17].

Imigracja stała się jednak bardzo ważnym, jeśli nie rozstrzygającym czynnikiem wzrostu potęgi USA. Politykę imigracyjną kształtowano w sposób bardzo pragmatyczny i nie zawsze zgodnie z demokratycznymi i moralnymi pryncypiami, na które powoływano się choćby w konstytucji. Często praktyczne potrzeby decydowały, kto i kiedy był akceptowany.

W czasach wielkiej depresji po raz pierwszy zaczęto aktywnie tamować napływ imigrantów. W 1929 roku do kraju przyjechało

niecałe 300 tysięcy emigrantów. Trzy lata później już tylko 23 tysiące. Nie tylko wstrzymywano imigrację, ale zaczęto pozbywać się części ludzi, którzy już byli w kraju. W latach 30. XX wieku rząd USA deportował za granicę 400 tysięcy Meksykanów. Mieli oni rzekomo opuścić USA z własnej woli, lecz w rzeczywistości większość z nich została wydalona siłą. Podobna sytuacja zdarzyła się w 1954 roku, kiedy w ramach Operation Wetback ponownie wydano prawie 1,1 miliona Meksykanów.

Deportowanie imigrantów do Meksyku nie spotkało się z głośnymi protestami mieszkańców. W latach wielkiej depresji każde miejsce pracy było na wagę złota i wydalenie „obcych” z miasta zyskało nawet społeczne poparcie. To, co rzeczywiście zaszokowało mieszkańców, to sytuacja, która zdarzyła się parę lat wcześniej, kiedy władze miasta z pomocą policji postanowiły zamknąć Los Angeles przed... Amerykanami, a dokładniej mówiąc, przed biednymi Amerykanami. Wymęczeni i wygłodniali mieszkańcy preriowych regionów USA, które przeżywały katastrofalną suszę i burze pyłowe (Dust Bowl), przybywali do miasta na piechotę, w rozwalających się samochodach lub na dachach wagonów towarowych. Ich celem była chęć znalezienia najmniejszego punktu oparcia do egzystencjalnego przetrwania. Jakież było zdziwienie niektórych, kiedy wiosną 1936 roku 136 policjantów oddelegowanych z miejskiej policji zaczęło zatrzymywać na granicy Kalifornii z Nevadą, Oregonem i Arizoną każdego podróżnego, którego subiektywnie uznano za „włóczęgę”.

Akcja „stop włóczęgom” odbywała się setki kilometrów od granic miasta i przypominała zwykłą kontrolę graniczną między dwoma państwami. Ten pomysł miejscowej elity gospodarczej, policji i prokuratorów był niczym innym jak tylko najbardziej ewidentnym pogwałceniem Konstytucji Stanów Zjednoczonych. W społecznej kampanii sprzeciwiającej się stosowaniu takich praktyk wobec Amerykanów wskazywano na fakt, że zgodnie z wytycznymi, jakie otrzymała policja, nawet Jezus, jeśli zstąpiłby

na Ziemię, nie miałyby szans przekroczenia granicy Kalifornii i dotarcia do miasta zjednej podstawowej przyczyny – był za biedny. Pięć lat później Trybunał Konstytucyjny wydał wyrok zakazujący takich praktyk, zwłaszcza że zdążyły się one spodobać władzom lokalnym w stanie Teksas, który przeżywał podobną inwazję biednych Amerykanów.

Osiągnięcie spektakularnego sukcesu, jakim było powstanie bogatego stanu Kalifornia, dawało pewność, że wkrótce pojawi się nowy, nierozłączny element każdego mitu o szczęśliwej krainie – imigracja zagraniczna. Zanim Los Angeles stało się największą w USA przystanią dla zagranicznych imigrantów, do lat 20. XX wieku było największą „angloamerykańską” metropolią białych mieszkańców urodzonych w mieście.

Biali Amerykanie pochodzący ze Wschodniego Wybrzeża lub Środkowego Zachodu, którzy osiedlili się w okolicach Los Angeles w XIX wieku i pierwszej połowie XX, szukali amerykańskiego raj. Miał on być tak bezpieczny i wygodny jak życie na Wschodzie, ale jednocześnie egzotyczny, gwarantujący fantastyczną pogodę, bliskość oceanu i gór, orientálną kulturę. Miało być to miejsce, gdzie życie toczy się zgodnie z amerykańskim stylem życia i gdzie wszyscy mówią po angielsku. To było takie dyskretne, trochę wstydlive, skrywane marzenie o kolonialnym dobrobycie – lepszym i wygodniejszym życiu za te same pieniądze, jakie się zarabiał w chłodnej, wschodniej i środkowej części USA. I ten raj na samym zachodnim krańcu amerykańskiego kontynentu udało się stworzyć. To nie był sen, to była rzeczywista Kalifornia ze swoją taną ziemią, wspaniałym klimatem i z niebywałym szczęściem do wydarzeń historycznych, które zmieniły nie tylko sam stan, lecz całą Amerykę. Jak to dumnie podkreślano w prasie, Los Angeles stało się prawdziwym „białym punktem” na mapie USA. Angloamerykańscy mieszkańcy mogli się cieszyć, że mieszkają w mieście „bez przestępstw, korupcji, komunizmu i konfliktów rasowych”.

Sytuacja trzymania się limitów narodowościowych, które faworyzowały emigrantów z krajów Europy Północnej, utrzymywała się aż do lat 60. XX wieku, a dokładnie do momentu rozstrzygającej walki o równouprawnienie obywatelskie wszystkich grup społecznych bez względu na kolor skóry. W tym momencie nastąpiło ostateczne zerwanie z rasową segregacją społeczeństwa, w tym również segregacją tych, którzy chcieli osiedlić się w USA. Od 1965 roku, po uchwaleniu Immigration and Nationality Act, kraj pochodzenia był tylko jednym i wcale nie najważniejszym czynnikiem decydującym o wpuszczeniu imigranta do kraju. Umiejętności zawodowe stały się ważną furtką do możliwości osiedlenia się w USA. Świadczenie usług dla rządu amerykańskiego, a szczególnie dla sił zbrojnych stacjonujących w każdym regionie geograficznym świata, było też ważną przyczyną otrzymania stałego pobytu w USA. Największe zmiany wprowadziła zasada łączenia rodzin z już przebywającymi w kraju imigrantami. Przyjazdy z przyczyn rodzinnych eksplodowały i stanowiły 66% wszystkich pozwoleń na pobyt w USA. Tylko 13% emigrantów przybywało w celach zawodowych, a 17% z przyczyn czysto humanitarnych. Rezultaty wprowadzenia nowych zasad widoczne były na ulicach miast i w miejscach pracy. Od 1970 do 2007 roku liczba emigrantów w pierwszym pokoleniu wzrosła z 9,6 do 38 milionów. Każdy konflikt militarny, w który były zaangażowane Stany Zjednoczone, powodował napływ do kraju nowych, dużych grup narodowościowych, które korzystały z przywilejów ustawy z 1965 roku. Amerykańskie zaangażowanie polityczne i militarne w Azji było bardzo widoczne w statystykach nowych przybyszów. Konflikty azjatyckie wraz z równoczesnym wzbogacaniem się społeczeństw Europy Zachodniej spowodowały, że w roku 2000 na liście największych grup migracyjnych nie było już żadnego kraju europejskiego. Jedna trzecia wszystkich nowych imigrantów przybywała z Meksyku, Chin, Indii, Filipin i innych krajów Ameryki Łacińskiej.

Rosła nie tylko legalna imigracja z Ameryki Łacińskiej i Azji. Duża część imigrantów przebywających w kraju robiła to nielegalnie. Większość z nich po pewnym czasie legalizowała swój pobyt. Już w 1983 roku prezydent Ronald Reagan wprowadził w życie reformę, która dała 3 milionom nielegalnych imigrantów prawo do pozostania w USA. Od 1986 roku Kongres uchwalił siedem amnestii wobec nielegalnie przebywających w kraju. Ostatnia inicjatywa prezydencka Baracka Obamy przewiduje przyznanie amnestii około 45% nielegalnych imigrantów. Prawie każdy prezydent od końca XX wieku występował o amnestię wobec „nielegalnych”. Jak to niektórzy komentatorzy polityczni podkreślali, ten problem stał się formą broni wyborczej, która dawała poparcie dużych grup etnicznych najbardziej zainteresowanych amnestią. Nielegalnych imigrantów jest tak wiele, że w zasadzie nikt nie jest w stanie dokładnie powiedzieć, ilu ich przebywa w kraju. Według danych statystycznych z roku 2012 w USA mieszkało 11,4 miliona nielegalnych imigrantów, z czego zdecydowanie największa część – 2,8 miliona – osiedliła się w Kalifornii, a szczególnie w jej południowej części, na terenie między aglomeracjami Los Angeles i San Diego. Według ostatnich raportów straży granicznej każdej nocy w południowej Kalifornii próbuje przedostać się przez granicę tysiąc nielegalnych imigrantów zwanych tu potocznie „kojotami preriowymi”. Większość z nich zostaje zatrzymana przez strażników. Ci jednak, którzy przecisną się przez coraz pilniej strzeżoną granicę, mają duże szanse na przetrwanie i zaaklimatyzowanie się w USA.

W Los Angeles i okolicy szansa otrzymania pracy na czarno jest naprawdę duża. Amerykanie bardziej niż chętnie zatrudniają nielegalnych imigrantów, których praca kosztuje tylko małą część tego, co trzeba zapłacić za wynajęcie robotnika lub rzemieślnika z oficjalnym pozwoleniem na pracę i płacącego podatki. Bycie „nielegalnym” nie oznacza, że państwo i jego obywatele nie ponoszą kosztów finansowych związanych z podatkami. W 2004 roku

w Kalifornii przyszło na świat 106 tysięcy dzieci nielegalnych imigrantów. Zarówno matkom, jak i dzieciom trzeba zapewnić podstawową opiekę lekarską. W momencie urodzenia dzieci stają się obywatelami amerykańskimi i otrzymują podstawową pomoc społeczną. Ich rodzice też nie muszą obawiać się zbytnio, że zostaną ujawnieni. Policja nie sprawdza zbyt często i skrupulatnie statusu osób, które mogą być podejrzwane, że nielegalnie przebywają w kraju.

Dane statystyczne Los Angeles wskazują na podobne tendencje jak w wielu miastach południowego zachodu. Następuje gwałtowna zmiana profilu etnicznego miast. Prawie 39% mieszkańców urodziło się poza granicami USA. W Los Angeles mieszka już tylko 48,9% białych obywateli. Wzrasta liczba ludzi uznających siebie za Afroamerykanów (9,6% wszystkich mieszkańców) lub jako Azjaci (11,3%). Podział rasowy miasta już sam w sobie jest wymowny, ale prawdziwym zaskoczeniem może być fakt, że aż 48,4% wszystkich mieszkańców to Latynosi, bez względu na to, czy rasowo definiują się jako biali obywatele, Indianie czy Afroamerykanie. Jak to określił jeden z senatorów stanowych mający latynoskie pochodzenie: „Nasza współczesna metropolia na powrót staje się wiecznym Pueblo de Los Angeles”. W słowach senatora nie było żadnej przesady. Tych, którzy mieli wątpliwości, czy to się zgadza z rzeczywistością, przekonał fakt, że w 2005 roku burmistrzem miasta został Antonio Villaraigosa, pierwszy Latynos na tym stanowisku od 1872 roku.

Prawdziwym szokiem może być informacja dotycząca języka używanego przez mieszkańców miasta. Językiem domowym nie jest angielski. Aż 60,1% mieszkańców Los Angeles używa innego języka niż angielski w porozumiewaniu się z rodziną.

Tak wielką imigrację łatwo można by uznać za kłopot i obciążenie dla kraju. W rzeczywistości jest to ratunek w sytuacji, w jakiej dziś znalazły się Stany Zjednoczone i cały tak zwany świat Zachodu. Patrząc na obecną statystykę ludności, można zauważyć,

że społeczeństwo USA kurczy się podobnie jak w większości krajów starej Europy. Co 13 sekund w Stanach Zjednoczonych Ameryki umiera człowiek, a rodzi się tylko co 8 sekund. Znaczny wzrost liczby mieszkańców następuje tylko dlatego, że kraj opiera się na młodym społeczeństwie, a tę młodość zapewnia stały napływ ludzi z zagranicy. Co 28 sekund do kraju wjeżdża legalnie jeden imigrant, a kraj się rozwija i przybywa mu ludności – dokładnie jeden nowy obywatel co 12 sekund.

W momencie rozpoczęcia pisania tej książki w lipcu 2015 roku USA miało 321 442 019 obywateli, a w momencie pisania tego rozdziału w czerwcu 2016 obywateli było już 323 856 031. W ciągu zaledwie 11 miesięcy populacja kraju zwiększyła się o 2 414 012 obywateli, a więc o tyle, ile łącznie mieszka w Brukseli i Mediolanie[18].

Tych sekund wskazujących na wzbogacanie się kraju o kolejnego nowego obywatela – imigranta – jest zdecydowanie mniej niż 12. Należy doliczyć wszystkich imigrantów, którzy wjeżdżają i zostają w kraju nielegalnie. Mogą to być biedni chłopcy z Boliwii przepływający się przez rzekę Rio Grande lub młode blondynki ze Szwecji przylatujące SAS-em i przedłużające swój pobyt z nadzieją na poznanie „kogoś” i zaczepienie się w nowym kraju. Do USA napływają w większości młodzi, ambitni ludzie bez względu na ich status ekonomiczny. Amerykańska główna brama wjazdowa do kraju nie znajduje się już w porcie w Nowym Jorku. Większość przybywa przez porty lotnicze w Miami, Atlancie lub Los Angeles lub wędrując przez Desierto de Altar.

Życie ponad setki narodowości i wszystkich ras uczy zachowania balansu między respektowaniem własnej historii i wartości z koniecznością akceptowania kompromisów we współżyciu z nowo przybyłymi. Nikt nigdy nie miał wątpliwości, że tak różni ludzie wcześniej czy później zaczną ścierać się w życiu codziennym w walce o pracę lub sukces życiowy.

Los Angeles ma ciemne karty w swojej historii imigracyjnej. Często pojawiała się tu nietolerancja, przemoc i brak solidarności. Nie za często mówi się o tym, że podboju Dzikiego Zachodu nie dokonali tylko biali ludzie. Do tego potrzebna była pomoc Indian, Meksykanów, Chińczyków, Japończyków, Koreańczyków i Afroamerykanów. Te mniejszości dostarczały każdego dnia widoczne dowody swojej lojalności wobec nowego kraju. Ich lojalność przejawiała się w formie bardzo ciężkiej pracy. Aż za często zamiast podziękowania i dobrej zapłaty otrzymywali dowody rasizmu i to nie tylko w formie braku akceptacji, lecz często w formie wrogości i fizycznej przemocy.

Przed ponad 170 laty Los Angeles było miastem meksykańskim, a powszechnym językiem na ulicach i w domach był hiszpański. W ciągu jednej nocy w 1848 roku meksykańscy mieszkańcy stali się imigrantami i ludźmi z zewnątrz, nawet jeśli oni i ich rodziny nigdy w życiu nie przekroczyły granic wyżyny Los Angeles, a ich rodzice od wielu generacji spoczywali w kalifornijskiej ziemi. Meksykanom po przejściu ziemi przez USA przydzielono nową, niechcianą rolę. Stali się obywatelami drugiej kategorii skazanymi na ciężką, niskopłatną pracę i życie na dole społecznej drabiny.

Pozostali w Kalifornii Meksykanie nie otrzymali zbyt wiele wsparcia ze starego kraju. Z drugiej strony granicy nie napływały zbyt dobre informacje. Rewolucjoniści, politycy i wojskowi, którzy mogli być narodową dumą, stali się postaciami kojarzonymi z szeregiem porażek. Bycie Meksykaninem nie było powodem do dumy. Byli oni najbiedniejszymi z biednych. Nawet dziś, kiedy rola Amerykanów meksykańskiego pochodzenia w życiu kulturalnym, politycznym i społecznym jest nieporównywalnie wyższa, bycie *Chicano* nie zawsze należy do najbardziej pożądanых wizytówek. Opinia o Meksykanach była i jest negatywna. Zdarza się, że życzliwi Angloamerykanie, chcąc „chronić” swoich znajomych i kolegów w pracy lub w szkole, próbują prezentować ich

jako Hiszpanów, którzy mają zdecydowanie większy respekt i poważanie. Samo słowo Meksyk do dzisiaj zbyt często kojarzy się z brudną, ciężką pracą, brakiem szerszych perspektyw życiowych, a w ostatnich dziesięcioleciach także z rosnącą przestępczością.

W swoim bolesnym zaszufiadkowaniu jako obywatele drugiej lub trzeciej kategorii Meksykanie nie byli odosobnieni. Podobne problemy mieli ich bracia Amerykanie pochodzenia chińskiego. Niemal w każdym zakątku Kalifornii od początku XIX wieku pierwszymi obcymi, to znaczy nie pochodzącymi z Europy, byli Chińczycy. Pojawili się oni w większej grupie już w czasach „gorączki złota”. W 1850 roku oficjalnie zarejestrowano w mieście pierwszych dwóch pracujących Chińczyków. Ich praca chyba znalazła uznanie ze strony Amerykanów, gdyż 20 lat później zanotowano pobyt czterech tysięcy Chińczyków, którzy zostali ściągnięci do USA przez wyspecjalizowanych pośredników pracy. Ściągano ich do pracy, ale nie zawsze traktowano ze z należnym respektem. Dla większości Amerykanów to byli kulisi (*coolies slave*), formalnie wolni ludzie, ale ich rola w społeczeństwie ograniczała się do wykonywania najcięższych i najgorzej płatnych usług. Mobbing nie ograniczał się tylko do rodzaju pracy, jaką mogli podejmować. Uprzedzenia rasowe towarzyszyły Chińczykom w każdej sekundzie ich życia na ziemi amerykańskiej. Sami Chińczycy uważali się za grupę wnoszącą w amerykańską rzeczywistość same pozytywne wartości. Z dumą podkreślali oni, że byli oni bardziej pracowici i uzdolnieni, a ich dyskryminacja wynikała ze zwykłej zazdrości. Nikt nie zatrudniłby robotników z innych krajów, o ile byłaby możliwość zatrudnienia Chińczyków. Irlandczycy, Niemcy, Anglicy lub Włosi byli bez szans. Lecz nawet Chińczycy mieli własne przesady rasowe. Uważali, że Irlandczycy nie są pracowici i tylko uciekają przed nędzą w swojej ojczyźnie, Włosi są niebezpiecznymi osobnikami, a Żydzi niedoukami[19].

Lincz w Los Angeles na 19 Chińczykach w 1871 roku odbił się głośnym echem i spowodował tak bardzo poważne konsekwencje

cje, że parę lat później całkowicie wstrzymano chińską emigrację do USA. Ustawa o chińskiej imigracji z 1882 roku (*Chinese Exclusion Act of 1882*) stała się federalnym prawem, które zabroniło przyjmowania chińskich imigrantów. Nowe prawo przez 10 lat całkowicie wstrzymało dopływ imigrantów i zagroziło drogę do obywatelstwa amerykańskiego nawet tym Chińczykom, którzy już od wielu lat mieszkali w kraju. Pierwszy raz w historii Stanów Zjednoczonych cała jedna grupa etniczna została wykluczona z możliwości wjazdu do kraju.

Prawo miało obowiązywać tylko przez 10 lat, ale w praktyce zostało zniesione dopiero w grudniu 1943 roku, a więc 61 lat później. Nowe prawo nazwane *The Repeal of the Chinese Exclusion Act* pozwoliło na nową emigrację. To, że weszło w życie, było wynikiem tego, że Chiny oficjalnie stały się sojusznikiem USA w trwającej wówczas II wojnie światowej. Na prawdziwy przełom trzeba było jednak poczekać następne 22 lata, kiedy zniesiono wszelkie bariery, w tym prawo do osiedlania się w każdym miejscu i posiadania nieruchomości. Przed 1965 rokiem właściciele i agenci nieruchomości mogli nie wydać zgody na osiedlanie się Chińczyków w niektórych częściach miasta. Na początku XX wieku miastom leżącym w pobliżu Los Angeles (Pasadena, Burbank, Vernon) udało się przeprowadzić formalny zakaz osiedlania się ludzi z tej grupy etnicznej na ich terytorium i doprowadzono do eksmisji tych, którzy już na nim mieszkali.

W latach 90. XX wieku Stany Zjednoczone wprowadziły prawo, które radykalnie zwiększyło napływ etnicznych Chińczyków do USA. Po dramatycznych wydarzeniach 1989 roku w Chinach, nieudanej próbie reform demokratycznych i osłabieniu rządów komunistycznych zgodzono się na imigrację z Chin, Tajwanu i Hongkongu, pod warunkiem że potencjalni nowi rezydenci amerykańscy zainwestują w USA co najmniej milion dolarów i zatrudnią więcej niż 10 osób. Potężna fala bogatych emigrantów chińskich zmieszała się ze starszą grupą przybyszów, których zasobności

portfela niestety nie można było liczyć w milionach dolarów. Zastrzyk nowych bogatych Chińczyków zmienił percepcję i skład socjalny tej grupy. *Coolies slave* zaczęli odchodzić do przeszłości. Około 1990 roku już tylko 15% Amerykanów chińskiego pochodzenia w dalszym ciągu żyła poniżej statystycznie ustalonego poziomu ubóstwa. Dziś zarówno Chińczycy, jak i inne azjatyckie grupy etniczne należą do tych, które najszybciej awansują ekonomicznie w stosunku do pozycji, jaką zajmowali choćby ich rodzice. W jednej z dziedzin, które dobrze mierzą skalę awansu społecznego i ekonomicznego – wykształceniu, zajęli miejsce na samym szczycie. Najbardziej renomowane prywatne i stanowe uniwersytety zanotowały spektakularny wzrost studentów pochodzących właśnie z tych grup etnicznych. Są oni jedynymi, którzy w praktyce są w stanie rywalizować z białymi studentami, jeszcze przed paroma dekadami wyłącznie wykorzystującymi możliwość studiowania na najwyższym poziomie kształcenia akademickiego. Motywacje młodych Amerykanów azjatyckiego pochodzenia najlepiej reprezentują wywiady prasowe z nimi, w których zawsze pada to samo wytłumaczenie: „Od momentu, kiedy pamiętam, uczono mnie, że nauka na uniwersytecie nie jest wyborem, lecz czymś bardzo ważnym” lub „moi rodzice od dziecka zawsze mówili mi, że nauka jest najlepszą inwestycją”.

Mniejsze sukcesy w edukacji wykazują inne wielkie grupy: Latynosi i Afroamerykanie, którzy powoli, lecz cały czas tracą dystans edukacyjny do białych Amerykanów i Azjatów. Usprawiedliwieniem ma być fakt, że te dwie grupy w dalszym ciągu czują się dyskryminowane z powodu swojej rasy i statusu ekonomicznego. Szczególnie Latynosi uważają, że ich język, brak kontaktu z angielskojęzyczną społecznością i często brak formalnego pozwolenia na pobyt w kraju są barierami, które nie pozwalają im rywalizować z najambitniejszymi.

Amerykanie chińskiego pochodzenia mogą czuć się niesłusznie potraktowani przez historię i wcześniejsze pokolenia braci Ame-

rykanów. W Los Angeles jest inna grupa etniczna, która może mówić o prawdziwej brutalności losu i traumatycznych przeżyciach. Japończycy przybyli do Kalifornii trochę później niż Chińczycy. Już pierwsza grupa imigrantów spotkała się z antyazjatyckim lobby, przede wszystkim ze strony białych organizacji pracowniczych. Podobnie jak dla Chińczyków ich pierwszym postojem była północna Kalifornia i San Francisco. Systematycznie wypychani z San Francisco przez nieprzyjazne przyjęcie, z czasem zaczęli przenosić się na południe, w okolice dzisiejszego Los Angeles. W 1890 roku było ich już około tysiąca osób (większość mężczyzn) i ich liczba szybko rosła z powodu ówczesnej bariery migracyjnej postawionej Chińczykom. W 1920 roku w mieście i okolicy mieszkało już 20 tysięcy Japończyków.

Imigracja zarówno bezpośrednio z Japonii, jak i pośrednio z wysp Pacyfiku miała dużą wartość dla miasta. Uzupełniała nie tylko luki po pracownikach chińskich, ale również zaoferowała bardzo potrzebną i unikatową wiedzę rolniczą. Pracowitość i duże zacięcie do prowadzenia biznesu spowodowały, że Japończycy zaczęli liczyć się jako znacząca część społeczności lokalnej. Będąc ekspertami rolniczymi, zaczęli nadawać ton lokalnej produkcji jarzyn i owoców, a zwłaszcza popularnych na przełomie wieków truskawek. Już około roku 1900 plantatorom japońskim udawało się miesięcznie sprzedawać w głąb kraju 22 wagony załadowane tymi owocami o wartości 500 tysięcy dolarów (około 13 milionów dzisiejszych dolarów). Japończycy nie tylko dzierżawili, ale również stawali się właścicielami ziemskimi, szczególnie w Garden Valley leżącej na południe od centrum miasta. Japońska mniejszość rosła w siłę i już w 1920 roku była największą niebiałą mniejszością etniczną w południowej Kalifornii. Dziesięć lat później 90% lokalnych produktów rolnych rosło na polach japońskich farmerów. Ekspansji japońskich rolników nie zaszkodziły nawet próby pozbawienia ich prawa do dzierżawy lub posiadania ziemi. Taką próbą była stanowa ustawa *Alien Lund Law* z 1913

roku. Na szczęście okazała się ona bublek prawniczym i nie mogła być egzekwowana w praktyce.

Respekt mieszkańców miasta budził rezultat innej działalności imigrantów japońskich. Rybołówstwo było tradycyjnym, doskonale rozwiniętym zawodem, który przeniesiono do nowego kraju. Na początku XX wieku japońscy rybacy doskonale współpracowali z białymi właścicielami fabryk przetwórczych i spółek handlowych w porcie San Pedro. Podobnie jak rolnicy, również oni zasmakowali rasizmu, zawodowej zazdrości i nieczystej konkurencji. Już w 1906 roku Japończycy musieli wyprowadzić się z okolic San Pedro i rozpocząć życie na terenie Terminal Island. W krótkim czasie społeczność urosła z tysiąca osób do 35 tysięcy. Stały rozwój Terminal Island trwał 35 lat i zakończył się w tragicznym 1941 roku. Paradoksalnie miejsce japońskich emigrantów zajęła wielki stocznia, której głównym zadaniem była produkcja zbrojeniowa mająca przyczynić się do pokonania ojczyzny ich ojców – cesarstwa Japonii.

W przededniu wybuchu II wojny światowej społeczność japońska w hrabstwie Los Angeles liczyła ponad 37 tysięcy osób. Ich siła ekonomiczna wyraźnie wzrosła w porównaniu z tą, jaką prezentowała wcześniejsza generacja. To, co łączyło Japończyków bez względu na pokolenie, to nieustająca podejrzliwość władz, nieufność współobywateli i wyizolowanie z amerykańskiej społeczności. Przed wybuchem wojny agencja Gallup zrobiła badanie, które miało pokazać, jak postrzegają Japończyków przeciętni Amerykanie. Wynik badania był szokujący. Japończycy mieli być: zdradliwi, przebiegli jak lisy, okrutni, wojowniczy, ale jednocześnie z oporem przyznawano, że potrafili ciężko pracować.

Tragedia rozpoczęła się 7 grudnia 1941 roku, kiedy Japonia zbombardowała bazę morską Pearl Harbor i wypowiedziała wojnę Stanom Zjednoczonym. Przez jedną noc każdy Japończyk, bez względu na wiek, stał się zagrożeniem dla bezpieczeństwa kraju. Każdego podejrzewano o szpiegostwo i sabotaż. Niechęć do

nich była tak wielka, że moment oficjalnego wypowiedzenia wojny Japonii przez USA przywitano w Kalifornii chóralnym okrzykiem radości i entuzjazmu.

Zamknięcie się przerażonych Japończyków w ramach własnej społeczności nie starczyło. Władze postanowiły całkowicie odizolować tę wielką grupę etniczną od normalnego życia zachodniego wybrzeża, które zostało potraktowane jako „rejon niebezpieczeństwa”. Przez następne trzy miesiące wojskowi, politycy, prasa i zwykli mieszkańcy nie potrafili wymówić poprawnie słowa „Japończyk”. Stali się oni żółtkami, wściekłymi psami, żółtym robactwem. Wcześniejsze pogardliwe określenie „Jap” już nie wystarczało.

Dla większości Amerykanów sposób pozbycia się tej „piątej kolumny” był bardzo prosty. Należało tylko wykonać dekret prezydenta Stanów Zjednoczonych nr 9066, czyli internować mieszkańców pochodzenia japońskiego mieszkających wzdłuż zachodniego wybrzeża i osadzić ich „w obozach przesiedleńczych”. Prezydent dał wszelkie upoważnienia „jastrzębiom” w swoim rządzie i jedyna rzecz, o którą musieli zadbać, to by operacja internowania przebiegała dyskretnie i spokojnie. Wojskowi mieli opróżnić południowy zachód z japońskich mieszkańców w sposób „tak rozsądny, jak tylko to możliwe”. Na mocy tego dekretu każda osoba pochodzenia japońskiego miała być usunięta z terenu Kalifornii, Waszyngtonu oraz części Oregonu i Arizony.

19 lutego 1942 roku uzbrojeni żołnierze zaczęli „opróżniać” Los Angeles z japońskich mieszkańców, którzy w ponad 70% byli już obywatelami amerykańskimi. W zachodniej części USA wybudowano dziesięć obozów internowania. Japończycy spędzili tam ponad trzy lata uwięzieni na pustkowiu, narażeni na burze piaskowe, zalanie masą błota, w piekielnym gorącu lub skazani na paraliżujący mróz. W wielu przypadkach w jednym pokoju mieszkało po sześć osób, a jedzenie było nie lepsze niż to, które podawano jeńcom wojennym. W latach niewoli rodziny traciły

kontakt z najbliższymi, ich majątek materialny wprawdzie nie został skonfiskowany, ale szybko przepadał w wyniku nieobecności właścicieli na farmach, warsztatach lub w portach. Część majątku została w pośpiechu sprzedana za zaniżoną cenę.

Szczególnie bolesne było to, że znana z solidarności społeczność japońska została podzielona na dwie grupy. Ludzie z pierwszej grupy, najczęściej już obywatele amerykańscy, mogli pozostać w kraju. Reszta, czyli tak zwani „obcy” lub „niełojalni”, mieli być deportowani. Była też trzecia grupa, być może niezbyt wielka i o której nie wspominało najczęściej. Byli to młodzi ludzie, którzy walczyli w amerykańskich siłach zbrojnych na frontach II wojny światowej w ramach specjalnie stworzonych jednostek złożonych z amerykańskich Japończyków. Paradoksalnie część żołnierzy została wcześniej zwerbowana w istniejących obozach internowania, które zaczęto zamykać pod koniec 1944 roku. W tym czasie wiadomo było już, że klęska Japonii jest nieunikniona i jest kwestią najbliższych miesięcy. Internowanym pozwolono wrócić do domów.

Po wojnie, w 1961 roku Gallup ponownie zrobił badania stosunku Amerykanów do Japończyków. Po 20 latach i wycieńczającej obie strony wojnie Amerykanie stwierdzili, że Japończycy są ciężko pracującymi ludźmi, z uzdolnieniami artystycznymi, inteligentnymi i postępowymi. Żeby nie było zbyt pięknie, w dalszym ciągu uważano ich za podstępnych jak lisy.

Parę lat po zakończeniu II wojny światowej państwo amerykańskie zaczęło wypłacać pierwsze odszkodowania tym, którzy na skutek internowania stracili majątek. Czterdzieści lat później prezydent Ronald Reagan oficjalnie przeprosił rodziny wszystkich internowanych za „błędne i niegodne potraktowanie”. Oficjalnie potwierdzono również, że internowanie było wynikiem decyzji ludzi kierujących się przesądami rasowymi i histerią wojenną. Na początku 1990 roku państwo zaczęło wypłacać żyjącym

jeszcze ofiarom wojennego internowania wysokie odszkodowania wynoszące w sumie 1,6 miliarda dolarów.

Historia kolejnej grupy etnicznej zasadniczo nie różni się od losów innych grup azjatyckich osiadłych w mieście. Na początku XX wieku Koreańczycy osiedlili się w okolicach dzielnicy Bunker Hill (czyli terenu dzisiejszego centrum finansowego miasta), który był jednym z nielicznych miejsc, gdzie pozwalano na osiedlanie się niebiałej ludności. Głównym zajęciem zawodowym Koreańczyków było drobne rolnictwo i ogrodnictwo, najemna praca fizyczna, pomoc domowa i kuchenna.

W latach 50. XX wieku w związku z amerykańskim zaangażowaniem się w wojnę w Korei w mieście pojawiły się pierwsze większe grupy imigrantów i uchodźców. Była to jedna z pierwszych dużych grup etnicznych, która przybyła do USA jako efekt zaangażowania się państwa amerykańskiego w politykę światową w roli supermocarstwa. Po wprowadzeniu w życie w 1965 roku prawa o imigracji pojawiły się nowe możliwości dla imigrantów, które pozwoliły respektować łączenie rodzin, umiejętności zawodowe lub zasługi wojskowe dla USA. W latach 90. XX wieku nastąpił napływ bogatych Koreańczyków, którzy otrzymali prawo pobytu ze względu na ich możliwości inwestycyjne. To jeszcze bardziej wzmocniło koreańską obecność w mieście. W latach 1980–1990 ludność koreańska podwoiła swoją liczbę. Tylko w 1987 roku do miasta przyjechało prawie 36 tysięcy Koreańczyków. Napływ był tak znaczny, że w tym czasie 98% osób dorosłych w tej grupie etnicznej urodziło się jeszcze w Korei Południowej. Imigracja koreańska stała się historyczna nie tylko z tego powodu, że była to pierwsza większa „polityczna” grupa emigrantów z Azji. Koreańczycy byli pierwszą wielką grupą, która frontalnie zderzyła się z Afroamerykanami. Ten konflikt pokazał brutalną i bezwzględną stronę rasizmu występującego między mniejszościami rasowymi. Po raz pierwszy na oczach całego kraju rozegrał się dramat, w którym dwie grupy rasowe dosłownie sko-

czyły sobie do oczu. Było to coś nowego, na co Amerykanie nie do końca byli przygotowani.

Można zaryzykować stwierdzenie, że mimo istnienia dziesiątków mniejszości narodowych i rasowych w mieście najbardziej dramatyczny podział zawsze zaznaczał się między Afroamerykanami a tak zwaną resztą. Tą resztą nic byli tylko biali Amerykanie, lecz również Żydzi, Chińczycy, Niemcy, Skandynawowie czy Słowianie. W walce o godne życie, równouprawnienie i prawa obywatelskie czarna Ameryka, lub jak jeszcze niedawno mówiło się nawet w tak postępowej i liberalnej Europie „niggers”, „negros” lub „czarni”, zderzała się i antagonizowała ze wszystkimi, nawet tymi, którzy doświadczyli podobnych krzywd i problemów z powodu swojej rasy, pochodzenia lub narodowości.

Totalne starcie między grupami rasowymi nastąpiło w Los Angeles w 1992 roku. Podłożem tego wydarzenia, podobnie jak wielu wcześniejszych, było istnienie niegojącej się rany na narodowym ciele – dziedzictwo, historia i niezadowolenie czarnej Ameryki. Miała ona swoje głębokie korzenie w brutalnej epoce niewolnictwa. Istnienie tej rany powoduje, że Ameryka nigdy nie mogła w 100% uważać się za ten kraj, który spełnia szczytne tezy zawarte przez ojców założycieli w konstytucji amerykańskiej republiki. Losy Afroamerykanów były wyrzutem sumienia narodu mimo wielu prób przekreślenia i kompensacji tego krzywdzącego epizodu w amerykańskiej historii. Problem rasizmu i krzywdy wpływał na powierzchnię życia z przeraźliwą regularnością.

Nie tylko dla białych ludzi Los Angeles było miastem marzeń. Czarnoskórzy Amerykanie również odkryli, że to miejsce daje im duże możliwości znalezienia pracy w licznych zakładach przemysłowych oraz daje szansę godnego mieszkania na przedmieściach lub w wyludniających się centralnym częściach miasta. Nastąpił masowy napływ czarnych Amerykanów do Los Angeles. Inne miasta amerykańskie również przeżywały podobny napływ czarnoskórych mieszkańców z wiejskich rejonów Południa. W No-

wym Jorku czarnoskóra ludność wzrosła o 250%. Ale to było nic wobec magnesu, jakim było Los Angeles. Tu wzrost wyniósł 800%. Liczba czarnoskórych pracowników fabrycznych wzrosła z 15% w 1940 roku do 24% w 1960 roku. Już w 1960 roku w mieście mieszkało 468 tysięcy czarnoskórych obywateli, którzy stanowili 20% całej ludności.

Nowi mieszkańcy przybywali do miasta ze swoim bagażem życiowym, historią i uprzedzeniami. Wiedzieli, że to, co ich czeka, to nie tylko lepsze życie, ale przede wszystkim walka o własne prawa, o które upominano się od wielu pokoleń i nie zawsze z najlepszym rezultatem.

*

Dla zagranicznych turystów, którzy pierwszy raz przyjechali do południowej Kalifornii, początek pobytu w Los Angeles może być niecodziennym doświadczeniem. Kalifornia nie przypomina Ameryki, do której zostaliśmy przyzwyczajeni przez środki masowego przekazu. Jest tak jakby innym krajem. Wszystko mniej lub bardziej różni się od starej Ameryki, która ulokowała się w naszej świadomości.

Nie trzeba być światłym analitykiem, żeby stwierdzić, że południowa Kalifornia znajduje się jakby w innej epoce czasowej wobec pozostałych regionów kraju. Los Angeles już przypomina nową Amerykę, o której większość ludzi w dalszym ciągu mówi w czasie przeszłym. Uważa się, że wkrótce nastąpi radykalna transformacja USA z kraju angielskojęzycznych białych chrześcijan w kraj, w którym trudno zliczyć liczbę używanych języków obcych, objąć różnice kulturowe i orientalne zwyczaje.

To, co widzimy w Los Angeles, stanie się wkrótce rzeczywistością w całym kraju. W 2045 roku w USA „mniejszości będą większością”. W tym roku ilość Amerykanów, którzy definiują się jako biali, ma spadać poniżej 50% całej populacji kraju. Amerykańscy Latynosi (grupa etniczna identyfikująca się dzięki wspólnemu ję-

zykowi, historii i dziedzictwu kulturowemu) będą też największą grupą etniczną, która przekroczy poziom 25% wszystkich obywateli amerykańskich. Te trwające dramatyczne zmiany demograficzne w mieście i postępująca globalizacja świata powodują, że duża część mieszkańców miasta przestała uważać różnice rasowe za najbardziej palący problem.

Już dziś wieloetniczność nie jest postrzegana w tak dramatyczny sposób, jak to było 50 lat wcześniej. W dużej mierze nie postrzega się jej jako fundamentalnego zagrożenia. Coraz częściej mówi się o szansie, jaką miasto otrzymuje z racji bycia tak wielkim magnesem dla ludzi z całego świata. Rzeczywistość miasta już dziś jest kolorowa i multietniczna, ale realna władza jakby nie chciała się wymknąć z rąk ludzi, którzy kiedyś stworzyli ten „biały punkt” na amerykańskim Zachodzie.

Mimo wzrostu wielkich grup etnicznych i rasowych w dalszym ciągu mają one problemy z przełożeniem swojej obecności na realne wpływy polityczne, społeczne lub kulturalne. 31% Angloamerykanów w Los Angeles w dalszym ciągu stanowi około 70% oficjalnie zarejestrowanych wyborców, którzy kontrolują 90% majątku trwałego miasta.

Dlaczego więc do Los Angeles cały czas przybywają nowi imigranci mimo wcześniejszych gorzkich doświadczeń? Odpowiedzi może być bardzo wiele, ale ta, która najbardziej przemawia do autora tej książki, jest taka, że miastu nie grozi monopol jednej grupy ludnościowej. Jest ich tak wiele, a miasto tak wielkie, że wszyscy są w stanie znaleźć kawałek własnej ziemi obiecanej. Segregacja ludzi oparta na podziale według koloru skóry powoli traci w tym mieście znaczenie. O podziałach o wiele silniej decydują różnice klasowe, czyli pospolite podziały na biednych i bogatych.

Przez pierwsze 200 lat istnienia USA głównym celem imigrantów było jak najszybsze zamerykanizowanie się. Dziś wielu chce pracować i mieszkać w USA, ale nie tracić swojej etnicznej tożsa-

mości. Ameryka nie jest już celem samym w sobie, lecz jednym ze środków do lepszego życia. Tego życia nie spędza się w całości w nowej ojczyźnie. Coraz częściej wraca się do starych krajów, konsumując to, co zarobiło się w trakcie ciężkich lat emigracji.

Pęd do bycia Amerykaninem wyhamował. We współczesnym Los Angeles marzeniem nie jest już całkowita asymilacja i imitowanie klasycznego Amerykanina, takiego, jakiego znamy z XX wieku. Dziś imigranci chcą zachować swoją autentyczność przywiezioną z kraju rodzinnego. To, co powstaje w Los Angeles, to nie tradycyjny proces przekształcania się w Amerykanów i dopasowywania się do jednorodnej kultury. Jest to raczej proces tworzenia mozaiki kulturowej, która w pełni wykorzystuje swoje amerykańskie konstytucyjne prawo do bycia niezależnymi i wolnymi w wyborze, kim chce się być w życiu. Jest to przeciwieństwo tego, co 100 lat wcześniej próbował przeprowadzić wielki przemysłowiec Henry Ford. Na początku XX wieku w jego fabrykach samochodów pracowali ludzie z 53 krajów, którzy mówili ponad 100 językami. Ambicją Forda było, aby wszyscy chodzili do zorganizowanej przez niego English Language School, gdzie otrzymywali praktyczne nauki życia „jak Amerykanin”. Po sześciu miesiącach obowiązkowej szkoły odbywała się podniosła uroczystość mianowania na Amerykanina. Był to rodzaj widowiska, w trakcie którego zbierano ubrania ze starego kraju do wielkiego tygla. Po włożeniu dawnych ubrań, kapeluszy i butów sami robotnicy „wchodzili” do niego. Nauczyciele wyposażeni w wielkie łyżki mieszali w tyglu i po kilku rytualnych momentach mających symbolizować proces „produkcji” Amerykanów dawali sygnał do wypuszczenia nowych ludzi, którzy pozbyli się swoich dawnych narodowych cech i zwyczajów. Ci zaś z dumą i ulgą ubrani w nowe ubrania z typowymi na te czasy kapeluszami na głowach paradowali przed widzami, wymachując amerykańskimi flagami.

Czasy i pomysły na asymilację etniczną się zmieniły. To, co pozostało niezmienione, to prawa zapisane w konstytucji. Daje ona

w dalszym ciągu gwarancję i osłonę wszystkim nowym obywatelom bez względu na ich religię, etniczność i kraj pochodzenia. Jest hamulcem bezpieczeństwa wobec zapędów tych, którzy wiedzą rzekomo więcej, czym jest demokracja, bycie prawdziwym Amerykaninem, i zawsze mają pewną odpowiedź na pytanie, co jest dobre, a co złe dla innych.

MIASTO NA LINII FRONTU

Czy przemoc jest organicznym składnikiem każdego wielkiego miasta? Mimo spontanicznej chęci stwierdzenia, że nie – historia i każdy dzień daje nam dowody na to, że tak właśnie jest. Na początku XX wieku Chicago zapisało się w historii jako miasto skute przez mafijną przemoc. Na początku XXI wieku tym miastem, które wyhodowało w swoim ciele najbardziej bestialskie i wymyślne zbrodnie, stała się metropolia południowej Kalifornii. W każdej chwili, 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu, 365 dni w roku na ulicach Los Angeles przelewana jest krew. Turyści, którzy są na miejscu, mogą sami tego doświadczyć. Wystarczy tylko wyjść z hotelu i po paru minutach jest się na planie filmowym kolejnej produkcji nagrywanej na ulicach miasta.

Każdego dnia w Los Angeles kręci się ponad 100 filmów, w których prawie zawsze przelew krwi jest jednym z ważniejszych elementów. Na ekranach kinowych i telewizyjnych trwa wielka inwazja zbrodni rozgrywająca się w luksusowych posiadłościach rozłożonych na zboczach Hollywood, w podupadającym starym centrum miasta lub w rozrastających się przedmieściach. Setki dzielnych filmowych detektywów próbują rozwiązywać zagadki sadystycznych zbrodni, których areną jest Los Angeles. To, że miasto zostało stolicą kryminału, spowodowane jest prozaicznym faktem. Tu są studia filmowe i tu jest najtańsza z możliwych lokalizacji filmowych.

W połowie XX wieku świat był zafascynowany detektywem Philipem Marlowe'em – klasyczną postacią z książek Raymonda Chandlera i wielu filmów z gatunku zwanego *noir*. Kryminalne

Los Angeles w filmach *noir* stało się fenomenem kulturowym, który zafascynował cały świat. Recepta na scenariusz była dość prosta: nieprzeciętny mężczyzna spotyka nieprzeciętną kobietę, w tle jest seksualna fascynacja, polityczna korupcja, chytrność na pieniądze i sławę, pokusa, smutek, morderstwo i kara. W przeciwieństwie do klasycznych filmów produkowanych w Hollywood te filmy nie kończyły się szczęśliwie. Tragiczna końcówka i śmierć głównych bohaterów była zasadą. Duża część książek i scenariuszy filmów *noir* powstała wcześniej, w czasie wielkiej depresji, kiedy problemy egzystencjalne i to podane w brutalnej czarnobiałej otoczce były jak najbardziej uzasadnione. Po krótkim, radośnym okresie tuż po zwycięstwie w II wojnie światowej pojawiła się nostalgiczna refleksja nad tym, kim jesteśmy, czego jesteśmy warci i jaki jest nasz los. Nastąpiła moda na czarne kino. Czarnobiała refleksja typowa dla ekspresjonizmu, obecność cieni i mrocznych zaułków były szczególnie ciekawe na tle słonecznego Los Angeles. gdzie, wydawałoby się, wszystko jest utopione w beztrosce i słonecznym blasku.

Ciemne strony ludzkiej natury były jednak lepiej widoczne na tym jasnym tle. Bycie głównym bohaterem czarnego kina oznaczało życie w paranoi, na granicy między rzeczywistością a snem, z niepewnością tego, co się robi w życiu, bez głębokich korzeni społecznych. Bohaterowie mieli wykupiony bilet w jedną stronę do piekła. Centralnym przesłaniem było stwierdzenie, że wszystko pójdzie w diabły i skończy się katastrofalnie. Tylko prosty spis tytułów filmów z tego gatunku daje nam dokładną definicję tego, czym był film *noir* dla świata i Los Angeles: *Zabójcy* (*The Killers*, 1946), *Akt przemocy* (*Act of Violence*, 1948), *Dotyk zła* (*Touch of Evil*, 1958), *Cień wątpliwości* (*Shadow of a Doubt*, 1943), *Zostaw ją niebiosom* (*Leave Her to Heaven*, 1945), *Asfaltowa dżungla* (*The Asphalt Jungle*, 1950), *Wielki sen* (*The Big Sleep*, 1946).

Dwie dekady później pojawiły się postacie detektywów, które były zdecydowanie bardziej jasne i pogodne. Z Los Angeles po-

chodziły znane na całym świecie *Aniołki Charliego*. Szczególnie jeden aniołek, w rolę którego wcieliła się legendarna Farrah Fawcett, zawojował wyobraźnię publiczności telewizyjnej. Fawcett z nienaganną elegancją i fantazją, lecz zawsze z nietkniętą fryzurą, skutecznie goniła przestępców działających na terenie miasta.

Wszyscy pamiętają również porucznika Colombo (Peter Falk), który stał się współczesnym wcieleniem Sherlocka Holmesa. Miejscem przestępstw w tych legendarnych filmach było zawsze Los Angeles, bohaterem dzielny kapitan Colombo, a sprawiedliwość była wymierzana w pompatycznym Los Angeles Hall of Justice.

Wykreowany filmowy obraz przestępczego miasta nie jest do końca fałszywy. Przemoc była i jest częścią rzeczywistości, tylko że jej podstawy nie są aż tak bardzo filmowe. Realnym motywem przestępstw była walka o przetrwanie, korupcja i pokusa zdobycia szybkich pieniędzy. Na ulicach wschodnich i południowych przedmieść rządził rasizm, bieda i niesprawiedliwość społeczna. To one były i są podstawowymi składnikami rzeczywistych scenariuszy filmowych. To one powodowały, że miasto od czasu do czasu przypominało płonące pole walki.

Napływ imigrantów z południa USA w latach 40. i 50. XX wieku był tak gwałtowny, że gangi młodych, białych mieszkańców robiły wszystko, aby zniechęcić kolorowych przybyszów do osiedlania się w niektórych dzielnicach. Ataki białych gangów terroryzujących imigrantów nie przyniosły rezultatów. Sytuację częściowo rozwiązał gwałtowny rozwój przedmieść, na które zaczęli przenosić się białe rodziny. Po dwóch dziesięcioleciach Afroamerykanie i Latynosi zostali prawie sami w południowo-centralnym Los Angeles, a zorganizowane grupy młodych imigrantów zaczęły kształtować życie codzienne „swoich” dzielnic.

O genezie powstawania gangów etnicznych, które zdominowały przestępczą mapę miasta, napisano już setki książek i wszystkie one podkreślały jeden z powodów – wykluczenie młodych ludzi z mniejszości etnicznych lub rasowych z normalnego

życia społeczeństwa. Nawet w okresie największej prosperity na początku lat 60. nie potrafiono zintegrować dużej części dzieci imigrantów. Harcerstwo (Boy Scouts of America) było w dalszym ciągu konserwatywną organizacją białych Amerykanów. Ci, którzy nie mogli być harcerzami lub członkami klubów sportowych, organizowali się sami – najczęściej na najbliższym rogu ulicznym. Tam spotykano się, aby potwierdzić swoją przynależność do grupy i zostać zaakceptowanym.

Z czasem „kluby” przekształciły się w gangi uliczne. Spełniały one ważną funkcję – dawały swoim członkom ochronę i były pokazem siły. Stały się substytutem rodziny, organizacjami, dla których członkowie gangów byli w stanie zrobić wszystko. Powstające gangi w dalszym ciągu były dość niewinne – walczyły o dziewczyny lub chwałę dla swojego klubu piłkarskiego. Z czasem grupy zaczęły rywalizować między sobą o tak zwany respekt i zwierzchnictwo nad innymi grupami.

Bójki i drobne przestępstwa były sposobem na przeżycie na ulicy. Grupy uliczne dawały gwarancję obrony tak przed rywalizującymi grupami, jak i coraz ostrzej reagującą policją. Walka z „wrogami” stała się celem samym w sobie. Należało być człowiekiem, którego się bano, gangiem, który przewodził. W rozgrywkach między gangami wartość życia się nie liczyła. Trzeba było tylko przypilnować, aby to było życie członka rywalizującego gangu lub zwykłej ofiary rabunku. Należało panować nad pewnym terytorium, a jego zasięg miał być doskonale oznaczony umownymi znakami i symbolami, które całkiem bezzasadnie później nazwano graffiti i uznano za „sztukę”.

Zewnętrzne niebezpieczeństwo cementowało gangi i szybko przekształciło w groźne, zamknięte organizacje. Liberalny styl i rozwiązłość amerykańskiego życia społecznego lat 60. i 70. połączona z zalewem wielkiej ilości narkotyków na ulice miast zrobiły resztę. Wyprowadzająca się na przedmieście biała klasa średnia zabierała ze sobą wszystkie instytucje życia lokalnego, zostawia-

jąc wolne pole dla spontanicznie rosnących w siłę gangów. Rabunki, kradzieże i podobne przestępstwa stały się sposobem życia.

Ta gwałtowność przemian widoczna była na ulicach miast. Wszystkie dotychczasowe bariery i hamulce zniknęły. Policjanci, którzy dotychczas byli traktowani z pewnym respektem i wielką dozą strachu, stali się zwykłymi *pigs*. W ciągu kilkunastu lat Los Angeles, które miało być słonecznym „białym punktem” na mapie Ameryki, stało się światową stolicą gangów i przemocy. Już nieważne było, jaki był kolor twojej skóry. O życiu lub śmierci na ulicach miast decydowały drobiazgi, takie jak kolory noszonych chust, wytatuowane symbole lub mieszkanie po wschodniej lub zachodniej stronie południowo-centralnego Los Angeles. Gangi w zorganizowany sposób zaczęły rekrutować nowych żołnierzy i uzbrajać się. W porachunkach nie wystarczały tylko łańcuchy, noże czy kastety – zaczęto używać broni palnej. Rozpoczęła się szalona kariera *driver by*, czyli ostrzeliwania przeciwników z przejeżdżających wolno samochodów. Ta nowa technika zabijania zaczęła od razu zbierać krwawe żniwo. W latach 1972–1974 prawie podwoiła się liczba śmiertelnych ofiar porachunków gangów z 42 do 70.

Na początku lat 70. w amerykańskich miastach pojawiło się na masową skalę coś, co zmieniło USA i resztę świata – narkotyki. Armia zdyscyplinowanych gangów dystrybuująca produkt, na który było bezgraniczne zapotrzebowanie, plus kraj w stanie depresji gospodarczej były śmiertelną mieszanką. Zdemoralizowana administracja państwowa nie mogła pozbierać się po burzliwych latach 60. Wszystkie te czynniki mogły zaowocować tylko jedną rzeczą, a była nią wojna narkotykowa na ulicach amerykańskich miast. W 1982 roku w Los Angeles było 155 gangów afroamerykańskich, które już nie tylko walczyły z rywalizującymi gangami, ale również rozprawiały się z konkurującymi falangami własnego gangu. Narkotyki zmieniły rolę miejskich gangów. Zaczęto wal-

czyć o dystrybucję tego śmiertelnego towaru. W tej walce będą brały również udział białe, azjatyckie i latynoskie organizacje przestępcze.

Sukcesem karteli południowoamerykańskich było zalanie USA każdym rodzajem narkotyków. Zorganizowano efektywny przeładunek drogą morską z Karaibów i Ameryki Południowej na teren Florydy. Miami stało się punktem centralnym przeładunku. Ta sytuacja trwała kilka lat aż do 1982 roku, kiedy celnikom, policji i federalnym agencjom udało się uszczelnić granicę i zniszczyć tę przystań przerzutową, jaką była wysunięta w kierunku Karaibów Floryda. Miami utracone jako baza przerzutowa narkotyków szybko zostało zastąpione nowym ośrodkiem dystrybucji, którym było Los Angeles i południowa Kalifornia.

To było idealne miejsce do dystrybucji z racji położenia tuż przy granicy z Meksykiem. Na rynku pojawiła się również nowa forma kokainy – krak, który jest silnie uzależniający i natychmiastowy w działaniu. Koszty produkcji tej substancji były o wiele mniejsze niż kokainy, a to umożliwiała znaczną obniżkę ceny. Epidemia kraku przeszła przez całe USA jak niszczący kataklizm. Ten tani narkotyk, łatwy w dystrybucji, dający szybki efekt, a co najważniejsze gwarantujący błyskawiczne uzależnienie, był gwarancją, że klienci będą powracali do dilerów tak szybko, jak tylko zbiorą odpowiednią sumę pieniędzy.

Narkotyki przyniosły kryminalnemu podziemiowi ogromne zyski. Gangi przestały być prymitywnymi grupami przestępczymi, które całymi dniami przesiadywały w narożnikach swoich terytoriów. Wielkie pieniądze stworzyły gangi, których bossowie zabawiali się w Beverly Hills, Colorado Springs i innych ekskluzywnych miejscowościach. Te zorganizowane grupy stały się wielkimi korporacjami świata przestępczego, które było stać na kupno wszystkiego i wszystkich. Pierwszym większym zakupem była zawsze najlepsza i najskuteczniejsza broń palna. Chroniąc swoją

dystrybucję, gangi zaczęły polować na konkurentów. Pole ich walki rozszerzało się na dzielnice rozrywkowe i śródmieście.

Twarde metody walki z gangami, dilerami narkotyków i innymi przestępcami zastosowane pod koniec lat 80. XX wieku przynosiły rezultaty. Zasada „zero tolerancji” wobec przestępstw miała wielu zwolenników. Praktyka policji została oparta na badaniach naukowych, z których wynikało, że brak reakcji na lżejsze wykroczenia, takie jak np. tłuczenie szyb, malowanie graffiti, śmiecenie, drobne kradzieże, sprzyja wzrostowi ciężkiej przestępczości.

Mimo wielu sceptycznych głosów badania i eksperymenty przeprowadzone w 2008 roku potwierdziły, że teoria rozbitych okien (*broken windows theory*) jest prawdziwa. Brak przeciwdziałania drobnej przestępczości zwiększa ryzyko wystąpienia ciężkiej.

Część ludzi, szczególnie w południowo-centralnym Los Angeles, uważała, że twarde metody policji stosowano nie do walki z przestępczością, a do nieuzasadnionego szykanowania Amerykanów. Wielokrotnie powtarzano, że akcja oczyszczania miasta z gangów z 1988 roku była niczym innych jak represją. Z czasem policja zaczęła być uważana za armię okupacyjną na tym terenie. Uczucia nienawiści i chęć do rewanżu rosły za każdym razem, kiedy policja przystępowała do oczyszczania z przestępców kolejnego terytorium. Presja społeczna i polityczna wywierana na policję była jednak tak wielka, że po pewnym czasie i po aresztowaniu blisko 25 tysięcy przestępców akcje policyjne prowadzone zgodnie z zasadami „zero tolerancji” przerwano. Tak jak ostrzegali policjantów z Los Angeles koledzy z Nowego Jorku, którzy stosowali podobną taktykę, przerwanie akcji musi skończyć się jedną rzeczą – powrotem gangów na ulice miasta. Po kilkunastu miesiącach działalność dilerstwa ponownie rozkwitła. W 1990 roku w hrabstwie Los Angeles zdarzyło się 690 zabójstw połączonych z działalnością gangów. Porażka akcji była kompletna. Nie-

nawiść wobec policji również. Potrzebna była tylko iskierka, aby w mieście nastąpiła potężna eksplozja ludzkiego niezadowolenia.

Gangi uliczne decydowały o sposobie życia setek tysięcy mieszkańców miasta. Wśród młodych czarnoskórych i Latynosów kultura śmiertelnej przemocy stał się codziennym sposobem radzenia sobie w życiu. Tylko w 1991 roku na ulicach hrabstwa Los Angeles zginęły w zbrojnych porachunkach 1554 osoby. Miało się wrażenie, że wszyscy mieli broń i o to zadbało ponad trzy tysiące licencjonowanych sprzedawców, którzy robili interesy swojego życia. Tylko w latach 1987–1992 w hrabstwie sprzedano legalnie 46 453 sztuki broni palnej. Kiedy policja parę lat później zaproponowała, że odkupi od mieszkańców broń palną będącą w prywatnym posiadaniu, tylko w krótkim czasie sprzedano miastu 7942 pistolety i karabiny.

Według policyjnych źródeł do dziś w mieście działa około 450 gangów. Policja testuje cały czas nowe metody ich zwalczania. Zakaz sądowego (ang. *gang injunction*), który okazuje się dość skuteczną bronią, użyto po raz pierwszy w 1982 roku. Zastosowano go wobec trzech gangów. Dziś jest około 40 *gang injunctions* wobec 72 gangów na terenie miasta. Niektóre są rygorystyczne i zakazują między innymi członkom gangów podróżowania w jednym samochodzie, zbierania się w grupie, posiadania telefonów komórkowych, noszenia pewnego typu ubrań i używania w miejscach publicznych charakterystycznych gestów jako formy szybkiej komunikacji. W zasadzie zabroniono wszystkiego, co można by uznać za efektywny sposób komunikacji między członkami gangów. Niepodporządkowanie się zakazowi sądowemu automatycznie powoduje oskarżenie z urzędu i rozprawę sądową. Potwierdzenie łamania zakazu sądowego z reguły skutkuje wysłaniem do więzienia na sześć miesięcy. Policja uważa, że *gang injunctions* zmniejsza przestępczość o około 10%. Organizacje takie jak NAACP (The National Association for the Advancement of Colored People – Krajowe Stowarzyszenie Postępu Ludzi Koloro-

wych) ma odmienne zdanie i uważa ten sposób walki z gangami za niezgodny z konstytucją i przejaw dyskryminacji rasowej.

Każda grupa etniczna ma własne siły zbrojne. Nic jednak nie dorównuje sile i brutalności latynoskiego MS 13, wielonarodowego gangu powstałego w Los Angeles na początku 1980 roku, mającego przeciwstawić się dominacji meksykańskich i afroamerykańskich gangów na ulicach miasta. Pierwotnie miał on chronić nowo przybyłych do miasta Salwadorczyków. Po 20 latach gang zanotował bezprecedensowy rozwój w USA, Kanadzie, Australii i krajach Ameryki Środkowej. Według *National Gang Threat Assessment* w 2009 gang miał od 30 do 50 tysięcy członków i stowarzyszonych na całym świecie. Około 10 tysięcy z nich mieszka w USA, a większość w okolicach Los Angeles. Żaden z 27 wielkich gangów istniejących w mieście nie budzi takiego lęku jak MS 13. Rządzi się on swoim *turf* o powierzchni ponad 10 kilometrów kwadratowych. Każda firma, nawet najmniejsza, na tym terytorium musi płacić „podatek uliczny”. Może on być wysoki i stanowić połowę tego, co przedsiębiorca zarabia, sprzedając swoje towary i usługi. Podatek płacą również dilerzy narkotykowi. W ten sposób gang zarabia fortunę bez konieczności ponoszenia ryzyka związanego z dilerką. Narkotyki to nie wszystko. Na ich ulicach można kupić wszystko to, co jest zabronione w kodeksie karnym: broń, prostytutki i nielegalne lekarstwa.

W 2016 roku wiadomo było, że Los Angeles, które ma tak wiele gangów ulicznych, nie jest jednak *the murder capital of the United States*. Ten tytuł nie należy również do osławionego Detroit. Stolicą zabójstw jest St. Louis, w którym rocznie ten wskaźnik wynosi 50 osób na każde 100 tysięcy mieszkańców. Gdzie jest w tej statystyce Los Angeles? Nie wszyscy w to uwierzą, ale ten najcięższy rodzaj przestępstwa jest 10 razy rzadziej spotykany tu niż na Środkowym Zachodzie. Na 100 tysięcy mieszkańców L.A. wskaźnik zabójstw wynosi tylko 6,7 i jest dwukrotnie niższy niż w Houston czy Filadelfii. Lepsze statystyki w tej tragicznej dyscyplinie

życia społecznego ma tylko (i tu ponownie niespodzianka) Nowy Jork (3,9).

Rozkwit gangów i handel narkotykami spowodowały powstanie nowego przemysłu narodowego – usług policyjno-więziennych. W Kalifornii liczba więźniów rośnie procentowo ośmiokrotnie szybciej niż populacja mieszkańców. W całym kraju realizacją programów socjalnych związanych z przestępczością, ściganiem przestępców, sądzeniem, osadzaniem w więzieniach i przetrzymywaniem przestępców zajmuje się cała armia ludzi, a dokładnie dwa miliony dwieście tysięcy.

Gangi nie zniknęły z miasta, ale nie są już tak potężne jak 20 lat temu. Teraz mają lepszy biznes do zrobienia. Do jego realizacji potrzebowali tylko pomocy ludzi z sąsiedniej dzielnicy – Hollywood. W ciągu następnych lat kultura gangów: stroje, tatuaże, muzyka, język stały się globalnym towarem eksportowym USA. Teraz rządziła moda na wszystko, co pochodziło z czarnego lub latynoskiego getta. Nowy Jork musiał zadowolić się starzejącym się mitem dawnej mafii włoskiej. Wykwity kultury gangów gwarantujące najwyższy respekt i medialne przebicie miały zawsze przyklejoną etykietkę *made in Los Angeles*.

Los Angeles było wstrząsane nie tylko dramatycznymi walkami kryminalnych gangów ulicznych. Konflikty owocujące ekstremalną przemocą związane były również z nieufnością i wrogością do najbliższych sąsiadów.

Pierwszy znany i szeroko opisany konflikt między mieszkańcami L.A. zdarzył się już w 1871 roku i w dalszym ciągu jest uważany za jeden z najtragiczniejszych wydarzeń w dziejach USA. Początek tego dramatu był prozaiczny. Wybuchł on z powodu ciągłej walki dwóch ugrupowań chińskich, tak zwanych *tong*, o piękną kobietę. Ta wewnętrzna walka stała się publicznym dramatem, kiedy jeden z białych ranczerów został zabity w trakcie wymiany ognia między tymi dwoma gangami. To był zapalnik do zbiorowego linczu dokonanego przez ponad pięciusetosobową grupę

białych mieszkańców, którzy zabili dziewiętnastu chińskich dorosłych i młodzieńców. Piętnastu z nich zginęło przez powieszenie. Oburzeni mieszkańcy miasta nie byli aż tak wstrząśnięci samą tragedią dziewiętnastu Chińczyków, co faktem, że w konflikcie zginął biały człowiek. „Połała się amerykańska krew. To był szok, [...] że Chińczycy odważyli się zaatakować białego człowieka, zabić bezmyślnie kogoś, kto nie należał do ich rasy”[20].

Przemoc etniczna wybuchała w mieście z jeszcze bardziej prozaicznych powodów niż walka o kobietę. W latach II wojny światowej Los Angeles wypełnione było tysiącami żołnierzy w drodze z i na front oraz tysiącami młodych kobiet pracujących w przemyśle zbrojeniowym. W mieście byli również młodzi imigranci pracujący w fabrykach, na okolicznych polach i w sadach. Ci młodzi ludzie gwarantowali, że gospodarka miasta będzie funkcjonować bez większych problemów w okresie nieobecności mężczyzn będących na froncie.

Atmosfera w mieście była ciężka. Ludzie byli nieufni, podejrzliwi, bano się sabotażu, na obcych patrzono z podejrzliwością graniczącą z wrogością. Wszyscy i wszystko, co nie było „amerykańskie”, było potencjalnym obiektem podejrzliwości i agresji. W tym pełnym napięcia okresie było parę rzeczy, które mogły detonować zapalną atmosferę. Do takich „wrogich” rzeczy należał między innymi pewien typ garniturów, tak zwany *zoot suit*.

Był to strój męski, który wyróżniał się szerokimi nogawkami, ekstremalnie wysoką talią i szerokimi ramionami długich marynarek. Innymi słowy było to ubranie, na które trzeba było przeznaczyć niespotykane wiele materiału i to w czasach, gdy obowiązywała reglamentacja na prawie wszystkie surowce. Garnitur był uzupełniany przez ekscentryczne dodatki, takie jak kapelusze z piórem, długie pozłacane łańcuchy zwisające od pasa do samych kolan i powracające do jednej z kieszeni spodni. Ekstrawagancja tych garniturów budziła powszechne zdziwienie i zgorszenie, ale rosnąca popularność jazzu połączona z modą na zama-

szyste garnitury stały się symbolem bycia cool. Ta moda była wyzywająca dla większości Amerykanów. *Zoot suit* uznany za przejaw arogancji i lekceważenia obowiązujących norm jednocześnie zyskał niezwykłą popularność wśród młodych Afroamerykanów, Amerykanów włoskiego, filipińskiego i meksykańskiego pochodzenia. Dla meksykańskich rodziców taki ubiór był najgorszym z możliwych strojów ich dzieci i sygnałem, że znajdowały się one w strefie niedobrych wpływów.

Zabawne ubrania, rozwiązyły i beztroski styl życia nie pasowały do mrocznych czasów w pierwszej połowie lat 40. W 1942 roku uczucia niechęci do młodych Meksykanów zostały rozpalone do czerwoności przez gazetę „The Los Angeles Times”, która obarczyła winą meksykański gang z 38 Street za zamordowanie człowieka w jednym z lokali tanecznych. To, że młody Meksykanin zabił swojego rówieśnika, nie budziło wcześniej specjalnych emocji i nie wywoływało publicznej debaty. Biała większość mieszkańców miasta uważała to za prozaiczne wewnętrzne porachunki.

W 1942 roku było inaczej. Były to czasy wojenne i histeria wojenna była wszechobecna. Zbiegła się ona z realnie istniejącym i coraz bardziej niepokojącym wzrostem przestępczości wśród młodych Meksykanów. Wszędzie widziano wroga, który mógł działać na szkodę USA, wszędzie widziano Meksykanów jako ludzi łamiących prawo. Zaliczono ich do grona ludzi nieprzyjanych krajowi, być może nawet inspirowanych przez wrogów Ameryki. Dowodem na to miał być fakt, że hitlerowskie Niemcy oferowały Meksykanom zwrot Kalifornii i Arizony, o ile tylko wygrają toczącą się wojnę.

Wyzywające ubrania, muzyka, styl życia i drobne przestępstwa Meksykanów oburzały białych mieszkańców miasta. Prasa i policja otwarcie mówiły o młodych Meksykanach jako o „*Pachucos* – chuliganach i dziecięcych gangsterach”. To, co irytowało najbardziej, to rzekomy brak patriotyzmu, mimo że Meksykanie jako

mniejszość narodowa byli jedną z największych grup etnicznych w amerykańskich siłach zbrojnych walczących na froncie II wojny światowej.

Eksplozja dzikiej agresji wobec *Pachucos* nastąpiła w lecie 1943 roku. Prasa upowszechniała teorie mówiące, że istnieje świadomy plan łamania niepisanych zasad określających, gdzie poszczególne grupy etniczne mogły się osiedlać. Obowiązującą wtedy zasadą było, że każda grupa miała się trzymać własnej enklawy i nie próbować wchodzić na tereny, które były zarezerwowane dla innych grup etnicznych lub białych Amerykanów.

W doniesieniach prasowych była część prawdy. Drugie, trzecie pokolenie imigrantów meksykańskich rzeczywiście nie godziło się z zamykaniem ich w granicach etnicznych gett. W enklawach żyło 250 tysięcy amerykańskich Meksykanów. Młodzi nie chcieli być tak zachowawczy, jak ich rodzice. Chcieli cieszyć się życiem bez ograniczeń, które ich rodzice zmuszeni byli zaakceptować. Grupy młodych Meksykanów zaczęły zapędzać się na „obce” terytoria: na plaże, ulice śródmieścia, a nawet w okolice zamożnego Hollywood.

Po drobnych incydentach, w które zamieszani byli żołnierze piechoty morskiej i marynarki wojennej – którzy w sile 50 tysięcy stacjonowali w mieście, i grupy Meksykanów „umundurowanych” w obowiązujące *zoot suits*, nastąpiło przesilenie. Trzeciego czerwca 1943 roku grupa marynarzy na przepustce poskarżyła się policji, że została zaatakowana przez Meksykanów. Policja zareagowała szybko i obiecała natychmiastową akcję, która miała „opróżnić” centrum miasta z rzekomo działających tam gangów. Następnego dnia policja jeszcze nie podjęła swoich powinności, kiedy 200 marynarzy floty zaczęło wymierzać sprawiedliwość na własny rachunek. Wynajętymi taksówkami udali się oni do zachodniego Los Angeles, żeby wyrównać rzekomo doznane krzywdy. Wyrównanie rachunków polegało na pobiciu każdego,

kto stanął na ich drodze i nosił ubranie podobne do *zoot suit*, odarcie go z niego i spaleniu.

Przemoc nasiliła się w ciągu następnych dni. Tysiące białych żołnierzy dołączyło do ataków. Maszerowali parami po ulicach, wchodzili do barów i kin, napadając na każdego młodego Latynosa, jakiego napotkali. W jednym z kin marynarze wyciągnęli z widowni na scenę dwóch młodzieńców, na oczach publiczności pobili ich, odarli z odzieży, a ich zoo suit demonstracyjnie obsikali. Policja cały czas była obecna przy rozruchach żołnierzy, ale nie reagowała. Otrzymała rozkaz niearesztowania sprawców. Po paru dniach ponad 150 osób było rannych, a policja aresztowała 500 – tylko tylu Latynosów – pod zarzutem „udziału w zamieszkach” i „włóczęgostwa”[21a].

Jednym ze świadków ataków na Latynosów był dziennikarz Carey McWilliams, który tak to opisywał:

Maszerując ulicami centrum Los Angeles, gangi kilku tysięcy żołnierzy, marynarzy i cywilów zaczęły bić każdego zoot suitera, którego mogły znaleźć. Wchodzili do większych kin i teatrów. Chuligani nakazali personelowi kin oświetlić sale i systematycznie wyciągać z foteli każdego Meksykanina. Tramwaje były zatrzymywane i jeśli zauważono w nich Meksykanów, Filipińczyków lub Murzynów, byli oni wyciągani z wagonów, a następnie bici w sadytycznym szale[21b].

Lokalna prasa pochwałała ataki i przedstawiała je jako sposób na „oczyszczenie miasta” i na „wyrzucenie z Los Angeles kryminalistów i gangsterów”. Z pomocą pośpieszyła też rada miejska, która uchwaliła zakaz produkcji, sprzedaży i noszenia w granicach miasta diabelskich *zoot suits*.

Po oficjalnym proteście ambasady Meksyku w USA postanowiono ustalić, jaki był właściwie powód zamieszek w Los Angeles. Tego samego roku opublikowano oficjalny raport, który wskazywał na powszechny rasizm, agresywne i stronne działanie me-

diów, które upowszechniały nieuzasadnione skojarzenia działań kryminalnych z młodymi ludźmi noszącymi modne *zoot suits*.

Nie wszyscy jednak podzielali tę opinię. Burmistrz miasta Fletcher Bowron uważał, że nie można mówić o przesądach rasowych wśród mieszkańców miasta. Zamieszki według niego były nieszczęśliwym połączeniem istniejącej przestępczości młodych Meksykanów z przesądami żołnierzy, którzy mieli korzenie w rasistowskim Południu USA.

Innego zdania była znana z liberalnych poglądów Pierwsza Dama USA, Eleonora Roosevelt, która po paru tygodniach, komentując zamieszki, powiedziała:

Problem jest głębszy niż tylko zamieszanie wokół garniturów. To jest protest rasowy [...] Jest to problem, który sięga daleko wstecz i nie zawsze patrzyliśmy na niego tak, jak powinniśmy[21c].

W odpowiedzi na jej sugestie konserwatywny „Los Angeles Times” następnego dnia wydrukował komentarz redakcyjny, w którym oskarżył panią Roosevelt o komunistyczne skłonności i tworzenie problemu, który może stać się kością niezgody.

W drugiej połowie czerwca 1943 roku zamieszki zakończyły się i relatywny spokój wrócił na ulice Los Angeles, ale na zasadzie działania bomby z opóźnionym zapłonem, bo podobne rozruchy, tym razem wycelowane w kierunku Afroamerykanów, wybuchły w Teksasie, Arizonie, Filadelfii, Nowym Jorku i Detroit. W tym ostatnim mieście przerodziły się one w coś bardziej niebezpiecznego.

To właśnie w Detroit wybuchły największe zamieszki rasowe tych czasów i stały się najlepszym przykładem na to, jak drobne przestępstwo jest w stanie spowodować gigantyczne komplikacje, które będą odczuwalne przez dziesiątki lat i setki tysięcy ludzi. Detroit poniosło ciężką karę za próby rozwiązywania konfliktów społecznych na ulicach miasta. W 1967 roku początek destrukcji miasta Detroit dała rutynowa kontrola przeprowadzona w jednym z wielu nielegalnych klubów *blind pig* na 12th Street. To było

miejsce, „gdzie czarny człowiek z paroma groszami w kieszeni mógł zabawić się i spróbować zapomnieć, że jest czarny”. W nocy klub zamieniał się w melinę, serwował nielegalny alkohol i zapewniał inne nocne atrakcje. Zatrzymanie 73 przebywających w klubie Afroamerykanów, którzy świętowali powrót swoich przyjaciół z wojny w Wietnamie, mogło być tylko jednym z setek rutynowych działań policji, stało się jednak gwoździem do trumny borykającego się z wieloma problemami miasta.

Bilans tej interwencji i późniejsze rozruchy były tragiczne. Policja, z pomocą wojska i Gwardii Narodowej, przez 36 godzin pacyfikowała miasto. Rezultat to: 34 zabitych, 700 rannych i 1800 aresztowanych. Stało się jasne, że wielkim miastom amerykańskim coraz bardziej zagraża ekstremizm i to rodzący się w każdej grupie etnicznej i rasowej. Zamieszki tego typu zatrzymały lub cofnęły w rozwoju nie tylko Detroit, ale wiele innych wielkich miast. Newark, Filadelfia, Washington DC, Baltimore nigdy nie wróciły już do swoich dni rozwoju i prosperity. Przemoc, rasizm i polityka były niebezpieczną mieszanką wybuchową.

Taktykę walki z rasizmem i dyskryminacją najlepiej definiowały dwie postacie – Martin Luther King Jr. z Atlanty i Malcolm X z Nowego Jorku. Ten pierwszy był liberalnym reformatorem, zwolennikiem integracji, który mocno podkreślał swoje przywiązanie do szczytnych ideałów amerykańskiej demokracji. Środowiska zorganizowane wokół Kinga, między innymi NAACP, czynnie uczestniczyły w pracach politycznych i legislacyjnych. Ich zwieńczeniem było uchwalenie przez Kongres pakietu reform i podpisanie przez prezydenta Lyndona Johnsona szeregu aktów prawnych, które praktycznie zakończyły możliwość dyskryminacji rasowej. W zamian za przychyłność Johnsona dla przeprowadzonych reform King nie wahał się poprzeć go w jego walce o drugą prezydenturę. Tę współpracę między białym rządem amerykańskim i mającą wielką siłę wyborczą reprezentacją ponad 20-milionowej mniejszości afroamerykańskiej uważano za niezbędną i

korzystną dla „braci i sióstr”. King zafascynowany był pokojową walką w takiej formie, jaką prezentował Mahatma Gandhi. Z pozycji pastora, duchowego reprezentanta czarnych mieszkańców wsi i małych miasteczek amerykańskiego Południa, zawsze podkreślał, że nie ma mocniejszej broni niż ludzkie uczucia. W całej swojej działalności kładł nacisk na konieczność wstrzymywania się od aktów przemocy, nawet jeśli jej użycie byłoby usprawiedliwione wcześniej doznanymi krzywdami.

Przeciwnikiem Kinga w walce o dusze czarnych Amerykanów był legendarny Malcolm X pragnący reprezentować przede wszystkim czarnych robotników fabrycznych i miejski proletariats w przemysłowych miastach Wschodu i Środkowego Zachodu. Malcolm X był całkowitym przeciwieństwem pastora Kinga.

On i jego zwolennicy nie widzieli siebie jako Amerykanów, lecz jako potomków czarnego szczepu azjatyckiego Shabazz. Czarni mieszkańcy Azji i Afryki byli według niego prawdziwymi praludźmi, których okradł i zniewolił biały człowiek. Wszyscy biali ludzie byli diabłami, z którymi nie należy nawiązywać kontaktu. Za wszelką cenę powinno dążyć się do rasowego oddzielenia wartościowej czarnej rasy od podupadłej, zdegenerowanej białej. Należało doprowadzić do stworzenia autonomicznego, w pełni czarnego społeczeństwa, które będzie zdolne do fizycznej samoobrony. Według Malcolma X, aby osiągnąć wyzwolenie czarnego człowieka, należało odizolować się od białego społeczeństwa. Należało zbudować odrębne społeczeństwo na bazie rasy i wyznania. Głównymi sojusznikami w osiągnięciu tego celu nie było społeczeństwo i rząd

amerykański, lecz wyzwalające się z kolonializmu kraje Afryki i Azji. Właściwy kierunek zmian pokazywały Chiny i Kuba. Największymi idolami był Che Guevara, Fidel Castro i Mao Zedong. Jeśli w granicach USA Malcolm X widział ewentualnych sojuszników, to byli oni tak nieoczekiwani, że nawet jego zwolennicy wpadali w zdumienie i panikę. Malcolm X przez pewien czas pro-

wadził pertraktacje z ugrupowaniami, które mogły jemu i jego organizacji Nation of Islam pomóc w stworzeniu separatystycznego, odizolowanego od świata białych ludzi czarnego społeczeństwa. Tymi organizacjami były Ku Klux Klan i partia amerykańskich nazistów (American Nazi Party). Malcom X i Nation of Islam publicznie deklarowali wsparcie wyborcze prawicowego kandydata na prezydenta, Barry'ego Goldwatera, senatora ze stanu Arizona znanego z oporu wobec idei zniesienia segregacji rasowej.

Wokół tych dwóch charyzmatycznych osobowości tworzyły się organizacje o skrajnie różnych sposobach działania. Grupy Kinga akcentowały integrację, pokojową walkę i równe prawa do pracy, nauki i uczestnictwa w życiu społecznym. Dla Malcolma X i jego ludzi najważniejszy był problem rasy i religii. Fizyczna samoobrona wobec rządu USA, tak jak to definiował Malcolm X, była przeciwieństwem filozofii „pokojowego nieposłuszeństwa obywatelskiego” skutecznie stosowanej przez Kinga. Nic dziwnego, że historyczny marsz i wiec w Waszyngtonie 28 sierpnia 1963 roku, na którym King Jr. wygłosił historyczne przemówienie *I Have a Dream*, został określony przez Malcolma X jako „farsa w Waszyngtonie”, „cyrk” i „piknik”[22],

W każdym konflikcie rasowym, który toczył się na ulicach Los Angeles, były widoczne te dwa główne nurty walki, ale w przypadku użycia siły przez policję wszyscy – bez względu na poglądy – automatycznie przyznawali sobie moralne prawo do siłowej kontrreakcji. W większości konfliktów walczące strony próbowały udowodnić, że użycie siły było wymuszone przez przeciwną stronę i że to one są ofiarami konfliktu. Strony: grupy etniczne, rasowe, władze miasta, media, policja prawie zawsze były stronnice, pomijały własne błędy i demonizowały swoich antagoniistów.

Ludzka ocena tych tragicznych wydarzeń jest również dość stereotypowa. Zawsze winni są „oni”, a nie „my”. Obraz krzywd często ogranicza się do obrazu maltretowania „kolorowych” przez

rasistowską policję. „Oni” mogli być nawet z tej samej grupy etnicznej, ale mieszkali po drugiej, czyli wrogiej, stronie drogi. Wina była zawsze po „ich” stronie. Niemal każdy powód był wystarczający do społecznego wzburzenia i gwałtownych protestów. Za każdym razem przepadało ludzkie życie i mienie. Walczących mieszkańców wspierały lub potępiały środki masowego przekazu, których raporty nie przyspieszały zakończenia konfliktu.

Źródłem zamieszek zawsze były przestępstwa, często stosunkowo drobne, takie jak jazda po pijanemu, przekroczenie szybkości lub niepodporządkowanie się siłom porządkowym. Ich sprawcy z zasady nie byli aniołami, którzy przez pomyłkę zderyżyli się ze stróżami porządku publicznego, prawie zawsze byli to ludzie z długim rejestrem kryminalnym i stylem życia, który z góry skazywał ich na wcześniejszy lub późniejszy kontakt z policją lub zantagonizowanymi sąsiadami.

Największe zamieszki rasowe w połowie XX wieku miały miejsce w sierpniu 1965 roku w Watts (20 kilometrów od centrum Los Angeles).

To, co zaszokowało Amerykanów w 1965 roku, to nie same zamieszki, lecz pierwsza bezpośrednia transmisja telewizyjna z jej przebiegu. Mieszkańcy Los Angeles i reszta kraju mogli na bieżąco śledzić wydarzenia na ekranach odbiorników telewizyjnych. Nad palącymi się kwaterami Watts krążyły helikoptery stacji telewizyjnych, które notowały niezwykle intensywność walk ulicznych, pożary, dewastacje, samosądy i niepokohowaną wrogość tłumu, który wyległ na ulice. Jednemu z zespołów telewizyjnych filmującemu z poziomu ulicy trwające walki i rabunki udało się uchwycić moment, w którym młody, wściekły demonstrant zwrócił się bezpośrednio do kamery, wykrzykując: *We out to get you, white people*. Młodzik w swoim zapale do siania destrukcji nie był samotny. Prawdziwy entuzjazm wśród demonstrantów wzbudzał program radiowy jednej z czarnych radiostacji, gdzie Nathaniel „Magnificent” Montague, prowadzący program i dyskdżokej, na-

woływał: *Bum, baby! Burn!*. Niby miało to być zawołanie do wysłuchania kolejnego przeboju, ale mieszkańcy Watts wiedzieli, że to jest hasło do wyjścia na ulice.

W ciągu sześciu dni zginęły 34 osoby, 1032 zostały ranne, 3438 osób aresztowano. Żeby opanować chaos na ulicach, rozboje i rabowanie sklepów, władze zmuszone były do wysłania do Los Angeles 15-tysięcznego oddziału 40. Dywizji Pancерnej, która otoczyła pancernym kordonem te części Watts, które były miejscem konfrontacji. Cały kraj przerażony był skalą protestów. Mówiło się o załóżkach wojny domowej i „piekle w Mieście Aniołów”. Taki był rezultat zwykłej kontroli drogowej, zatrzymania nietrzeźwego kierowcy i powstałych z tego powodu drobnych utarczek między zatrzymanym a policją.

Jeszcze parę miesięcy wcześniej mieszkańcy L.A. z dumą patrzyli na inne transmisje telewizyjne. Te pokazywały lot kosmiczny Gemini IV – statku, który został w dużej części zbudowany w mieście. W trakcie tego lotu astronauta Edward Higgins White przeprowadził pierwszy amerykański spacer kosmiczny. W sierpniu tego samego roku poczucie dumy z miasta zniknęło i zastanawiano się, jak to jest możliwe, że można podbijać kosmos, ale nie potrafi się zapanować nad przemocą na ulicach miast.

To, co wydarzyło się w Watts 50 lat temu, było bardzo ważne dla miasta i kraju. Po rozruchach w Watts nie trzeba było być wnikliwym obserwatorem życia społecznego, aby stwierdzić, że pokojowa walka z rasizmem znajduje coraz mniej zwolenników. Sam Martin Luther King Jr., który odwiedził Watts po rozruchach, z rozczarowaniem odkrył, że środkiem preferowanym przez większość protestujących jest konfrontacja, często będąca zwykłą przemocą fizyczną. Takie rozwiązanie problemów uważała za całkiem prawidłową organizacja Black Power, która w szalonym tempie zyskiwała nowych zwolenników i porywała masy sloganem: *Black is beautiful*, a także zachętą do fizycznego oporu wobec władz. Podejście tej organizacji do taktyki walki z rasizmem

było zdecydowanie różne od przesłań Kinga. Black Power mówiła wprost że, „jeśli Ameryka nie zmieni się, to podpalimy ją”. King publicznie kwestionował tę metodę walki, która opierała się na przemocy. Pytał się wprost swoich braci i sióstr:

Co Watts osiągnęło dzięki śmierci 34 czarnych ludzi i tysięcy rannych? Jaki pożytek mają czarni ze spalenia sklepów i fabryk, w których wcześniej szukali pracy? Rozruchy nie są drogą w kierunku postępu, lecz ślepym aliansem ze śmiercią i zniszczeniem, które najbardziej dotyka samych sprawców rozruchów[23].

W 1965 roku zakończyła się epoka, w której Los Angeles można było nazwać amerykańskim rajem, miejscem, w którym spełniały się marzenia przeciętnego człowieka o dobrej pracy, zarobku i nowym domu. Stało się jasne, że nie wszyscy mogli zaliczać się do szczęśliwej grupy tak zwanych przeciętnych Amerykanów. Nie byli nimi czarnoskórzy mieszkańcy, Latynosi czy Azjaci.

W roku 2015, a więc dokładnie 50 lat od zamieszek ulicznych w Watts (jak je nazywała policja) lub powstania ulicznego (jak je nazywali uczestnicy), w prasie pojawiły się wspomnienia i refleksje ludzi, którzy byli na ulicach w tym pamiętnym momencie, i ich dzieci, które wyrastały w tej dzielnicy. Najmłodsze pokolenie mieszkańców Watts nie jest specjalnie zachwycone obrazem ich społeczności, które utrwaliło się w świadomości Amerykanów. Większość kojarzy Watts z niebezpiecznym miejscem, gdzie może wybuchnąć niekontrolowana przemoc, gdzie się podpala i plądruje sklepy.

Starsi mieszkańcy Watts widzą jednak, co zmieniło się przez ostatnie kilkadziesiąt lat, i wyciągnęli wnioski z bolesnej lekcji. Twierdzą, że Watts w dalszym ciągu jest biedną dzielnicą, dokładnie tak samo jak 50 lat temu, ale:

To, że Los Angeles nie eksploduje ponownie, ma swoje wytłumaczenie. My boimy się tego, co zdarzyło się w przeszłości, a LA PD (policja) boi się historii, w którą była zamieszana. Ludzie w dzielnicy nauczyli się, że przemoc nie jest środkiem, który poprawi ich

życie i rozumieją, że każde zamieszki tylko wzmacniają stygmat, jaki nosi na swoim ciele lokalna społeczność[24],

Normalizacja stosunków mieszkańców Watts z policją następowała powoli, systematycznie, ale została zauważona przez mieszkańców, choćby przez to, że lokalne patrole policyjne mają mieszany skład etniczny. Obok białych policjantów jest też duża grupa policjantów Latynosów, Afroamerykanów i Azjatów. Przemoc jednak nie zniknęła z ulic miasta, a jej przyczyny w dalszym ciągu są równie aktualne jak 50 lat temu. 15% Amerykanów żyje w biedzie, ponad 20 milionów ludzi jest bardzo biednych, co oznacza, że rodzina zarabia mniej niż 11 tysięcy dolarów rocznie. Przygnębiający obraz tych 15% biednych Amerykanów jest jeszcze bardziej zatrważający, gdy doda się do tego fakt, że wśród Afroamerykanów aż ponad 25% znajduje się na ekonomicznym dnie społeczeństwa.

Reprezentanci czarnoskórej i latynoskiej społeczności uparcie powtarzają w kontaktach z prasą, że wschodnie i południowo-centralne Los Angeles to trzeci świat. Miejsce zapomniane przez polityków. Miejsce, w które nikt nie inwestuje. Miejsce, gdzie czarnych mieszkańców zostawiono na łaskę losu, licząc, że oni sami zorganizują sobie życie w tym getcie. Jest to wielkie terytorium, na terenie którego mieszka ponad ćwierć miliona Afroamerykanów obsługiwanych przez jeden posterunek policji. Ma się wrażenie, że władze nie wierzą w możliwość zmniejszenia przestępczości na tym obszarze. Ambicją jest przynajmniej kontrolowanie sytuacji, trzymanie ręki na pulsie i wczesne ostrzeganie przed zbliżającymi się konfliktami, które są wynikiem eksplozywnej mieszanek przestępczości, biedy, rasizmu i narkotyków.

Zakładnikami takiego podejścia do istniejącej sytuacji są zwykli, uczciwi, ciężko pracujący ludzie zamknięci w izolowanym od miasta przedmieściu. Tu niczego się nie rozwiązuje, nie buduje i nie rozwija. Gangi trzymają całe bloki przedmieść w swoim żela-

znym uścisku, a policja próbuje tylko zmniejszyć ryzyko ich eskalacji i eksportu na nowe terytoria.

Mieszkańcy otwarcie skarżą się, jak mało władze wiedzą o ich ciężkiej walce o przeżycie w ludzkich warunkach. Władze może wiedzą, ale nie zawsze mają odwagę, by poważnie myśleć o inwestycjach na tym terenie. Zwyczajny lęk hamuje większe zaangażowanie się ludzi i środków z zewnątrz. Wszyscy po prostu się boją. Istnieje dobrze ugruntowana nieufność pomiędzy służbami miejskimi a mieszkańcami. W oczach mieszkańców policjanci i służby miejskie są w dalszym ciągu agresorami uniemożliwiającymi im normalne życie. Przysłowiowymi *bad boys* są wszyscy: politycy, policjanci, mali i więksi gangsterzy, biali i czarni, nieznani uzbrojeni ludzie na ulicach i sąsiedzi po drugiej stronie ulicy. Jest to wojna wszystkich z wszystkimi.

Zmniejszająca się liczba przestępstw w całym mieście i podnoszenie standardu życia w dalszym ciągu nie dotyczy południowo-centralnego i wschodniego Los Angeles. Jeden z byłych mieszkańców tej dzielnicy tak opisuje to miejsce:

Dorastałem w południowo-centralnym. Chodziłem tam do szkoły i niestety to, co tam się wyrabia każdego dnia, jest prawdą, nawet jeśli nie wszystko jest zauważane przez media. Kiedy tam mieszkałem, była to strefa wojenna. To miejsce jest ciężkie do życia i wychowywania dzieci, lecz ci, którzy tam mieszkają, mogą to zmienić. Trzeba wysyłać dzieci do szkoły i próbować je tam zatrzymać. Nie dać im okazji do przyłączenia się do gangu czy postrzelenia przez przypadkową kulę. Kiedy wprowadzaliśmy się do południowo-centralnego większość, która tam mieszkała, była Afroamerykanami. Dziś większość to Latynosi, którzy żyją tak jak w swoich dawnych krajach. Miejsce jest brudne. Śmieci i porzucone stare auta na ulicach to normalka. Ludzie narzekają, że służby miejskie nie sprzątaj, ale prawdą jest, że to czynią, tylko, że mieszkańcy wyrzucają swoje śmieci na ulice i place[25].

Największe rozruchy rasowe w dziejach USA miały miejsce również w Los Angeles, ale nie było to w Watts w 1965 roku, lecz prawie 40 lat później na terenie południowo-centralnym. Powód wydarzeń w kwietniu 1992 roku był jak zwykle trywialny. Głównym bohaterem tego tragicznego zdarzenia był czarnoskóry młody człowiek o nazwisku Rodney King, który rok wcześniej został zatrzymany przez *black & white*, czyli samochodowy patrol policyjny, po dłuższym pościgu na autostradach Los Angeles. Powód był błahy – zbyt szybka jazda samochodem. Pomysł na wybrnięcie z kłopotliwej sytuacji był jeszcze gorszy niż piracka jazda. King rozpoczął ucieczkę, a po zatrzymaniu stawiał opór wobec policjantów próbujących go aresztować. Jego dziwne zachowanie można było przypisać zażyciu narkotyków. Po sprawdzeniu tożsamości zatrzymanego policja dowiedziała się, że krewki King był klientem zakładów karnych, wcześniej oskarżonym o rabunek z użyciem siły i prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu. W momencie tego incydentu King był na przepustce z zakładu karnego. Jego dziwne zachowanie stało się początkiem łańcucha przemocy, która przeszła do historii jako największe zamieszki uliczne, które miały miejsce na ulicach miast amerykańskich.

Reakcja Kinga na działania policji (dwóch innych pasażerów ściganego samochodu oddało się w ręce policji bez incydentów) była wszystkim innym, tylko nie posłuszeństwem. Właściwym detonatorem całej sytuacji była jednak reakcja policjantów z Los Angeles. Sama akcja zatrzymania Rodneya Kinga przez policję była jak najbardziej zrozumiała. Całkowicie niezrozumiała była brutalność stróżów prawa. Mimo że King był otoczony przez kilku policjantów i w zasadzie nie miał szans na ucieczkę, nie uchroniło go to przed więcej niż 60 uderzeniami pałek policyjnych i kopaniem, które spowodowało 11 poważnych złamań w jego ciele. Scena znęcania się nad Kingiem została nagrana przez przypadkowego świadka i rozpowszechniona przez miejscową stację tele-

wizyjną. To, co ludzie zobaczyli, zaszokowało ich, ale nie zaskoczyło. To nie była interwencja policji. To było brutalne znęcanie się, tak bardzo przypominające nie aż tak odległe linczowanie niewolników i zmuszanie ich do bezwarunkowego posłuszeństwa.

Zdarzenie utrwalone na nie najwyższej jakości taśmie wideo wywołało szok i powszechne oburzenie. Było ono równie duże jak 30 lat wcześniej, kiedy amerykańskie gazety opublikowały na pierwszych stronach zdjęcie młodego Afroamerykanina gryzionego przez psa policyjnego w trakcie manifestacji studentów w Birmingham (Alabama). To drastyczne zdjęcie, jak i reakcja prezydenta Johna Kennedy'ego na nie, stworzyło w świadomości przeciętnego Amerykanina obraz sytuacji życiowej kolorowych Amerykanów. To pojedyncze zdjęcie stało się mechanizmem napędowym przyspieszającym proces legalizacyjny nowych ustaw znoszących rasizm i ustanawiający równouprawnienie w amerykańskim życiu społecznym. Podobną funkcję zaczął pełnić film dokumentujący pobicie Rodneya Kinga.

Bez znaczenia było to, że Rodney King nie był świętym i nieraz łamał prawo. Równie nieważne było to, że młody Walter Gadsden pogryziony przez policyjnego psa nie był uczestnikiem demonstracji w Birmingham, lecz wagarującym studentem przez przypadek zaatakowanym przez rozjuszonego psa. Te drastyczne zdjęcia stały się papierkiem lakmusowym pokazującym nierozwiązane problemy rasizmu. Tak w 1963, jak i 1992 roku zrealizowała się przepowiednia Martina Luthera Kinga Jr., że najlepszą bronią jest pasywny opór. King powtarzał często słowa Gandhiego: „Nasz ból powoduje, że oni widzą swoją niesprawiedliwość”.

Prawdziwy dramat zaczął się rok później, po rozprawie sądowej mającej osądzić postępowanie policjantów. Zapadł wyrok uniewinniający trzech białych i jednego latynoskiego policjanta. Natychmiast przez miasto przeszedł pomruk gniewu. Prawo powiedziało swoje, ale „ulica” miała odmienne zdanie. Stosunki

między czarnymi mieszkańcami a resztą miasta były napięte. Jak to opisał John Bryan, jeden z aktywistów społecznych południowo-centralnego Los Angeles, atmosfera była tak ciężka i gęsta, „że można było ją kroić zwykłym nożem”. 29 kwietnia 1992 roku z powodu uniewinnienia sprawców pobicia Kinga na ulicach Los Angeles rozegrało się powstanie lub – jak to inni określali – burdy uliczne, w których zginęło 55 ludzi, zniszczono 1573 firmy i zanotowano straty rzędu miliarda dolarów.

Transmisje telewizyjne nadawane na żywo pokazywały Amerykanom, co to jest bezprawie. Wyciąganie ludzi z samochodów i kopanie, strzelanie z broni palnej, wywożenie towarów ze sklepów i domów towarowych trwało przy otwartej kurtynie. Można było mieć wrażenie, że ludzie uwierzyli w to, że mają prawo rabować, bić, zabijać i atakować nawet strażaków, którzy próbowali gasić pożary. W wywiadach dziennikarzy telewizyjnych, którzy odważyli się na transmisję z miejsc rabunków i napaści, „oburzeni” obywatele mieli zawsze szablonowe usprawiedliwienie: „w imię sprawiedliwości za pobicie Rodneya Kinga”. Na ich twarzach nie było śladu wstydu, zakłopotania czy obawy wynikających z konsekwencji dokonywanych czynów. Mimo że centrum zamieszek było w dzielnicach zdominowanych przez Afroamerykanów i Latynosów, w rabunkach brali udział wszyscy, w tym również przybyli tu biali mieszkańcy miasta. Rabowali młodzi i starzy, dzieci i ich matki. Ludzi ogarnął szal.

Kościół na terenie objętym zamieszkami szybko wypełniły się setkami wierzących. Wszyscy modlili się i nawoływali do spokoju i nieużywania przemocy. W tym samym czasie kilkadziesiąt metrów dalej trwały nieprzerwanie rabunki i podpalenia. Młodzi ludzie jeździli po ulicach skradzionymi samochodami, rzucając z nich na prawo i lewo koktajle Mołotowa. Zapanował całkowity amok i zdziczenie. Można było odczuć atmosferę radosnego podniecenia, jakby to było jedno wielkie party. Zarówno agresywni napastnicy, jaki i zwykli szabrownicy z wielką ochotą udzielali

wywiadów telewizyjnych, przedstawiając się z imienia i nazwiska. „Jutro”, „konsekwencje” i „prawo” nie istniały. Wszystko było dozwolone i wszystko było za darmo. Jedyne komentarze do zaistniałej sytuacji, jaki padał z ust oficjalnych reprezentantów czarnej społeczności, był stwierdzeniem, że należy zrozumieć ten niekontrolowany wybuch przemocy.

Moment sadystycznego pobicia Kinga został zarejestrowany na amatorskiej czarno-białej taśmie wideo, gdzie rozmazane postacie wyłaniały się z ciemności i ledwo można było je rozróżnić. Mimo to ludzie byli zszokowani pokazaną przemocą. Te taśmy grozy z 1991 roku były jednak niczym wobec tego, co kamery telewizyjne zanotowały rok później w trakcie rozruchów. Tym razem wszystko pokazywano w świetle dziennym, z użyciem profesjonalnych kamer, w pełnym kolorze i w najlepszym czasie telewizyjnym. A to, co zobaczono, było tak straszne, że pobicie Kinga w porównaniu z tym jawiło się jako drobny incydent. Na oczach całego narodu tłum atakował każdego, kto nie odpowiadał definicji bycia czarnoskórym, np. Latynosów. W bezpośredniej transmisji widzowie mogli zobaczyć, jak „wzburzony” wyrokiem sądowym i losem Kinga młody czarny człowiek zatrzymuje jedną z przejeżdżających ciężarówek, wyciąga kierowcę z samochodu i rozbija mu głowę betonowym elementem found w pobliżu zrujnowanego sklepu.

Reginald Denny, biały 33-letni kierowca, który 20 kwietnia 1992 roku przejeżdżał przez skrzyżowanie Florence i Normandie, został zaatakowany przez wściekłych uczestników zamieszek, wyciągnięty z kabiny i skatowany do nieprzytomności. Skopany przez napastników tylko cudem uniknął śmierci, pomimo wstrząsu mózgu i 91 ran.

Tysiące razy z ust uczestników zamieszek padały takie słowa, jak frustracja, złość, gniew. Przemoc miała być usprawiedliwionym sposobem wyrażenia swoich uczuć, naturalnym sposobem zmuszenia do pokazania respektu wobec Afroamerykanów, któ-

rzy nie mogli doczekać się sprawiedliwego potraktowania, np. w sądach. Nikt jednak nie zaryzykował stwierdzenia, że przemoc jest niedopuszczalna, nawet jeśli jest sprowokowana wcześniejszą krzywdą. Uniewinniający wyrok sądowy wobec czterech policjantów był wystarczającym usprawiedliwieniem do stworzenia strefy wojny w centralnej części drugiego co do wielkości miasta USA.

W tym konflikcie głównymi aktorami byli sadystyczni policjanci, nie tak niewinny, jak to się wydawało, Rodney King, nieobliczalna w swoim zacięciu czarna społeczność południowo-centralnego L.A. i imigranci koreańscy.

Pod koniec lat 80. XX wieku zarejestrowano falowy napływ Koreańczyków do tych dzielnic miasta, które w większości zamieszkane były przez Afroamerykanów. Koreańczycy nie zamieszkiwali w nich, ale chętnie otwierali setki małych i dużych sklepów, warsztatów i punktów usługowych. Nie odstraszał ich często wrogi stosunek demonstrowany przez mieszkańców. Poczucie bezpieczeństwa miała dać im policja i powiązania z coraz liczniejszymi rodakami, którzy zawsze byli gotowi do niesienia pomocy w finansowaniu nowych inwestycji lub udzielaniu gwarancji bezpieczeństwa. Koreańczycy przyjeżdżali z kraju, przez który przetoczyły się niezliczone konflikty zbrojne, które najczęściej rozwiązywano siłowo. Wielu młodych imigrantów przeszło przez twardą szkołę życia, służyło w armii koreańskiej i doskonale posługiwało się bronią. To dawało nowo przybyłym pewną dozę pewności, że są w stanie przetrwać nawet na tak podminowanym terenie, jakim było południowo-centralne Los Angeles. Koreańczyków po prostu nie dało się tak łatwo wystraszyć.

W świadomości mieszkańców miasta zaczął utrzymywać się stereotypowy obraz Koreańczyków jako ludzi odważnych, dynamicznych, z chęcią odniesienia osobistego sukcesu, gotowych ciężko i długo pracować. Koreańczycy szybko stali się znaczącą siłą gospodarczą w często podupadłych dzielnicach miasta. Pro-

wadzili stacje benzynowe, sklepy i warsztaty. Stworzyli wiele małych fabryk odzieżowych, w których nie tylko pracowali sami, ale również zatrudniali wielu Latynosów. Fabryczki te były często poddostawcami większych firm należących do białych Amerykanów.

Pralnie i inne punkty usługowe wyrastały niemal na każdym skrzyżowaniu ulic czarnych dzielnic. Szczególnie jeden typ sklepów był popularny wśród przedsiębiorczych imigrantów koreańskich – sklepy z alkoholem i tanią żywnością. W setkach takich małych sklepów pracowały całe rodziny koreańskie, a ich zarobek często był nie większy niż 5, 7 dolarów dziennie.

Konfrontacja między Afroamerykanami a Koreańczykami przekształciła się w otwartą wrogość w 1991 roku, a więc rok przed zamieszkami, kiedy sąd uniewinnił Soon Ja Du, właścicielkę sklepu, która wcześniej zastrzeliła 15-letnią czarną dziewczynę próbującą ukraść lemoniadę z jej sklepu.

Soon Ja Du tłumaczyła swój czyn przerażeniem i paniką będącą efektem wcześniejszych rabunków, jakich dokonywano w jej sklepie. Zamiast oczekiwanych 16 lat więzienia za ten typ przestępstwa, sąd skazał Soon Ja Du na zapłatę grzywny w wysokości 500 dolarów. Ten wyrok wzbudził wściekłość wśród Afroamerykanów. Po wydaniu wyroku uniewinniającego wobec policjantów, którzy pobili Rodneya Kinga, właśnie ta tragiczna śmierć młodej dziewczyny nabrała szczególnego znaczenia. To był wystarczający powód, aby rozpocząć walkę między tymi dwoma grupami.

Jedną z przyczyn tego dramatu były różnice kulturowe i braki językowe, które uniemożliwiały szybkie i właściwe porozumienie się obu grup. Nie tylko Afroamerykanie nie mogli porozumieć się z koreańskimi sąsiadami, nie potrafiła tego również uczynić policja, która jednak nie za bardzo przejmowała się powstałą sytuacją. Niski status nowo przybyłych emigrantów nie wymuszał na władzy podejmowania bardziej efektywnych decyzji dotyczących ochrony ich mienia.

Poważne rozruchy rozpoczęły się już pierwszej nocy (29 kwietnia 1992 roku) po ogłoszeniu wyroku. Na ten moment Koreańscy przygotowywali się już od pewnego czasu, uważając, że jego ogłoszenie będzie startem do rozruchów, bez względu na to, jaki zapadnie wyrok. Kupowano broń w całym mieście, przenoszono towary ze sklepów w bardziej bezpieczne miejsca, montowano dodatkowe drewniane ściany, które miały bronić witryny sklepów przed rozbiciem i wtargnięciem rabusiów. Tworzyły się małe grupy gotowe do desperackiej obrony swoich lokali. Koreańscy zapewniali, że nie dadzą się zaskoczyć i będą walczyć.

Zgodnie z przewidywaniami przez cały tydzień sklepy i fabryczki były atakowane, podpalane i rabowane, ale odpowiedzią na nie zamiast walki był lęk, paraliż i dezorientacja. Dopiero po kilku dniach Koreańscy postanowili stawić opór. Na apel jednej z radiostacji wielu koreańskich imigrantów ruszyło uzbrojonych w broń palną czy inne narzędzia do walki na odsiecz oblężonym sklepom i zakładom usługowym. Ci, którzy z bronią przybyli do Koreatown, często byli zwolennikami nowo narodzonego aktywizmu politycznego, który nakazywał czynny opór wobec prób zastraszenia mniejszości koreańskiej. Oczywiście nie wszyscy udali się do Koreatown, aby walczyć. Wielu odmówiło, gdyż uważali, że należy przestrzegać prawa i w ten sposób zademonstrować podstawową różnicę między Koreańczykami a Afroamerykanami.

Walka na ulicach była brutalna. W mediach prezentowano obraz wojny rasowej na pełną skalę. Jeden z właścicieli sklepów tłumaczył prasie, że to nie Koreańscy pierwsi otworzyli ogień. Kiedy padły pierwsze strzały, w pobliżu jego sklepu były cztery samochody policyjne, które w sekundę odjechały spod sklepu. Jak podkreślił przerażony sklepikarz, nigdy nie widział tak szybkiej ucieczki, jaką zaprezentowali policjanci. Wraz z właścicielami pobliskich sklepów oddał on kilkaset salw w powietrze, aby odstrążyć agresorów. „Straciliśmy wiarę w policję. Gdzie oni byli, kiedy

potrzebowaliśmy pomocy?” – grzmiał rozżalony właściciel sklepu.

Cała społeczność koreańska została zdewastowana. Po zakończeniu rozruchów Koreańczycy musieli zrobić rachunek strat, a te poniesione przez podpalenia, rabowanie i inne działania niszczycielskie oceniono na 400 milionów dolarów. Zniszczono ponad 2000 sklepów, zakładów usługowych i innych firm. Koreańczycy nie tylko stracili swój dobytek, ale również dobre imię. W powszechnej świadomości uznano ich za tych, którzy odnieśli sukces dzięki egoizmowi i odmowie asymilacji. Wytykano nawet ich rzekomy rasizm.

Oskarżona o pasywność policja tłumaczyła się brakiem możliwości skutecznego powstrzymania tysięcy uczestników rozruchów. Każda próba aresztowania mogła zakończyć się tragicznie dla obu stron. Policja ograniczyła się do ochrony życia strażaków, którzy gasili seryjnie powstające pożary. Próbowano też ograniczyć terytorium rozruchów. Zauważono, że mniejsze grupy rebeliantów chciały przenieść się w inne, spokojniejsze dzielnice miasta i „eksportować” zamieszki. Tak się stało między innymi w odległym Long Beach i Hollywood. W tych dzielnicach zatrzymywano ludzi na drogach, bito i rabowano. Były przypadki ofiar śmiertelnych. Policyjna taktyka, która tak oburzała właścicieli okradanych i demolowanych sklepów, była prosta. Czekano na interwencję 2000 żołnierzy Gwardii Narodowej, którzy w sposób bardziej wojskowy niż policyjny mieli stłamsić rozruchy i „oczyścić” ulice z zabójców, złodziei i podpalaczy.

Rozruchy stały się wiadomością numer jeden w amerykańskich mediach. Nie ma nic bardziej spektakularnego od płonącego miasta, nic tak dobrze nie sprzedaje się w mediach jak zdjęcia zdesperowanych ludzi. Wrogość i chęć zwykłego demonstracyjnego rewanzu poprzez niszczenie mienia wzrastała za każdym razem, kiedy na horyzoncie pojawiały się media. Przypadkowi obywatele rejestrowali momenty przemocy również swoimi ka-

merami. Te drastyczne zdjęcia były mieszanką wybuchową wykorzystywaną przez media. Bardzo często pokazywano na nich brutalnie interweniujących policjantów i bardziej opanowanych rezerwistów z Gwardii Narodowej. Prawie zawsze eksponowano białych funkcjonariuszy. Za każdym razem, kiedy telewizja emitowała dramatyczne obrazy użycia siły przez policję i wojsko, atmosfera wrogości się zagęszczała. Władze podejmowały daremne próby interpretowania, co się zdarzyło, a co zostało zarejestrowane na taśmach. Prawie zawsze incydenty przedstawiano jako nieszczęśliwy zbieg okoliczności spowodowany przez nieodpowiedzialnych osobników, którzy wyszli na ulice, by rabować i niszczyć. Ofiarami mieli być pokojowo nastawieni mieszkańcy, którzy byli świadkami nieuzasadnionej przemocy.

To nie ofiary, mieszkańcy, władze czy dowody zarejestrowane na taśmach filmowych były głównymi reżyserami spektakularnych rozruchów. O tym, co, jak i kiedy się mówiło, decydowały media, które nadawały rozruchom kształt, a nawet wpływały na rozwój wydarzeń.

Media często przedstawiały uczestników rozruchów, używając skrajnych określeń: jako gołębi pokoju albo chuliganów pozbawionych ludzkich uczuć i odpowiedzialności obywatelskiej. Wszystko zależało od tego, co najlepiej sprzedawało się na antenie. W okresie walki o prawa obywatelskie uczestnicy zamieszek stali się dla mediów niewdzięcznymi ludźmi niedoceniającymi tego, co już Ameryka dla nich zrobiła. Pacyfistów protestujących przeciw wojnie wietnamskiej uważano za infantylne, rozpieszczone pokolenie wyrosłe w okresie największej prosperity XX-wiecznej Ameryki. Dla odmiany dzisiejszych rebeliantów organizujących się przez media społecznościowe prawie zawsze uważa się za głębokich idealistów, którzy przeciwstawiają się skostniałym formom życia społecznego i oficjalnym strukturom politycznym. Stosunek do protestujących dyktowany był i jest przez własny interes mediów, a nim była zawsze pogoń za najważniejszym

elementem i źródłem energii mediów – przemocą, sensacją, dramatem i emocjonującym konfliktem.

To, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dziesięcioleci w Los Angeles, było niezdrowym marzeniem każdej stacji radiowej i telewizyjnej. Miasto – symbol powodzenia życiowego, nad którym nigdy nie zachodzi słońce, gdzie nigdy nie pada deszcz i gdzie rodzą się filmowe marzenia – i to właśnie w nim nastąpiły dramatyczne wydarzenia śledzone z zapartym tchem przez miliony Amerykanów. Wszystkie strony konfliktów wskazywały na stronniczość medialnych relacji. Powszechnie krytykowana policja bez specjalnego powodzenia próbowała odrzucać oskarżenia o bezpodstawny rasizm i brutalność. Zwracano uwagę, że bez względu na to, czy byli to islamscy ekstremiści spod znaku Nation of Islam, wykształceni liberałowie czy zwykłe gangi uliczne, było oczywiste, że wszyscy oni zderzą się kiedyś z aparatem policyjnym.

Nikt nie miał wątpliwości, że policja, działając w mieście, gdzie przestępczość była prawdziwą plagą od kilku dekad, przygotowała się tak fizycznie, jak i psychicznie do prawdziwej wojny. Oddziały policji formowane były z równą konsekwencją jak elitarne jednostki wojskowe i z podobną determinacją wprowadzane do akcji. Nieproporcjonalna siła policji była postrzegana przez mieszkańców jako realne niebezpieczeństwo, w niektórych częściach miasta traktowana prawie na równi z brutalnością gangów ulicznych.

Narastające konflikty między różnymi grupami mieszkańców, pogarszanie się klimatu społecznego i coraz częściej pojawiające się kryzysy ekonomiczne stały się mieszaną wybuchową, która eksplodowała z podwójną siłą pod koniec lat 80. i na początku lat 90. XX wieku.

Przez całe lata 90. trwał cichy exodus mieszkańców Los Angeles do północnej Kalifornii, Nevady, Oregonu, Arizony, a nawet stanu Waszyngton. Wielu tłumaczyło swoją ucieczkę z miasta chęcią znalezienia miejsca, gdzie będą się czuli swojsko. Ekspan-

sja mieszkańców pochodzenia latynoskiego i języka hiszpańskiego była tak gwałtowna, że zaczęto zrażać Angloamerykanów do życia w L.A. Nie potrafiąc dopasować się do dramatycznych zmian zachodzących w mieście, ludzie kierowali swój wzrok w stronę takich miast, jak Portland lub Seattle, gdzie Angloamerykanie w dalszym ciągu utrzymywali niezagrożoną przewagę etniczną. Chciano żyć w mieście, jakim Los Angeles było jeszcze 30, 40 lat wcześniej.

Po rozruchach w 1992 roku tylko w ciągu jednego roku do północnego stanu Idaho wyprowadziło się 11 212 osób. W okolicach małego, 45-tysięcznego miasta Coeur d'Alene osiedliło się ponad 500 byłych policjantów z LAPD. Powody ich ucieczki z Los Angeles były proste. „Chciałem uciec od wszystkiego, co tam się dzieje”. „Tam bałem się, że będę obrabowany za każdym razem, kiedy wchodziłem do 7-Eleven”. „Nie chciałem, aby moje dzieci poszły do szkoły, gdzie był tylko hip-hop, »gangstas« i »bitches«”. „Nie chciałem, aby mój syn stał się częścią kultury gangów ulicznych”. Innymi słowy, uważano, że „Los Angeles to jeden wielki ogród zoologiczny”.

Walki na ulicach, fale narkotyków, rasizm i bunt zarówno białej, jak i kolorowej części USA, o tym wszystkim nie można pisać w czasie przeszłym. To są realne problemy istniejące w momencie czytania tej książki. W 2016 roku Ameryka stanęła wobec tego samego problemu, co 50 lub 25 lat wcześniej. Na ulicach giną ludzie. Tylko od 2014 roku na ulicach miast amerykańskich zginęło wielu młodych ludzi: John Crawford (Ohio), Eric Garner (Nowy Jork), Michael Brown (Missouri), Tamar Rice (Cleveland), Ezell Ford (Los Angeles). W 2015 roku w Los Angeles zginęło dwóch bezdomnych ze sławnego Skid Row, Tony Terrell w Wisconsin, Eric Harris w Oklahomie, Walter Scott w North Charleston. Organizacja NAACP szacuje, że w latach 1999–2014 z rąk policji zginęło 78 mężczyzn i kobiet, którzy byli nieuzbrojeni.

Na ulicach trwają regularne walki między w większości czarnymi obywatelami a policją, która tym razem już nie jest całkiem biała. W minionych dekadach policja przyjęła w swoje szeregi ludzi ze wszystkich grup etnicznych. W niektórych miastach dowództwo jest w rękach Afroamerykanów, szczególnie tam, gdzie wcześniej wybrani zostali lub w dalszym ciągu mają władzę afroamerykańscy politycy i jest liczna reprezentacja czarnoskórej społeczności.

W 2015 roku największe emocje wzbudzała skala i skutki rozruchów w Baltimore będących reakcją na wcześniejszą akcję policji i śmierć młodego Afroamerykanina. Prezydent USA Barack Obama zaskoczony skalą rozruchów i towarzyszącemu temu zniszczeniu mienia nie miał wątpliwości, z jakiego rodzaju sytuacją ma do czynienia: „Oni nie protestują. Oni nie pokazują swoich przekonań. Oni po prostu kradną”.

Taką opinię można by uznać jeszcze pod koniec XX wieku za wypowiedź rasistowskiego, konserwatywnego polityka z południa. Dziś jest to zdecydowane stwierdzenie czarnoskórego prezydenta USA o sytuacji w mieście zamieszkanym przez afroamerykańską większość, sterowanym przez afroamerykańską panią burmistrz, w którym porządku pilnuje policja pod przewodnictwem afroamerykańskiego komendanta. Trzech z sześciu policjantów oskarżonych o spowodowanie śmierci młodego Frediego Graya to Afroamerykanie. Tłumaczenie konfliktów po prostu czarno-białym rasizmem nie jest już do końca uprawnione. Chodzi o coś więcej niż tylko kolor skóry.

Prawie 700 tysięcy policjantów, którzy pilnują porządku publicznego w USA, nie jest grupą drobnych wykidajłów knajpianych szukających sposobu rozładowania swoich frustracji. W większości są to dobrze wykształceni ludzie. W 2015 roku 57% policjantów miało wyższe lub gimnazjalne wykształcenie. Jeden statystyczny funkcjonariusz odpowiadał za bezpieczeństwo i porządek publiczny 469 obywateli.

Większość policjantów oskarżonych o użycie broni i przemoc wobec zatrzymanych tłumaczy się klasycznie: „to była samoobrona, moje życie było zagrożone”. Jeden z byłych szefów policji nowojorskiej z czasów wielkiego sprzątania miasta z powszechnej plagi przestępstw w latach 90. tak w 2015 roku próbował tłumaczyć postępowanie swoich kolegów:

Każdego roku setki tysięcy policjantów ma milion okazji do kontaktów z obywatelami. W dziewięciu na dziesięć przypadków nie jest potrzebne używanie siły. Policjanci są jednak ludźmi – mogą popełniać błędy, czasami nawet sami łamią prawo. Kiedy to czynią, powinni być za to rozliczani.

Policjanci mają sekundy na podjęcie decyzji o użyciu broni w momencie konfrontacji siłowej. Jeśli zagrożony policjant zwleka z podjęciem decyzji, to może powiększyć grono 126 funkcjonariuszy, którzy stracili życie na służbie w ostatnim roku[26].

Kareem Abdul-Jabbar, legendarny koszykarz grający na pozycji środkowego, najlepszy strzelec w historii NBA i były zawodnik Los Angeles Lakers, ma jednak zdecydowanie odmienne zdanie i uważa, że chodzi o czysty rasizm:

Ci, którzy zaprzeczają, że chodzi o rasizm są podobni do tych, którzy zaprzeczają zmianom klimatycznym na naszym globie, są zaślepieni i nie widzą brutalnej rzeczywistości, statystyk i rozlewu krwi.

Jego opinia nie jest odosobniona. Podobne zdanie mają inni, niekoniecznie czarni lub latynoscy obserwatorzy, którzy podkreślają, że ten stary problem wynurzył się ponownie na powierzchnię amerykańskiej rzeczywistości po dwóch dekadach relatywnego spokoju. Reżyser hollywoodzki i zdobywca dwóch filmowych Oscarów – Quentin Tarantino – nie miał specjalnych oporów w porównywaniu policjantów do morderców. W czasie jednej z demonstracji przeciw brutalności policji powiedział, że:

Jeśli uważamy, że to, co się teraz dzieje jest morderstwem, to musimy wstać i pokazać, że jesteśmy przeciw temu. Jestem tu po to,

aby powiedzieć, że stoję po stronie tych, którzy zostali zamordowani.

Lobby policyjne NAPO (ang. The National Association of Police Organizations) oczywiście oburzyło to – jak je określono – skandaliczne stwierdzenie i namawiało wszystkich policjantów do bojkotu filmów Tarantino.

To, jak dramatyczne i skomplikowane są stosunki policji z mieszkańcami, pokazały tragiczne wydarzenia w lecie 2016 roku. Snajperzy zastrzelili pięciu policjantów w Dallas, w stanie Teksas. Do zdarzenia doszło podczas ulicznego protestu przeciwko brutalności policji. Jeden z podejrzanych, który strzelał do policjantów, mówił, że chce zabijać białych ludzi, przede wszystkim białych policjantów. Protest w Dallas, podczas którego zginęło pięciu policjantów, miał być odpowiedzią na wydarzenia w Luizjanie i Minnesocie, gdzie funkcjonariusze zastrzelili dwóch czarnoskórych mężczyzn. Według niektórych komentatorów, snajperzy, którzy strzelali do policjantów podczas manifestacji, chcieli pomścić ich śmierć.

Parę tygodni później sześciu policjantów zostało ostrzelanych w Baton Rouge (Luizjana). Trzech funkcjonariuszy zastrzelono, a trzech kolejnych zostało rannych. Również w tym mieście policjanci wcześniej zabili czarnoskórego mężczyznę.

Słowa „przemoc policyjna” są wypowiedane prawie w tej samej sekundzie co słowo „getto”. Jest to dowód, że problemy na tle przemocy mają o wiele bardziej skomplikowaną przyczynę niż tak zwaną brutalność policji. Interwencje policji są bowiem tylko końcowym efektem wcześniejszych zaniedbań, przede wszystkim polityków, którzy odpowiadają na przykład za politykę mieszkaniową.

Powodem systematycznego narastania napięć i konfliktów etnicznych była między innymi niechęć do budowania mieszkań komunalnych. W ich budowę byłyby zaangażowane środki społeczne, czyli pieniądze z podatków. Źródła tej niechęci można

prześledzić aż do lat 50. XX wieku, czyli okresu panicznego lęku przed zagrożeniem komunistycznym. Tak zwane „czerwone niebezpieczeństwo” miało czyhać na amerykański styl życia, a budowa subwencionowanych przez państwo mieszkań była bardzo blisko tego, co kojarzono z pojęciem socjalizmu i byciem „czerwonym”. Amerykański styl życia odrzucał takie rozwiązania. Ludzie mieli sami sobie radzić, siłą swojej pracy i indywidualizmu, a nie pomocy społecznej. W połowie lat 50. miasto Los Angeles wybudowało ostatnie mieszkania w ramach subwencionowanych komunalnych projektów mieszkaniowych.

W połowie XX wieku w 95% nowych budynków mieszkalnych Los Angeles nie mogli osiedlać się obywatele należący do innej rasy niż biała, czy jak się inaczej mówiło – rasy kaukaskiej. To powodowało powstawanie czarnych gett lub osiedli dla Latynosów (hiszp. *barrio*). Następowiała systematyczna koncentracja biednej ludności w południowo-centralnych i wschodnich częściach miasta, które opuścili biali mieszkańcy, przenosząc się do nowych przedmieść.

Krytykowana za brutalność policja musiała od wielu dekad kontrolować sytuację stworzoną przez polityków, którzy nie potrafili sobie poradzić z problemem segregacji mieszkańców. Swobodę osiedlania się tam, gdzie się chciało, uniemożliwiały również tak zwane umowy osiedlowe. Były one sposobem do odnowy wynajęcia czy sprzedania nieruchomości potencjalnym „kolorowym mieszkańcom”, mimo że Sąd Najwyższy uznał, że umowy te „nie mogą być respektowane w świetle prawa oraz są sprzeczne z polityką społeczną kraju”.

Politycy i mieszkańcy miasta dawali do ręki rasistowską broń deweloperom i właścicielom nieruchomości. Ściśnięci w ograniczonych terytorialnie osiedlach i coraz dalej oddalonych od nowo powstających na obrzeżach miasta miejsc pracy kolorowi mieszkańcy popadali w biedę, z której było jedno wyjście – bunt albo przestępstwo.

Los Angeles wielokrotnie wpadało w poważne problemy związane z politycznym, rasowym lub etnicznym zaangażowaniem swoich mieszkańców. Mimo to od czasu do czasu miasto potrafiło pójść na kompromis i to taki, który musiał wzbudzić uznanie. Choć najczęściej były to kompromisy dotyczące lokalnych problemów i aktorów życia publicznego, z czasem stawały się one wzorcem, za którym podążał cały kraj.

Na początku lat 60. dziennik „Los Angeles Times”, który od dziesiątków lat uważano za instytucję uosabiającą konserwatywnego ducha miasta, potrafił przekształcić się z republikańskiej, antyzwiązkowej, antyliberalnej maszyny politycznej w jedną z najlepszych jakościowo i obiektywnych gazet amerykańskich. Gazeta przestała być organem prasowym „białego punktu”, czyli białej angloamerykańskiej większości, a zaczęła być znaczącym źródłem informacji w okresie, który uważano za jeden z najbardziej zapalnych we współczesnej historii USA. To przeistoczenie się z gazety białych „właścicieli” miasta w obiektywną gazetę, będącą do dyspozycji wszystkich mieszkańców, szybko zaowocowało społeczną akceptacją. Jej dziennikarze zdobywali regularnie najwyższe laury dziennikarskie, jakimi były nagrody Pulitzera. W połowie lat 70. „Los Angeles Times” rozpoczął szeroki program zatrudniania w gazecie nowych ludzi wszystkich ras po to, aby w praktyce zagwarantować desegregację rasową i wszechstronnie, obiektywnie prezentować burzliwą rzeczywistość istniejącą na ulicach amerykańskich miast.

Przekształcenie się „Los Angeles Timesa” w niezależne pismo nie było tylko szczytnym idealistycznym działaniem. Jak zawsze w Los Angeles na horyzoncie pojawiły się pieniądze. Ku zdziwieniu wielu „Los Angeles Times” osiągnął sukces komercyjny. W ciągu dziesięciu lat z pozycji amerykańskiego outsidera gazeta stała się jednym z gigantów już nie tylko amerykańskiego, ale i światowego rynku prasowego.

Innym godnym podziwu wyczynem było wygaszenie wydawałoby się odwiecznego antagonizmu między protestancką, anglosaską elitą śródmieścia a przeważającą żydowską elitą Hollywood. Niepisaną normą było dyskretne, lecz zauważalne polityczne i kulturalne dyskryminowanie elity żydowskiej pomimo jej wielkich pieniędzy i wyraźnego wpływu na przemysł filmowy. Projektem, który miał zjednoczyć siły tych dwóch elit miejskich w latach 60. XX wieku, była budowa nowego centrum kulturalnego i artystycznego miasta. Centrum to powstało i stało się fundamentem obecnej potęgi kulturalnej miasta, której istnienia dziś nie można zaprzeczyć. Wybudowanie nowych sal koncertowych, teatrów i galerii było w dużej części finansowane z datków dobroczynnych, a motorem tych zbiórek były elity, które potrafiły zjednoczyć się wokół wspólnego celu.

Dziesięć lat później nastąpił jeszcze większy przełom, który był imponującym przykładem kompromisu i możliwości politycznych mniejszości etnicznych i wpływowych grup obywateli. To niezwykle wydarzenie nastąpiło w związku ze zwykłymi wyborami lokalnymi. Stały się one możliwe dzięki użyciu „broni”, którą posiadała mniejszość zamieszkująca miasto. Tą „bronią” był zwykły głos wyborczy, który przypadał na każdego obywatela bez względu na jego pozycję społeczną, zamożność czy światopogląd.

Jeszcze w 1981 roku biali wyborcy stanowili 91% wszystkich wyborców, w 2012 już tylko 74%. Rozproszenie się głosów białych i ich słaba frekwencja wyborcza zderzały się coraz częściej ze zdeterminowanym udziałem i obowiązkowością, którą wykazywały mniejszości etniczne mające ambicje posiadania własnych reprezentantów we władzach lokalnych, stanowych czy federalnych.

Kluczem do powodzenia w amerykańskiej polityce jest umiejętność pobudzania lub zniechęcania do udziału w wyborach. Do dnia dzisiejszego w większości stanów obowiązuje archaiczny, rodem z XIX wieku system wyborczy wymagający osobistego, pi-

semnego zarejestrowania się przed wyborami. Do połowy XX wieku próbowano zniechęcać mniejszości narodowe i rasowe przez tworzenie przeszkód formalnych, takich jak specjalny podatek lub egzamin językowy. Były one nie do pokonania dla licznych analfabetów wśród wiejskich mieszkańców Południa lub imigrantów z miejskich gett. Dziś te formalne przeszkody już nie istnieją i mniejszości pokazują większą chęć decydowania o życiu politycznym niż rozdrobniony i częściowo skłócony elektorat Angloamerykanów.

W 1973 roku funkcję 38. burmistrza miasta przejął Tom Bradley, syn wyrobników rolnych i prawnuk afrykańskich niewolników. Stał się on drugim afroamerykańskim burmistrzem w wielkim mieście amerykańskim (pierwszym był Carl Stokes w 1967 roku w Cleveland), ale pierwszym czarnoskórym burmistrzem w mieście, gdzie nie było etnicznej przewagi Afroamerykanów.

Tom Bradley został wybrany dzięki współpracy i działaniom koalicji sił liberalnych, w tym silnego lobby żydowskiego. Jego wybór na prezydenta miasta był tym bardziej szokujący, że Afroamerykanie stanowili tylko 18% wszystkich mieszkańców miasta. Wyborcy w Los Angeles jako jedni z pierwszych w USA odrzucili tak zwany klucz rasowy i zdecydowali się na tego kandydata, który dawał im największe gwarancje rozwiązania miejskich problemów.

Konkurent Bradleya w wyborach nagminnie używał argumentów odwołujących się do rasy i kojarzył je z wszelkimi negatywnymi w tym czasie zjawiskami społecznymi. Kampanie wyborcze w 1969 i 1973 roku należały do najbrutalniejszych w ówczesnych czasach. Sygnalizowały one jednak, z jakimi problemami miasto będzie musiało się zmierzyć w przyszłości i co będzie jego największym problemem.

Bradley był najdłużej rezydującym burmistrzem w dziejach miasta i ustąpił dopiero po 20 latach. Do tego już imponującego wyczynu w służbie administracji cywilnej należy dodać jeszcze

wcześniejsze 21 lat służby w policji. Paradoksalnie jego praca w policji Los Angeles, która dla większości kandydatów byłaby drugocząca i obciążająca, dla afroamerykańskiego kandydata była prawdziwym dobrodziejstwem i swoistym gwarantem obiektywizmu zarówno dla białych, jak i latynoskich wyborców. Jego wcześniejsza służba cywilna była świadectwem, że jest on człowiekiem prawym i godnym zaufania.

W czasie swojej bezprecedensowej 20-letniej kariery jako burmistrz Los Angeles Bradley udowodnił, że był sprawnym politykiem. Za jego kadencji rozpoczęła się budowa nowego centrum finansowego, które zahamowało ucieczkę firm z centrum miasta. Los Angeles International Airport stał się jednym z globalnych centrów lotniczych. Tom Bradley postawił na komunikację szybną i metro. Doprowadził do organizacji w mieście letnich igrzysk w 1984 roku. Były to prawdopodobnie ostatnie igrzyska olimpijskie w historii, które zakończyły się sukcesem finansowym, a nie katastrofą, jak większość późniejszych imprez.

Bradley miał tak potężne zaplecze polityczne, że pozwalał sobie na ryzyko działań, które były zbyt kontrowersyjne dla innych polityków. Los Angeles było jednym z pierwszych miast prawnie respektującym prawa obywatelskie homoseksualnych mieszkańców. Jako pionierskie miasto USA włączyło się w kampanię pomocy i walki o prawa ludzi – nosicieli AIDS. Niepoprawność polityczna jednak zawsze kosztuje i czasami cena jest bardzo wysoka. Wszystkie zasługi Bradleya nie wystarczyły, aby zdobyć poparcie na szóstą (!) kadencję burmistrza miasta. Ironią losu było to, że na drodze do zwycięstwa stanęły problemy rasowe, czyli zjawisko społeczne, które wyniosło go na piedestał władzy.

Po ujawnieniu taśm wideo z nagraniem bicia przez policjantów Rodneya Kinga w 1991 roku i rozruchach ulicznych w 1992 roku Bradley jakby stracił specjalną umiejętność poruszania się po polu minowym, jakim były problemy rasowe.

Powszechnie znane były fatalne stosunki Bradleya z szefem policji Darylem Gatesem, który kierował policją miejską przez ponad 14 lat. Między tymi dwoma najważniejszymi osobami w mieście nie było regularnego współdziałania i komunikacji. Szef policji uważał krytyczne wypowiedzi Bradleya tuż po ogłoszeniu wyroku uniewinniającego policjantów za nieodpowiedzialne. Według niego spowodowały one wybuch rozruchów na terenie miasta i były najważniejszą przyczyną ich trwania i brutalności. To, co oburzyło Gatesa, to wypowiedź Bradleya krytykująca niezawisłość sądu i brak respektu dla wydanego wyroku. Bradley rozpoczął jedną ze swoich konferencji prasowych kontrowersyjnym stwierdzeniem: „Dziś ława przysięgłych prosi nas, abyśmy zaakceptowali bezsensowne i brutalne bicie bezbronnego człowieka”.

Pozycja polityczna Bradleya była coraz mocniej kwestionowana. Zaczęto drobiazgowo analizować jego poglądy i decyzje. Opinia publiczna nie mogła mu między innymi wybaczyć, że nie potępił on działań ekstremistycznych Louis’ Farrakhana z organizacji Black Muslim, która była wyraźnie organizacją rasistowską i antysemitką. Lęk przed najmniejszym podejrzeniem o rasizm wobec czarnoskórych mieszkańców miasta sparaliżował wielu, być może również samego burmistrza. W 1993 roku Bradley zakończył swoją karierę jako jedyny afroamerykański, ale jednocześnie najdłużej urzędujący burmistrz Los Angeles.

Bradley stał się nową jakością w polityce i udowodnił, że można stworzyć sensowną koalicję z pominięciem kryteriów rasowych, etnicznych lub różnic ekonomicznych. Następnym politykiem, którego tego typu strategia wyborcza wyniosła na jeszcze wyższy poziom amerykańskiej polityki, będzie młody senator z Illinois – Barack Obama. Jego droga do zwycięstwa poprzez umiejętność tworzenia aliansów, podobnie jak to czynił Tom Bradley, pozwoliła mu uciec przed zaszufładowaniem go jako reprezentanta wyłącznie mniejszości rasowej, który nie jest w stanie unieść ciężaru rozwiązywania problemów całego kraju.

FOTOGRAFIE II



Zamożni mieszkańcy Wschodu USA szukali w Los Angeles słonecznego raju. Od pierwszego dnia pobytu w nowym mieście mogli się re-

laksować, dokonując ekskluzywnych zakupów na Broadwayu.

Fot.: Lee, Russell, Office of War Information. Overseas Picture Division, Library of Congress, Prints and Photographs Division.



Los Angeles obok Detroit było największym amerykańskim arsenałem w czasach II wojny światowej. Na górnym zdjęciu końcowy montaż bombowców B-25 w fabryce North American Aviation Inc.

Fot.: Palmer, Alfred T., Farm Security Administration – Office of War Information Collection, Library of Congress, Prints and Photographs Division.



W ciągu życia jednego pokolenia duża część mieszkańców przeszła cudowną transformację z biednych imigrantów, często nazywanych Okies lub Arkies (od Oklahoma i Arkansas) w cieszącą się życiem klasę średnią. Jeszcze pod koniec lat 30. XX wieku domy wielu Amerykanów wyglądały tak jak prezentowana na zdjęciu nieruchomość w „małej Oklahomie”.

Fot.: Lange, Dorothea, Farm Security Administration – Office of War Information Photograph Collection, Library of Congress, Prints and Photographs Division.



Klasa średnia rozrastała się w tak szybkim tempie, że w połowie XX wieku tym terminem można było nazwać 50% gospodarstw domowych. Ponad 60% amerykańskich rodzin żyła we własnym domu i miała samochód. Większość obywateli w 1957 roku określała się jako „bardzo szczęśliwych”, tak jak to widoczne jest na reklamie General Motors.

Fot.: General Motors.



Powszechnie krytykowana policja bez specjalnego powodzenia próbuje odrzucić oskarżenia o rasizm i brutalność. Wskazuje się, że bez względu na to, czy to są religijni ekstremiści, wykształceni liberałowie czy zwykłe gangi uliczne, wszyscy oni zderzą się kiedyś z aparatem policyjnym. Policja działając w mieście od kilku dekad, uzbroiła się zarówno fizycznie, jak i psychicznie do prawdziwej wojny. Nieproporcjonalna siła policji jest spostrzegana przez wielu mieszkańców jako niebezpieczeństwo, w niektórych częściach miasta prawie na równi z brutalnością gangów ulicznych.

Fot.: Betto Rodrigues, Shutterstock.



Miasto nigdy nie było skazane na jedną branżę bez względu na to, jak dochodowa ona była w latach swojej świetności. W momencie katastrofy jednej z gałęzi gospodarki następowało w miarę łagodne przejście na inną, która często okazywała się jeszcze bardziej dochodowa niż ta wcześniejsza. Na zdjęciu Venice Beach w 1952 roku w okresie prosperity naftowej.

Fot.: Los Angeles County Chamber of Commerce, Library of Congress ,Prints and Photographs Division.



To samo Venice Beach potrafiło przekształcić się z brudnego pola naftowego w światowe centrum turystyczno-rozrywkowe, które dziś przyciąga gości z całego świata.

Fot.: Highsmith, Carol M., Library of Congress, Prints and Photographs Division.



Stare i nowe Los Angeles spotyka się na Pershing Square. Za Millennium Biltmore Hotel rozpościera się nowe centrum finansowe. W przeciwnym kierunku leży stare centrum miasta, które dzielnie walczy o przetrwanie w nowych czasach.

Fot.: S. Borisov, Shutterstock.



Stare Downtown ze swoimi wspaniałymi ulicami i gmachami podupadało w ostatnich 30–40 latach. Dzielnica stała się przystanią wielkiej grupy imigrantów latynoskich, którzy próbują prowadzić swoje interesy we wspaniałych gmachach wypełnionych historią, a które dziś nie budzą zainteresowania poważnych inwestorów.

Fot.: The Jon B. Lovelace Collection of California Photographs in Carol M. Highsmith's America Project, Library of Congress, Prints and Photographs Division.



Image

Wielką rolę w budowaniu kulturalnej potęgi Los Angeles odgrywały pieniądze mieszkańców miasta, szczególnie tych, którzy w poprzednich epokach stali się nadzwyczajnie bogaci. Ich donacje liczy się nie w milionach, lecz miliardach dolarów. J. Paul Getty Trust jest jedną z najbogatszych instytucji kulturalnych na świecie. Jej wartość jest szacowana na ponad 5,8 miliarda dolarów. Na zdjęciu siedziba J. Paul Getty Museum of Art.

Fot.: The Jon B. Lovelace Collection of California Photographs in Carol M. Highsmith's America Project, Library of Congress, Prints and Photographs Division.



Pomimo krytyki produkcji filmowej z Los Angeles nie ma wątpliwości, że światowy sukces jest jednoznaczny z produkcją hollywoodzką. Od ponad 100 lat jest ona w stanie budować poglądy, wartości i świadomość historyczną. Przykładowo twórczość Stevena Spielberga otworzyła oczy szerokim masom widzów na takie problemy, jak rasizm, wojna i wykluczenie ze społeczeństwa. Do tego potrzebne były takie filmy, jak: *Kolor purpury*, *Lista Schindlera*, *Szeregowiec Ryan* lub *Monachium*. Na zdjęciu Steven Spielberg (z lewej) ze swoim ulubionym aktorem Tomem Hanksem na premierze filmu *Pacyfik* w lutym 2010.

Fot.: Sbukley Portfolio, Shutterstock.



Sztuka filmowa osiągnęła tak wysoki warsztat i kreatywność, że jest w stanie dokonywać rzeczy niemożliwych. Najlepsza komedia TV ostatnich lat opowiada niesamowitą historię grupy naukowych geniuszy, zajmujących się skomplikowanymi zagadnieniami fizyki teoretycznej, astrologii i biologii na Caltech (Kalifornijski Instytut Technologiczny). Na dolnym zdjęciu obsada sitcomu *Teoria wielkiego podrywu* (ang. *The Big Bang Theory*) uwielbiana przez setki milionów widzów na całym świecie.

Fot.: Featureflash Photo Agency/Shutterstock.com.



Miasto jest miejscem narodzin stylów życia, które są pożądane i naśladowane na całym świecie. Kreatywni ludzie Los Angeles, ich styl życia i pomysły są tematami, które nieprzerwanie wypełniają miliardy odbiorników TV, komputerów i telefonów komórkowych. Mieszkańcy naszej planety bez względu na to, gdzie jest ich dom, w każdej sekundzie śledzą to, co dzieje się w domach i na ulicach Los Angeles. Część ludzi jest pod wrażeniem Snoop Dogga, który daje im muzykę, modę i styl życia będący częścią rzeczywistości wschodniego i południowo-centralnego Los Angeles.

Fot.: Everett Collection/Shutterstock.com



Innym imponuje styl życia rodziny Kardashian, która jest sławna z tego, że jest sławna.

Fot.: Tinseltown / Shutterstock.com.



Prawdziwą globalną gwiazdą jest Elon Musk – wynalazca, celebryta, przedsiębiorca i przemysłowiec, zdolny do przekuwania wielkich pomysłów w wielkie rzeczy. Dzięki Muskowi Amerykanie mogą obudzić się za 10 lat z najbardziej nowoczesną autostradą świata: systemem tranzytowym elektrycznych aut sterowanym przez tysiące stacji ładowania zasilanych energią słoneczną. Na zdjęciu szef administracji NASA gratuluje Elonowi Muskowi (z prawej) z okazji innego udanego przedsięwzięcia, jakim była misja SpaceX, pierwszej prywatnej rakiety wykonującej usługi na rzecz Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

Fot.: NASA/Bill Ingalls



Los Angeles kusi ludzi swoim często naiwnym, ale jakże pożądanym stereotypem wolności osobistej, powodzenia i kreatywności – możliwością życia w miejscu, które jest jaśniejsze, bardziej atrakcyjne niż jakiegokolwiek inne.

Fot.: oneinchpunch / Shutterstock.com.

NUMER WIĘKSZE OD PRZECIĘTNOŚCI

Truizmem jest mówienie, że Los Angeles jest miejscem wyjątkowym. Ta wyjątkowość nie polega jednak na tym, że w mieście zdarzyły się dziwne, wyjątkowe i spektakularne rzeczy. Pojawiały się one często jako lokalne problemy rozwiązywane przez lokalnych polityków i angażowały lokalną ludność, ale z racji coraz większej koncentracji środków masowej komunikacji stawały się one ważne i brzemiennie dla całego kraju.

Choć Los Angeles jest daleko od centrum politycznego o globalnym i narodowym znaczeniu, to, co tu się działo, zmieniało cały naród. Miasto, które zawsze kusilo ludzi wielkimi pieniędzmi, atrakcyjnym stylem życia i sławą, było jakby miejscem stworzonym do uprawiania polityki.

Pierwszym politycznym wydarzeniem, które zostało zanotowane przez resztę kraju, była zacięta walka między zwolennikami klasycznego XIX-wiecznego kapitalizmu a rodzącymi się ruchami związkowymi. Nigdzie ta walka nie była tak zacięta jak w Los Angeles, w mieście, gdzie każdy znaczący przedsiębiorca i polityk uważał za swój obowiązek podkreślenie, że związki zawodowe nie mają czego szukać w mieście. Związki zawodowe były tak zantagonizowane z pracodawcami, że nawet nie wykluczały użycia klasycznych zamachów terrorystycznych, aby osiągnąć swoje cele. Przedsiębiorcy zgodnie podkreślali, że tu była Kalifornia, ziemia obiecana kapitalistów. Ich fabryki i farmy miały być *open shop*, a więc miejscami, gdzie robotnicy nie powinni należeć do związków zawodowych. Tutaj miało być inaczej i nie miało się pozwalać na praktyki rozpowszechniane na wschodzie USA, gdzie

większość zakładów było *close shop*, a więc gdzie zatrudniano tylko robotników zrzeszonych w związkach. Echa walki ze związkami zawodowymi, która apogeum osiągnęła na początku XX wieku, usłyszeć można nawet dziś, mimo że przedsiębiorcy przegrali bój, w którym chodziło o ograniczenie roli organizacji pracowniczych.

Związki zawodowe są dziś oczywistym, naturalnym i potężnym partnerem na rynku pracy. Nie tylko legalnym, ale również niezwykle twardym i wojującym. Za obecne problemy ekonomiczne Kalifornii, takie jak zadłużenie i obniżający się poziom usług komunalnych, prawie zawsze w pierwszej kolejności obwinia się istnienie zbyt silnych związków zawodowych. Według konserwatywnych polityków ich działalność zawyża koszty życia: cenę wody, elektryczności, czynszów, usług komunalnych, utrzymania policji i straży pożarnej. Uważa się, że sojusz administracji miejskiej i związków zawodowych stwarza wielkie ryzyko występowania korupcji i prowadzi do eliminowania praw wolnego rynku.

Pierwszy krok na światowej arenie politycznej Los Angeles zrobiło w czasie II wojny światowej. Miasto stało się centrum maszyny propagandowej. Studia filmowe zamieniły się w biura propagandy, które masowo produkowały filmy, rewie, koncerty. Miasto stało się twórczym laboratorium, w którym kształtowano obrazy, symbole i styl życia, które były równoznaczne z tym, co tak zwany Zachód miał do zaproponowania w przeciwieństwie do totalitarnych Niemiec i Japonii.

Szefowie studiów, aktorzy i piosenkarze bardziej niż chętnie pozowali przy specjalnych okazjach w szykownych, fotogenicznych mundurach wojskowych, pokazując wojnę widzianą z perspektywy Hollywood Boulevard.

Po zakończeniu II wojny światowej świat w dalszym ciągu mówił o Los Angeles, tym razem z całkiem innych powodów. W USA wybuchła czerwona panika (ang. *Red Scare*) – okres silnego anty-

komunizmu związanego z zimną wojną. Tym razem Hollywood nie było źródłem inspiracji i optymizmu, lecz postrachem. Tu miało być źródło komunistycznego zagrożenia i miejsce infiltracji. Rzekome wpływy komunistów na społeczeństwo amerykańskie miały pochodzić z rozpowszechnianej twórczości filmowej. Rezultatem paranoidalnego strachu i podejrzliwości były agresywne śledztwa kongresowe. Setki aktorów, reżyserów i scenarzystów musiało tłumaczyć się w Waszyngtonie ze swojego życia i dokonań. Najmniejsze podejrzenie oznaczało błyskawiczne zakończenie kariery filmowej. Nie oszczędzano nawet takich gwiazd, jak Gary Cooper lub Charlie Chaplin. Ci, którzy odmawiali udziału w tych przesłuchaniach kongresowych, a takich było wielu, szczególnie wśród scenarzystów, byli umieszczani na czarnej liście uniemożliwiającej kontynuowanie zawodu. W tych przesłuchaniach dużą rolę odegrał niejaki Ronald Reagan, ówczesny przewodniczący Amerykańskiego Stowarzyszenia Aktorów. Kiedy rozpoczęło się tropienie działalności antyamerykańskiej w całym kraju, Reagan stał się jednym z głównych śledczych mających „ujawnić komunistyczne wpływy w Hollywood”.

Wśród członków Kongresu badających działania i wpływy komunistów w Hollywood był inny syn Los Angeles – niejaki Richard Nixon. Dwadzieścia, trzydzieści lat później ci dwaj Kalifornijczycy zapiszą się na kartach historii. Pierwszy jako jedyny aktor, który został prezydentem USA, drugi jako jedyny prezydent USA, który zrezygnował z funkcji głowy państwa.

Tropienie działalności antyamerykańskiej w latach 50. nie przyczyniło się do odkrycia znaczącego spisku komunistycznego. Udała się inna rzecz, o wiele większa i mająca fundamentalne znaczenie dla filmowego Hollywood. Nastąpił powolny zmierzch klasycznych studiów filmowych. Do historii powoli odchodziło Hollywood, które było mistrzem w tworzeniu mitu o wspaniałym, bajkowym kraju na Zachodzie. W Hollywood następowały dramatyczne zmiany, podobnie jak w całym kraju.

W latach 60. XX wieku wydawało się, że nic nie jest w stanie zatrzymać amerykańskiej maszyny dobrobytu. W bardzo krótkim czasie długości jednego życia ludzkiego zmieniono radykalnie warunki życia większości obywateli. Ci, którzy wchodzili w życie w latach 30., zaznawali niespotykanej biedy i beznadziei wielkiego kryzysu. Pokolenie dorastające w latach 40. dokonało heroicznego wyczynu zbudowania nowej Ameryki, która nie tylko odbudowała swoją gospodarkę, ale również pokonała największe zagrożenia dla świata – niemiecki faszyzm i japoński imperializm. W latach 50. i 60. Amerykanie osiągnęli dobrobyt, który wcześniej był tylko marzeniem lub populistyczną obietnicą polityczną.

Pokolenie powojenne zaczęło przeprowadzać się na przedmieścia, do coraz większych, własnych domów. W latach 50. zbudowano w USA 1,5 miliona nowych domów. Rodzice i dzieci bawili się dobrze pomimo trwającego napięcia międzynarodowego i zimnej wojny. Lalki Barbie, hula-hoop, płyty Elvisa Presleya sprzedawały się jak świeże bułeczki. Hollywood pracowało pełną parą. Ludzie czuli się dobrze i mieli dobrze płatną pracę. Los Angeles i Kalifornia były symbolem tych wspaniałych czasów. Zarobione wcześniej pieniądze na produkcji wojennej zaczęto wykorzystywać do budowy nowych szkół, szpitali i inwestycji komunalnych. Rozsądni politycy i optymistyczni obywatele Kalifornii byli zwycięską polityczną kombinacją. Klasa średnia na dobrze zakotwiczyła się w społeczeństwie w oparciu o takie fundamentalne wartości, jak wiara w Boga, ciężką pracę i służbę narodowi.

Ale zamiast jeszcze lepszej Ameryki obywatele byli świadkami całkowitego załamania. Ci, którzy najbardziej żądali wprowadzenia natychmiastowych i radykalnych zmian, urodzili się w trakcie *baby boomu* lat 40. i 50. Kiedy to pokolenie dojrzało, miało wszystko, a USA było w posiadaniu połowy bogactwa świata i dwóch trzecich wszystkich maszyn do produkcji. USA wytwarzało ponad połowę światowej produkcji przemysłowej i dóbr rolnych.

Tak zwana klasa średnia rozrastała się w tak szybkim tempie, że tym terminem można było nazwać właścicieli około 50% gospodarstw domowych. Ponad 60% amerykańskich rodzin żyło we własnym domu. Większość obywateli w 1957 roku określała się jako „bardzo szczęśliwych”. To szczęście można było zauważyć na ulicach, w szkołach i przedszkolach. Ameryka pękała od gwałtownego przyrostu naturalnego. W latach 50. w USA było 24 miliony małych dzieci, w latach 60. już 35 milionów. Ta armia młodych ludzi ze swoimi małymi dziećmi znalazła przystań w nowych, pięknych i doskonale wyposażonych domach kupionych na raty, dzięki niezwykle korzystnym warunkom kredytowym.

Nagle pod koniec lat 60. wszyscy zaczęli być nieszczęśliwi. Nadszedł kryzys gospodarczy i czas nowej wojny. Każda grupa społeczna, bez względu na to, czy słusznie, czy nie, zaczęła zgłaszać krytyczne obiekcje wobec amerykańskiej rzeczywistości. Burzyli się czarnoskórzy Amerykanie, którzy w dalszym ciągu mieli powody, by czuć się dyskryminowani. Burzyli się biedniejsi Amerykanie, w dalszym ciągu biedni, pomimo wielkiego skoku cywilizacyjnego uczynionego przez kraj. Głośno protestowali młodzi intelektualiści i przedstawiciele elit kulturalnych, którzy czuli się skrzępowani tradycyjnymi wartościami społeczeństwa lat 60. Do boju o swoje prawa zdecydowanie zachęcały feministki i organizacje kobiece. Protestowali lewicowcy, szczególnie na amerykańskich uniwersytetach, a nawet zatwardziała część konserwatywnych aktywistów politycznych. Wszyscy byli nieszczęśliwi pomimo kolosalnego postępu, choćby wobec epoki swoich ojców i matek. Młoda generacja tak zwanych bitników, a później hipisów była głęboko niezadowolona i twierdziła, że życie w Ameryce jest bezsensowne.

Wybuchła rewolucja młodych ludzi przeciwko światu dorosłych. Jej centrum była Kalifornia. Ten bunt najlepiej charakteryzowało powiedzenie: „Nie wierzcie nikomu po trzydziestce”. Buntowano się wobec instytucji rodziny, szkoły, zakładu pracy. Prze-

ciwstawiano się normom ustanawianym przez rząd, wojsko czy finansjerę. Odrzucano rywalizację społeczną jako szkodliwą, gdyż była ona oparta na konsumpcji i materializmie. Słowem przekleństwem był establishment. Należało protestować wobec krzywd społecznych, rasizmu i wojny w Wietnamie. Popularną postawą nowego pokolenia było odcięcie się od celów, marzeń i rzeczywistości rodziców. Należało *do your own thing*, czyli w praktyce „robić wszystko to, na co ma się ochotę”, a nie to, co mówią politycy, rodzice i szkoła. Nie należało mieć poczucia winy z powodu robienia czegoś, co uważane jest za złe lub jest zakazane.

Dzieci wyżu demograficznego traktowały swój dobrobyt jako rzecz oczywistą, daną od zawsze i na wieki. Mało kto myślał o tym, że to nie jest stan permanentnego szczęścia, który się ludziom w USA należy. Nie przyjmowano do wiadomości, że świat nie jest stworzony dla ich przyjemności i że nowe pokolenie nie zawsze będzie miało lepiej w życiu niż ich rodzice.

Słoneczna i beztroska Kalifornia stała się ziemią obiecaną wszelkiego typu kontestatorów. Wkrótce okazało się, że Kalifornia jest mekką nie tylko liberalnych studentów, hipisów, feministów, ale również amerykańskiego konserwatyzmu. To, co działo się w Los Angeles, zaczęło decydować o sposobie życia całego narodu.

Połowę XX wieku politykę amerykańską realizowano już tylko w zaciszu gabinetów partyjnych bossów. Telewizja, film i muzyka popularna nabrały szczególnej roli, gdyż potrafiły angażować i zdobywać wielkie grupy zwolenników lub przeciwników, bez potrzeby płacenia za reklamę z kasy partyjnej. Rzeczywistość zaczęto opisywać i przedstawiać nie przez wypowiedzi i poglądy możnych polityków, lecz przez kulturę masową i coraz bardziej niezależne i rosnące w siłę środki masowego przekazu, szczególnie telewizję. To ona, aż do momentu przełomowego – pojawienia się Internetu – miała przez następne dziesięciolecia kształtować gusty i wartości, odbijać obraz rzeczywistości i po pewnym wy-

ostrzeniu przekazywać je milionom obywateli. Bogaci aktorzy, reżyserzy, producenci stali się jednymi z najważniejszych osób kampanii politycznych, a Los Angeles było miejscem, gdzie zdobywano fundusze i poparcie. Bycie tu było równie ważne i oczywiste jak wcześniejsze lobbowanie na Wall Street, w świecie bankierów i właścicieli wielkich firm.

W mieście zawsze istniała świadomość wagi i znaczenia poglądów politycznych i społecznych głoszonych przez gwiazdy i tak zwane Hollywood. Tak było w czasie II wojny światowej, kiedy Hollywood stanęło z normalną produkcją artystyczną i przerzuciło się na produkcję propagandową, która miała wzmocnić morale wojsk amerykańskich i cywilów pracujących w przemyśle zbrojeniowym. Los Angeles i Hollywood były w ciągu ostatniego półwiecza jedną z głównych aren walki ideologicznej, jaką prowadziło USA. Ronald Reagan, który w wielu rankingach plasował się jako jeden z najlepszych prezydentów w dziejach USA, był wielkim wychowankiem kultury hollywoodzkiej. Prezydent Richard Nixon, mimo kompromitującego zakończenia swojej kadencji, uważany był zarówno przez swoich zaciekle wrogów, jak i zwolenników za człowieka, który miał kolosalny wpływ na ukształtowanie świata w drugiej połowie XX wieku.

Reagan i Nixon dożyli momentu zakończenia zimnej wojny i upadku muru berlińskiego. Obaj byli świadkami historycznego przełomu, którego przyczyną nie były tylko kosztowny wyścig zbrojeń i niewydolność gospodarki komunistycznej. Sprawcą upadku komunizmu była również kultura *made by Hollywood* ze wszystkimi swoimi pokusami, takimi jak: *Rambo*, Clint Eastwood, Jane Fonda, *Dallas*, MTV i Oscar. To nie był amerykański imperiaлизм kulturalną siłą wciskany społeczeństwu socjalistycznym. To były rzeczy, o których ludzie na całym świecie marzyli i mieli nadzieję, że kiedyś pięknego dnia staną się ich stałymi konsumentami, a ich życie chociaż w części będzie przypominało to, które znali z ekranów kin i telewizora.

Mimo wielkiego wpływu na każdy ważny problem społeczny dyskutowany przez naród i uznania napływającego z zagranicy mieszkańcom Los Angeles nie udało się stworzyć pozytywnego wizerunku medialnego swojego miasta i siebie samych. I choć krytycy zastrzegają się, że negatywne opinie nie dotyczą wszystkich mieszkańców i wszystkiego, co dzieje się w mieście, to ta krytyczna smuga cienia jest bardzo szeroka i kładzie się w zasadzie na każdego, kto deklaruje, że pochodzi z L.A. Jak to zauważył niemiecki autor (z gruntu bardzo pozytywnie nastawiony do miasta) w jednej ze swoich książek:

Los Angeles może być wyjątkowo odpychające. Powierzchni ludzie, puści w środku jak słupy reklamowe oblepione krzykliwymi, głupimi plakatami. Pełno napompowanych silikonem głupiutkich dziewczątek i bogactwa tak niebywałego, że nie mieści się w głowie, „crazy money” – jak mówią tutaj. Z okrutną bezwzględnością darwinizmu eliminuje wszystko, co stare lub słabe[27].

Tę powszechnie powielaną opinię o mieszkańcach dość łatwo można zweryfikować, konfrontując ją z rzeczywistością. Wystarczy przyrzeć się ludziom podążającym pospiesznie każdego ranka do swoich biur, fabryk czy warsztatów. Trudno dostrzec zbotoksowane twarze, krzykliwe ubrania i niepoważne zachowania. Wręcz przeciwnie. Nie ma wielu miejsc na świecie, gdzie ludzie tak dbają o siebie i są świadomi, że ich powierzchowność jest ważnym elementem powodzenia w życiu prywatnym i zawodowym.

Ubrania, fryzury, sposoby bycia są proste, zadbane i stonowane. Urzędnicy paradują do swoich biur w nienagannych garniturach lub wyprasowanych z kantami koszulach. U kobiet przeważają proste, eleganckie sukienki i garsonki. Dominuje dyskretny makijaż tysięcy kobiet, które każdego ranka zaludniają wieżowce centrów biurowych. Można być więcej niż pewnym, że kilkanaście godzin wcześniej ci mężczyźni i te kobiety biegali, byli na kursie jogi, pływali, jeździli na rolkach lub byli w jednym z ty-

sięcy centrów fitness. Nawet jeśli nie mieli na to ochoty, to są do tego zmuszeni przez presję społeczną bycia w formie. Fizyczny upadek jest w Los Angeles równie brzydki, jak poszarpane ubranie. W tym mieście trzeba być pięknym. Jeśli nie jesteś wystarczająco urodziwy, masz obowiązek być wysportowany, energiczny i optymistyczny. Ta nienaganność trwa cały dzień. Ważne jest nawet, by dbać o styl w czasie lunchu, bez względu na to, czy odbywa się on w eleganckiej restauracji z gwiazdkami Michelina, czy na ławce w parku z sałatką kupioną w najbliższym 7-Eleven lub na stojąco przy jednym z food trucków. Wszyscy bez wyjątku w ułamku sekundy są *ready to go*, w stanie gotowości, żeby spotkać klienta, szefa lub konkurenta.

Krainy silikonu nie da się zauważyć, nawet jeśli przeniesiemy się bliżej w kierunku Hollywood lub Burbank, gdzie koncentrują się instytucje artystyczne. W anonimowych wieżowcach i studiach siedzą ludzie, którzy mają pełną kontrolę nad tym, jak należy wyglądać, żeby nie przepaść w tak delikatnych branżach, jak: filmowa, teatralna, muzyczna lub telewizyjna. Tysiące kandydatów na aktorów, muzyków czy uczestników telewizyjnych sitcomów są w stanie pełnej koncentracji. Każdy szczegół ich ubioru i zachowania jest wystudiowany i przygotowywany latami w szkołach, studiach i na prywatnych lekcjach. Ta koncentracja jest potrzebna. Walka nawet o najmniejszą rolę w produkcji filmowej jest bezlitosna. Chwila słabości i zamiast znaleźć się w przedśionku sławy, człowiek staje się przysłowiowym przegranym, który nie wytrzymał zabójczej konkurencji.

Ci, co już osiągnęli sukces, też nie za bardzo pasują do obrazu „powierzchnowych ludzi, pustych w środku jak słupy reklamowe oblepione krzykliwymi, głupimi plakatami”. Ta grupa, w skład której wchodzi parę tysięcy zawodowców, należy do pierwszej ligi hollywoodzkiej. Są oni w zasadzie niewidoczni w przestrzeni publicznej, jeśli nie liczyć takich okazji, jak wręczenie nagród akademii lub innych pijarowskich imprez. Dyskrecja i niechęć do

publicznego pokazywania się, która przysporzyła sławy mitycznej Grecie Garbo, jest niczym wobec tego, co pokazuje współczesna elita hollywoodzka. Odizolowanie się od świata, niechęć do mass mediów i unikanie wszystkiego, co byłoby spontanicznym, niezaplanowanym i nieakceptowanym przez agentów PR działaniem, jest totalna. Chce się uniknąć chaotycznego kontaktu z rozentuzjasmowaną publicznością, cyniczną prasą lub bezwzględnymi paparazzi.

To jest główny powód chowania się gwiazd w rezydencjach leżących na zboczach Hollywood. Ta niechęć do publicznego kontaktu jest uważana przez niektórych za jedno ze „zboczeń” Hollywood. Jako koronny dowód na to powołuje się fakt, że w niektórych kwadratach bogatych dzielnic brakuje zwykłych chodników tylko po to, żeby odstraszyć i zniechęcić ciekawskich. To, że nie ma chodników w bogatych dzielnicach, takich jak np. Bel Air, wynika jednak z bardziej prozaicznych przyczyn. Wysoko w górach nie mają one żadnej publicznej funkcji. Ci, którzy tu mieszkają, nie spacerują po ulicach. Miejsce do przechadzek mają na terenie swoich posiadłości. Ci, którzy odwiedzają celebrytów, przyjeżdżają limuzynami z eskortą.

Spacerować za to można w Beverly Hills, gdzie mieszkańcy muszą się przyzwyczaić do negatywnych stron bycia sławnym i bogatym. Alejami wysadzanymi wysokimi palmami suną nieprzerwanie autobusy wypełnione turystami. Ktokolwiek spróbuje wyjść na ulicę i przespacerować się po istniejących, idealnie płaskich, niemal białych chodnikach otoczonych równie idealnymi trawnikami, będzie musiał liczyć się z tym, że zostaną w niego wycelowane turystyczne kamery. Trzeba zaakceptować konieczność intensywnego reagowania na entuzjastyczne okrzyki przejeżdżających turystów i przyjazne machanie do nieznanych ludzi. Odizolowanie się od świata w Hollywood nie jest wymysłem czy fochami, lecz jedynym praktycznym sposobem zachowania minimum intymności i prywatności.

Turysta w zasadzie nie ma możliwości zbliżenia się do prawdziwego Hollywood. Najwięcej można obejrzeć, a tym samym najdalej dotrzeć, kupując bilet na zorganizowane objazdy wokół głównych wytwórni filmowych, szczególnie Universal i Warner Bros. Jeśli są to dla kogoś za drogie atrakcje, a tanie one nie są, ma się możliwość zobaczenia tego, co uważa się za Hollywood. Należy tylko pojechać pod Dolby Theatre na Hollywood Boulevard, Rodeo Drive lub Griffith Observatory po to, aby spotkać się z morzem turystów szukających dokładnie takich samych wrażeń.

Byliśmy rozczarowani Hollywood. Wyobrażaliśmy sobie, że ta dzielnica będzie bardziej „fancy”. Spodziewałam się zobaczyć wspinałą ulicę z fantastycznymi budynkami. Nic z tego[28].

Prawdziwych gwiazd nie spotyka się na Hollywood Boulevard lub Rodeo Drive. Istnieje większa szansa zobaczyć je na wiecach politycznych lub galach dobroczynnych. Hollywoodzkie gwiazdy nie są tylko samozadowolonymi jednostkami skoncentrowanymi na konsumowaniu swoich nieprzeciętnych dochodów. Od dawna są one świadomymi uczestnikami życia publicznego.

Los Angeles zawsze odważnie mieszało pomysły ze sfery polityki i show-biznesu. W kampanii prezydenckiej w 1960 roku jeden z kandydatów miał wszystkie atrybuty, aby wygrać. Jego ojciec wspierający go we wszystkim, czego się podjął, był mistrzem PR i miał doskonałe kontakty z czasów, kiedy sam działał w branży filmowej. Joseph Kennedy, ojciec przyszłego prezydenta USA, nauczył się w czasie swoich hollywoodzkich lat, jak ważna jest zewnętrzna oprawa i jak nawzajem przyciągają się władza i splendor. Zauważył wcześniej niż inni, że politycy powinni być postrzegani jako celebryci. Po to, aby odnieść sukces, powinni być zakotwiczeni w popkulturze i hollywoodzkiej legendzie. Jedną z jego najważniejszych nauk, jaką wbił do głowy swoim synom, było:

Nieważne, kim jesteś, lecz ważne jest to, za kogo ludzie cię uważają. Rzeczy nie wydarzają się same z siebie. Dochodzą do skutku,

dlatego że stało się coś w ramach public relations[29].

Lata 60. to czasy, kiedy nastąpiło końcowe przejęcie przez telewizję roli głównego kanału informacyjnego. Wcześniej tę funkcję pełniła prasa drukowana i radio. Zainteresowanie, jakie wytworzyło się wokół filmów, telewizji i ich gwiazd udawało, że obraz i mit są ważniejsze niż rzeczywistość, nawet dla tych, którzy starają się o wysokie stanowiska w służbach publicznych.

Kandydat na prezydenta USA w kampanii z 1960 roku i jego małżonka byli jakby wyrwani przed sekundą z jednego z klubów na Sunset lub Hollywood Boulevard. John i Jacqueline Kennedy stali się postaciami jak z wytwórni filmowej, świadomi swojej fotogeniczności i rozumiejący rolę i znaczenie popkultury. Dla większości Amerykanów John Kennedy stał się symbolem młodego, witalnego ducha narodu i nadzieją na jeszcze lepszą przyszłość.

W świecie kultury, w każdym razie europejskiej, określenie „hollywoodzki” nie jest pojmowane jako komplement, lecz jako określenie czegoś, co jest tanie i płytkie. Według krytyków jedyne, co Hollywood rzeczywiście gwarantuje, to rozmach i sukces finansowy. Mimo tego krytycznego stosunku każda nominacja do Oscara dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego jest w krajach pochodzenia filmu odczytywana jako znaczące wydarzenie, które analizuje się tygodniami przed uroczystością ogłoszenia wyników. Prasa, telewizja i Internet zalewane są do granic wytrzymałości szczegółami wszystkiego, co ma znaczenie dla tego magicznego wieczoru. Jeśli z Los Angeles napłyną pozytywne wiadomości, w zainteresowanych krajach ogłasza się święto i podkreśla wagę tego wydarzenia w światowej kulturze filmowej.

Nie wiem, jak się tu dostałem, zrobiłem czarno-biały film o potrzebie spokoju, wycofania się ze świata i kontemplacji. I oto jestem, w tym zgiełku, w centrum światowej uwagi. To fantastyczne, życie jest pełne niespodzianek – mówił rozentuzjasmowany Paweł

Pawlikowski podczas uroczystości wręczenia Oscara w 2015 roku[30].

W tak zwanej sieci i mediach społecznościowych też z zasady wybucha entuzjizm mimo wcześniejszych obiekcji co do artystycznej wartości filmowego Oscara:

Paweł Pawlikowski – mowa dziękczynna bez-cen-na!!!! Tyle luzu i spontanicznego szczęścia w krainie sztuczności i botoksu!!!! Nasi górą.

Jeśli wiadomości nie będą zbyt dobre w ciągu sekundy, wraca się do wyjściowego osądu, że:

Prawda jest jednak taka, że mamy w co rzucać kamieniami. Przywykliśmy narzekać na hollywoodzką mierność, cynicznie wpuszczane do kin półprodukty mające zagonić do kas tłumy nie-dające w zamian nic ponad odgrzewane żarty, wzruszenia z proszku i senne sceny akcji[31].

Takie politycznie poprawne, krytyczne nastawienie do produkcji filmowych z Los Angeles nie przeszkadza jednak, by w momentach szczerości stwierdzać, że światowy sukces jest synonimem produkcji hollywoodzkiej. Pod koniec 2015 roku przywódca ówczesnej opozycji politycznej w Polsce stwierdził, że, aby nadać prawdzie historycznej właściwą „narrację”, należy zwrócić się w kierunku Hollywood [...]

Dzisiaj Polska i Polacy są atakowani i często obrażani. Tak na zewnątrz, jak i wewnątrz. Trzeba temu postawić tamę w sposób przemyślany – mówił i zapowiadał „globalną” politykę kulturalną, oświatową i historyczną. – Zbierzmy pieniądze na dwa czy trzy hollywoodzkie filmy, które pokażą, jak w Polsce było naprawdę.

Zapędy do wciągnięcia Hollywood do krajowej polityki ma również rosyjski reżyser Nikita Michalkow. Jego najnowszy film *Udar słoneczny* nie znalazł się na krótkiej liście filmów nominowanych do Oscara 2016. Zdaniem Michalkowa zdecydowały o tym względy polityczne, a dokładniej poparcie Michalkowa dla aneksji Krymu dokonanej przez Rosję. Michalków w czasie konfe-

rencji Związku Filmowców Rosji zaproponował stworzenie w 2017 roku Eurazjatyckiej Akademii Filmowej, która przyznawałaby nagrody będące konkurencją dla amerykańskich Oscarów. Kraje przyznające alternatywne Oscary tworzyłyby państwa BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny i RPA). Podobnymi pomysłami nikt w Hollywood nie zajmuje się zbyt długo i na poważnie, ale nie oznacza to jednak, że amerykańscy filmowcy nie zauważają, jaką wpływową rolę odgrywają. Warner Bros, Sony Pictures, Fox, Universal rozważają produkcje filmów na potrzeby wewnętrzne innych krajów, które mają wystarczająco duży kapitał. Najczęściej są to: Chiny, Niemcy, Hiszpania, Meksyk, Brazylia, Korea i Rosja. Fox już przetarł szlaki dzięki produkcji rosyjskiego filmu *Stalin-grad*, który stał się wielkim sukcesem kasowym w Rosji. Innym sposobem zarabiania pieniędzy jest przerabianie amerykańskich filmów na lokalne wersje językowe lub kręcenie przebojowych filmów w nowej wersji z udziałem lokalnych aktorów i w lokalnej scenerii.

W niektórych krajach są odważni, którzy próbują dokonać przełomu na terenie samego Hollywood. Wytwórnia filmowa Legendary Entertainment, w której wyprodukowano takie filmy, jak: *Jurassic World*, *Godzilla* czy trylogię filmów o Batmanie *Dark Knight*, została kupiona przez chiński koncern Dalian Wanda Group. Cena za zakup wynosiła 3,5 miliarda i była to największa chińska inwestycja w dziedzinie kultury. Kontrolujący spółkę finansista Wang Jianlin powiedział, że planuje połączenie należącej do niego wytwórni filmowej w Chinach z Legendary w Hollywood.

Dalian Wanda Group chińskiego miliardera Wang Jianlina ma zamiar pobić rekord Legendary Entertainment. Trwają rozmowy z Viacom o kupnie 49% udziałów amerykańskiej wytwórni filmowej Paramount Pictures. Jeśli rokowania zakończą się sukcesem, oznacza to, że Chińczycy wydadzą od 8 do 10 miliardów dolarów i staną się prawdziwą potęgą wśród wytwórni hollywoodzkich.

Tym, którzy nie mają wystarczająco dużo pieniędzy na twórczość na licencji lub na wkupienie się w istniejące Hollywood, pozostaje tylko próba naśladowania pierwowzoru, jeśli nie poprzez twórczość lub sukces komercyjny, to chociaż poprzez nazwę. Na świecie namnożyło się „...woodów”: Bollywood (Indie), Kollywood (Sri Lanka), Lollywood (Pakistan), Nollywood (Nigeria), Trolleywood (Szwecja) lub polska HollyŁódź.

*

Los Angeles jest tłem, tematem lub głównym bohaterem przekazów medialnych. Miliardy ludzi czerpią przyjemność, zaspokajają ciekawość lub chęć nauki z wydarzeń, które tu się rozgrywają. Tak jak przed dziesiątkami lat w okresie złotego wieku kina miasto stało się matrycą do naśladowania i celem marzeń, jak dla filmowych bohaterów sportretowanych w *Speed*:

*Kiedy byłeś dzieckiem, Los Angeles
uczyło cię, jak należy marzyć.
Nie mów mi, że nie nauczyłeś się
więcej z filmów niż ze szkoły,
więcej z telewizji niż od rodziców.
A czego się nauczyliśmy?
Nauczyliśmy się wierzyć w bajkowy świat[32a],*

Ludzie ubierają się, mówią, reagują, a nawet klócą się jak bohaterowie reality show, których jedyną zasługą jest to, „że są sławni z tego, że są sławni”. To, że rodzina Kardashianów jest sławna, nie ma wątpliwości. Kendall Jenner, najmłodsza z sióstr Kardashian, ma ponad 20 milionów wielbicieli śledzących ją na Instagramie, którzy potrafią dać ponad 3 miliony „lubię to” za pojedyncze zdjęcie opublikowane na jej koncie. Ten ciągły wgląd w życie mieszkańców L.A. nie kończy się na akceptacji przez klikanie w ikonkę „lubię to”. Ponad 300 tysięcy osób z bogatych krajów Zachodu, takich jak Szwecja lub Niemcy, każdego roku zwalnia

się z pracy i przenosi się do Los Angeles, aby zrobić karierę. Mają oni często za sobą sukces w kraju ojczystym i uważają, że są w stanie zawojować również Kalifornię. To ma być wzniesienie swojej kariery na wyższy poziom. Przyjeżdżając tu, spotykają się ze zwyczajową życzliwością i sympatią, co nie oznacza, że ktokolwiek jest gotów ustąpić miejsca lub dać im szansę zawodową tylko dlatego, że przyjeżdżają z Europy czy Australii. Wręcz przeciwnie. Konkurencja jest zaciekle – o każdą możliwość pokazania się, awansu, zdobycia pracy lub kontaktów.

Wszyscy nowi wierzą w spełnienie się mitu „kalifornijskiego marzenia”. Wiara topnieje równie szybko, jak kasa, która miała być tylko zaliczką na przyszłe, wspaniałe, hollywoodzkie życie. Wprawdzie można tu przyjechać z dwoma pustymi rękami, pracować ciężko, wytrwale i odnieść sukces. Jedyny problem jest taki, że to zdarza się bardzo, bardzo rzadko.

Przez pierwsze miesiące i lata w Los Angeles większość żyje jednak w nadziei na wspaniałe życie i osiągnięcie sukcesu. Najczęściej kandydaci do hollywoodzkiej kariery wcześniej lub później konfrontują się z własną przeciętnością w tej globalnej konkurencji. Kiedy sukces nie przychodzi, należy podjąć decyzję o zejściu na ziemię i zatrudnieniu się jako kelnerka w Denny's, Wendy's lub innej restauracji. Duża część podejmuje decyzję o powrocie do kraju o czystego. Przy odrobinie szczęścia dawna lokalna sława kandydatów do kariery w Hollywood wciąż jest jeszcze aktualna i mają oni możliwość funkcjonować jako celebryci „po powrocie z Hollywood”.

W filmie *Speed* z 2009 roku główny bohater stwierdza, że prawie wszyscy poszukiwacze szczęścia próbujący sprzedać w L.A. swoje umiejętności, wiedzę lub ciało wcześniej czy później wylądają na lotnisku LAX:

Wiesz, dlaczego hale przylotów i odlotów na LAX leżą na odseparowanych od siebie poziomach?

*Dlatego, aby 30 tysięcy uwodzicieli, którzy przylatują tu co miesiąc, nie zauważyło tych 30 tysięcy, którzy ze złamanymi sercami opuszczają miasto***[32b]**.

Obcokrajowcy, którzy marzą o karierze aktorskiej, zapominają często o wielkiej barierze, która odgradza ich od osiągnięcia życiowego celu. Bez względu na to, jak zdolnym się jest, ile się pracuje nad podniesieniem poziomu, dojście do amerykańskiego standardu językowego jest prawie niemożliwe. Największe gwiazdy filmowe pochodzące z Europy, które zrobiły niekwestionowane wielkie kariery w Hollywood, uczyniły to tylko dzięki temu, że nie operowały perfekcyjnym angielskim. Arnold Schwarzenegger, Greta Garbo lub Marlena Dietrich swoje kariery zawdzięczają rolom, gdzie grali ludzi, dla których angielski był językiem obcym. Greta Garbo, po upowszechnieniu się filmu dźwiękowego, z racji szwedzkiego pochodzenia i kaleczenia języka angielskiego grała tylko postacie filmowe pochodzące ze świata odległego od USA. Inne gwiazdy kina niemego, jak polska Pola Negri, całkowicie zniknęły z firmamentu gwiazd hollywoodzkich. Powodem był silny akcent i niski głos – odbierany jako zbyt trywialny jak na wielką gwiazdę kina. Lepiej poszło Garbo tylko dlatego, że przez całe życie odgrywała role, które na swój sposób eksploatowały jej słabość – niewprawny język angielski. Na ekranach kinowych Garbo pojawiała się jako włoska śpiewaczka, niemiecki szpieg, rosyjska balerina, szwedzka królowa, polska hrabina lub austriacka pani domu.

Świat wielkiego filmu i rozrywki jest oczywiście otwarty dla obcokrajowców, o ile tylko ich miejsce jest nie na ekranie, a za kamerą. Obcokrajowcy z wyraźnymi problemami językowymi będący scenarzystami, kamerzystami, muzykami i reżyserami wielokrotnie osiągnęli hollywoodzkie szczyty. Do takich należeli również polscy twórcy, którzy odbili swoje piętno w mieście: reżyser Roman Polański, muzycy Zbigniew Preisner, Krzysztof Komeda i Wojciech Kilar lub scenograf Allan Starski.

Jeśli kandydaci na gwiazdy filmowe nie mają problemów językowych, to mogą skoncentrować się na własnym ciele. Jest ono głównym narzędziem potencjalnej sławy i zawsze można je lekko poprawić tak, aby kariera nabrała odpowiedniego kierunku i szybkości.

Częścią kultury hollywoodzkiej jest chirurgia plastyczna. Jest ona wszechobecna i prawie wszyscy z niej korzystają. Nie ma takiej części ciała, której nie można by poprawić, powiększyć, podnieść lub zredukować. Można majstrować przy piersi, twarzy i szyi, korygować nos, robić zabiegi ud, brzucha, ramion. Można poprawić sobie oczy, usta, czoło, pachy i stopy. Korzystanie z zabiegów chirurgii plastycznej stało się równie powszechne, jak zwykle zabiegi w gabinetach kosmetycznych.

W prawdziwym, pierwszoligowym Hollywood tych zabiegów nie widać zbyt wiele. Niezbyt często dokonuje się radykalnych operacji. Przeciętnie wydaje się minimum 150 tysięcy dolarów rocznie na zabiegi korygujące i opóźniające proces starzenia się. Poprawiają one urodę w minimalnym stopniu, ale są one tak częste, że pozwalają zachować młodość i vitalność hollywoodzkich celebrytów.

Tak długo, jak się jest na szczycie popularności, drastyczne operacje plastyczne nie są potrzebne. Skłonność do pójścia pod nóż lub igłę rośnie, w miarę jak kończą się sukcesy. Wtedy zaczyna się desperacka pogoń za lepszym „ja”, które najczęściej jest tylko karykaturą dobrego smaku. Istnieje prosta zależność między sukcesami a zabiegami plastycznymi. Nie idzie najlepiej na planie filmowym lub w studio, nie dzwonią agenci z nowymi propozycjami, znika się z głównych stron tabloidów – to sygnał, że trzeba coś ze sobą zrobić. Wtedy zaczyna się festiwal botoksu, silikonu, krzykliwych kreacji, burzliwych relacji i skandalicznych wypowiedzi. Wtedy objawia się to drugie, tandetne Hollywood, które tak często opisywane jest w kolorowej prasie.

Mówienie jednak, że całe miasto jest jednym wielkim Silicon City, jest daleko idącą przesadą. Silicon City istnieje, ale jej mieszkańcami nie są ci, którzy żyją z prawdziwego, twórczego Hollywood, lecz ci, którzy myślą, że dzięki ekstremalnym zabiegom kosmetycznym mogą stać się jego częścią.

*

Nazywanie Los Angeles „La-la Land” nie jest trafne. To nie jest słoneczne miejsce, gdzie wszystko jest zabawne, gdzie życia nie bierze się nazbyt poważnie, a ludzie tracą kontakt z prawdziwą rzeczywistością.

Los Angeles jest jednym z najbardziej twardych miejsc w Ameryce, gdzie o najmniejszą przestrzeń i miejsce w życiu miasta trzeba się bić na pięści z konkurencją. To, co jest podstawą i liczy się w końcowym rozrachunku, to ciężka praca i być może odrobina szczęścia. Najpopularniejszym motto poszukiwaczy sławy i kariery jest: *work hard, play hard*. Tylko talent i ciężka praca mogą zaowocować solidnym wynagrodzeniem w przyszłości. Jak to doskonale zdefiniował Robert Griffin III, jeden z młodych, ale już sławnych i bardzo bogatych piłkarzy futbolu amerykańskiego: „Ciężka praca się opłaca – ciężka praca jest w stanie pokonać wrodzony talent, ale jeśli już masz talent, a do tego ciężko pracujesz, jesteś nie do pokonania”.

W mediach społecznościowych można znaleźć tysiące rozdzierających opisów marzeń, których nie udało się zrealizować, i równie wiele krytycznych komentarzy o ludziach, którzy oszaleli na punkcie zrobienia kariery w Los Angeles.

Ci, którzy tu się przeprowadzają, są często nieszczerymi, zaciętymi, narcystycznymi i gburowatymi ludźmi. Przyjeżdżają tu i oczekują, że staną się „gwiazdami” podobnie jak Kardashianowie. W rzeczywistości stają się tym, co ja tak nienawidzę u ludzi. To, co tu dostaniesz, to astma, która cię zabija, korki, które zabierają coraz więcej twojego czasu i gwarancję, że miasto zostawi cię na bruku

załamane. Za dziesięć lat przechodzę na emeryturę i mam zamiar wrócić na rodzinną farmę, ale L.A. będzie mi brakowało. Ten ból będę czuł każdą cząstką mojej duszy.

*

Jesteś strasznie zgorzkniały i zawiedziony czymś? Może tym, że nie zarabiasz sześciocyfrowej pensji? Ja rozpoczęłam studia po czterdziestce i opłaciłam moje wykształcenie dzięki sprzątnięciu w domach emerytów i pracy jako recepcjonistka. Nie jęczałam, że nie mogę wyżyć z pracy twórczej. Dziś mam porządne dochody i życie na moich warunkach. Nie czekam całe życie na księcia na białym koniu, który zabierze mnie tam, gdzie mogę żyć jako pisarz, aktorka lub tancerka.

Los Angeles nie jest miejscem tylko dla marzycieli i pięknoduchów, którym starczy mieć pieniądze, być sławnym lub epatować przesadną konsumpcją. Nie jest to miejsce godne uwagi i uznania tylko dlatego, że samo miasto, palmy, ocean i premierowy czerwony dywan są cennym tłem dla milionów *selfie* robionych przez turystów, a tak zwaną światowość definiuje się przez obecność na pokazach Victoria's Secret lub premierze kolejnego filmu. Jeśli ktoś uważa, że miasto jest ogłupiające, i zgadza się z opinią nowojorskiego reżysera Woody'ego Allena, który stwierdził, że jedyną zaletą miasta i jego największą wartością jest możliwość skrócenia na skrzyżowaniu w prawo na czerwonym świetle, to może śmiało powiedzieć, że nie zna Los Angeles. Nie znał miasta John Lennon, kiedy publicznie oznajmił, że Los Angeles jest jednym wielkim parkingiem samochodowym, na którym zatrzymuje się tylko po to, aby zjeść hamburgera w drodze do San Francisco.

Niektóre marzenia o twórczych sukcesach się sprawdzają. Ci najzdolniejsi, najbardziej oryginalni, najbardziej pracowici realizują swoje plany. Werner Herzog, niemiecki reżyser filmowy, teatralny i operowy, scenarzysta, producent filmowy częściowo mieszkający w Los Angeles, powiedział kiedyś coś, co zaszoko-

wało amerykańską elitę intelektualną i potwierdziło, że Los Angeles jest miastem ciężkiej, mozolnej pracy.

Los Angeles jest tym miastem, które ma najwięcej materii kulturalnej w Stanach Zjednoczonych. Rzeczy po prostu realizują się w tym mieście i nie są tylko projektem lub marzeniem.

Od początku swojego istnienia Hollywood i Los Angeles nie były brane poważnie przez tak zwane elity. Według nich tu nie powstawała kultura. Już sto lat temu jeden ze szwedzkich pisarzy, bardzo krytycznych wobec amerykańskiej kultury, stwierdził, że „kultura jest jak sadzonka, która rośnie powoli” i że „nie można produkować kultury w ten sam sposób, jak produkuje się samochody Forda”. Europejskie spojrzenie na kulturę radykalnie różniło się od dynamicznej popkultury produkowanej w Kalifornii, która błyskawicznie zaczęła rozpowszechniać się wśród masowej publiczności na całym świecie. Komercyjny sukces amerykańskiej sztuki popularnej, takiej jak: film, taniec, muzyka, był za duży, aby go w ogóle nie zauważyć. Komercyjne siły w twórczości były za silne, aby je lekceważyć. Potęga masowego odbiorcy była za wielka, aby jej nie wykorzystać. Zaczęto mieszać klasyczną sztukę z pospolitą rozrywką i tworzyć coś, co było mieszanką rzeczywistości i mitu, rzetelnych umiejętności artystycznych i pospolitej popularności celebrytów. Kultura już nie zamykała się w salonach, lecz wylewała się na bruk uliczny.

Ludzie, którzy przyjeżdżają z daleka, nie zawsze przybywają tu w poszukiwaniu nowych idei. Najczęściej ich celem jest zrealizowanie tego, co dla nich jest wartościowe i godne spełnienia. To może dotyczyć tak samo kultury przez duże K, jak i kultury i stylu życia, które z początku bardziej wyglądały na dziwactwo zaspokajające ambicje małych grup ludzi. Taka popkultura obejmowała skateboard, surfing, kluby samochodowe, *drag racing*. Zwykłe T-shirty, neony, plenerowe koncerty muzyczne, kultura plażowa, hamburgery, *drive-in*, *dinersy*, bary koktajlowe, fast foody, aero-

biki, siłownie – należą do globalnej kultury masowej, która swoje źródła miała w Los Angeles i Kalifornii.

Miasto jest wielkim innowatorem, jeśli chodzi o styl życia. Za nim w latach 80. cały świat został ogarnięty manią aerobiku, były to ćwiczenia fizyczne, którymi interesowali się tylko piloci i kosmonauci. Do tego, aby świat zrozumiał, co to jest i czemu służy, potrzebne było Hollywood, a dokładniej prawdziwa gwiazda filmu – Jane Fonda. W swoich nagraniach wideo z 1982 roku pokazała ona nie tylko same ćwiczenia gimnastyczne. Hollywood przekonało ludzi, że dobrze jest się spocić i że gimnastyka połączona z muzyką może być sexy. Ćwiczenia i bieganie stały się gwałtownie pożądanym symbolem zdrowego i atrakcyjnego sposobu życia. W podobny sposób powstawała w mieście większość światowych trendów dotyczących zdrowia, wyżywienia i dobrego samopoczucia.

Los Angeles uważane jest za najbardziej twórczy punkt na kuli ziemskiej, nawet w porównaniu z takimi miastami, jak Paryż, Londyn czy Nowy Jork. Czy słusznie? Zwolennicy tego stwierdzenia mogliby je argumentować za pomocą tylko jednej liczby: 35 000 000 000. 35 miliardów dolarów to jest coroczna lista płac dla twórców mieszkających w mieście i okolicy. Ta fantastyczna suma dystrybuowana jest jako wynagrodzenie za twórczość związaną z rozrywką, sztukami plastycznymi i wizualnymi, modą, wydawnictwami i prasą, reklamą, sztuką użytkową, architekturą, mediami społecznościowymi, zabawkami, edukacją artystyczną, galeriami sztuki, muzeami i produkcją sztuki użytkowej. Szokiem jest nie tylko wielkość, ale również wysokość przeciętnej pensji. Scenarzyści, aktorzy, reżyserzy i producenci, nawet ci średni, mogą liczyć na co najmniej 210 tysięcy dolarów rocznie. W firmach związanych z show-biznesem lub mediami społecznościowymi trzeba zadowolić się około 126 tysiącami.

Te 35 miliardów dolarów wydanych na płace w branżach twórczych są jednak dobrą inwestycją. Dzięki temu wytwarza się pro-

dukty i usługi o wartości ponad 120 miliardów dolarów. W branżach twórczych pracuje bezpośrednio lub pośrednio ponad 700 tysięcy specjalistów, czyli co szósty człowiek w mieście i okolicy zajmuje się pracą twórczą. Prawie 100 tysięcy ludzi pracuje w produkcji filmowej, 258 tysięcy w show-biznesie, 55 tysięcy w mass mediach tradycyjnych i cyfrowych, 26 tysięcy jako architekci i projektanci sztuki użytkowej, 154 tysiące w modzie. Nawet w tak elitarnej branży, jaką tworzą galerie artystyczne, pracuje 1200 osób. Oprócz tego w mieście działa prawie 2700 organizacji społecznych związanych z kulturą i sztuką.

Los Angeles nie pretenduje do bycia twórczą stolicą świata. O tym się nie dyskutuje. Los Angeles wie, że jest epicentrum produkcji filmowej, telewizyjnej i muzycznej. USC Stevens Center for Innovation podał, że więcej „artystów, pisarzy, filmowców, aktorów, tancerzy i muzyków żyje i pracuje w Los Angeles niż w jakimkolwiek innym mieście, biorąc pod uwagę całą historię naszej cywilizacji”. Każdego roku produkuje się tu przeszło 1100 przedstawień teatralnych, a każdego tygodnia odbywa się 21 premier. Co roku miasto jest miejscem ponad 50 ważnych festiwali artystycznych, czyli co tydzień odbywa się festiwal, który ma znaczenie dla globalnej kultury.

The Music Center (oficjalna nazwa the Performing Arts Center of Los Angeles County) jest jednym z największych ośrodków sztuki w kraju. Zlokalizowane w okolicach nowego centrum finansowego składa się z szeregu scen, teatrów i sal koncertowych: The Dorothy Chandler Pavilion, Ahmanson Theatre, Mark Taper Forum i Walt Disney Concert Hall. Każdego roku odwiedzane jest przez 1,3 miliona widzów i słuchaczy, dla których program przygotowują Los Angeles Philharmonic, Los Angeles Opera, Los Angeles Master Chorale lub Center Theatre Group. Przez cały rok trwa tu nieustanny festiwal koncertów, przedstawień i akcji edukacyjnych.

Wielu artystów uważa, że miasto jest najlepszym miejscem na świecie do tego, żeby zapoznać się ze sztuką współczesną, ponieważ posiada wiele unikatowych muzeów i instytucji kulturalnych. Każde wielkie miasto byłoby dumne, mając choćby jedną taką światową instytucję kulturalną lub artystyczną. W Los Angeles znajduje się nie jedna, lecz co najmniej sześć takich. Każda z nich ma unikatowe zbiory, które często nie mają konkurencji ze względu na swoją wyjątkowość, wielkość i możliwości ekspozycyjne. Ludzie z całego świata pielgrzymują do Los Angeles County Museum of Art (LACMA), do galerii, muzeów i bibliotek należących do J. Paul Getty Trust, która jest jedną z najbogatszych instytucji kulturalnych na świecie. Jej wartość została oszacowana na ponad 5,8 miliarda dolarów. Imponują również: fundacja Eli i Edythe Broad, Norton Simon Museum, Huntington Library, The Museum of Contemporary Art (MOCA), szereg domów aukcyjnych, prywatnych galerii i pracowni w Beverly Hills, Culver City, Downtown L.A., Silver Lake, Los Feliz i Highland Park. Jak to opisał jeden z kuratorów fundacji Getty, życie artystyczne w Los Angeles, szczególnie to związane ze sztuką współczesną, charakteryzuje się swobodą wyrazu i innowacją, która jest możliwa dzięki odcięciu się Los Angeles od tradycji sztuki wschodniego wybrzeża USA i Europy.

Wielką rolę w budowaniu potęgi kulturalnej Los Angeles odgrywały pieniądze mieszkańców miasta, szczególnie tych, którzy w poprzednich epokach stali się ekstremalnie bogaci. Henry E. Huntington związany z biznesem kolejowym na początku XX wieku zainwestował 50 ówczesnych milionów w kolekcję europejskiego malarstwa, antycznych map i rzadkich książek. J. Paul Getty, który zrobił wielkie pieniądze na wydobywaniu ropy naftowej, stworzył kolejną spektakularną prywatną kolekcję. Getty kupował wszystko, co miało wartość historyczną: malarstwo, rzeźby, tkaniny, dywany, rękopisy, żyrandole, rzeźby antyczne. Z kolei Norton Simon, przemysłowiec z branży spożywczej, postanowił

wydać swoją fortunę na kupno dzieł sztuki, w tym na wielką kolekcję malarstwa XX wieku. Inny kalifornijski bogacz, tym razem prasowy, William Randolph stał się wielkim donatorem sztuki dla LACMA, które ma w swoich zbiorach 120 tysięcy cennych eksponatów ilustrujących historię i sztukę od antyku do dnia dzisiejszego, od mistrzów europejskich poprzez dzieła z Azji, Ameryki Łacińskiej, a skończywszy na świecie islamskim.

MOCA, poświęcone przede wszystkim sztuce po 1949 roku, otrzymało fantastyczną prywatną kolekcję sztuki od Davida Gefena wartą w 2014 roku około 2,3 miliarda dolarów.

Pod koniec 2015 roku otwarto nowe muzeum sztuki współczesnej Eli i Edythe Broad, którego budowa kosztowała 140 milionów dolarów. We wspaniałym budynku leżącym tylko kilkadziesiąt metrów od już istniejącego legendarnego MOCA i Sali Koncertowej Walta Disneya ulokowane są najważniejsze prace światowej elity sztuki współczesnej. W ciągu pierwszych trzech miesięcy od otwarcia tę ekskluzywną galerię, mieszczącą niełatwą w odbiorze sztukę, zwiedziło ponad 200 tysięcy ludzi, a rezerwacje internetowe są realizowane z trzymiesięcznym wyprzedzeniem. Emil A. Benny, kurator z Norton Simon Museum w Pasadenie, nie ma wątpliwości, że:

Los Angeles pozostanie cudownym miejscem dla artystów, co nie jest obecnie tak oczywiste, jeśli chodzi o Nowy Jork. Kombinacja niższych cen za wynajęcie studia, obecność doskonałych szkół artystycznych, życzliwe środowisko artystyczne przyciągają wiele talentów. L.A. właściwie wykorzystuje wcześniejszy mit mówiący, że miasto leży na marginesie kulturalnym. Dzięki temu artyści i kolekcjonerzy nie mają takiej presji na dopasowanie się do obowiązującego smaku i tendencji. Dzięki temu robią i kolekcjonują dokładnie to, co im sprawia przyjemność[33].

Opuszczone mieszkania i obiekty przemysłowe w centrum miasta stały się pożądanym łupem dla nowych artystów, którzy chcą osiąść w Los Angeles. Galerie sztuki są otwarte do późnych

godzin nocnych. Ludzi przyciągają nowe kluby, kawiarnie i bary. Najnowsza technika też przychodzi z pomocą. Dzięki firmom Uber lub Lyft rozwiązano problem parkingów i dojazdów, co pozwala gościom spoza centrum miasta na wypicie kieliszka lub dwóch i powrót na przedmieścia. Niektórzy zostają w centrum na dłużej. Stale rośnie liczba mieszkańców, którzy zaczynają się przekonywać do zalet mieszkania tutaj. Największą pokusą jest koszt wynajmu mieszkania, który wynosi zaledwie 2158 dolarów, chociaż z racji rosnącej popularności zaczyna wykazywać tendencję wzrostową.

Nazywanie Los Angeles twórczą stolicą świata niepoparte jest żadnymi dokumentami, ale tak jeden z jego mieszkańców żartobliwie opisał sprawę w internetowym magazynie „SmartPlanet”:

Raporty nie pokazują porównań miasta z innymi konkurentami na światowej scenie, tak więc ciężko jest powiedzieć, czy tak jest. Jeśli jednak uważasz, że twórczością [powstałą w Los Angeles] jest Mazda Miata, odrzutowiec Lockheed SR-71 Blackbird, internet, kanapki French Dip Sandwich i oczywiście moda na płaskie, gołe brzuszki, to musisz stwierdzić, że Los Angeles jest królem kreatywności.

Pomysłowość Los Angeles odbija się nawet na sposobie używania języka angielskiego. Wielka koncentracja mass mediów, a szczególnie telewizji, połączona z wielojęzycznością mieszkańców powoduje, że tworzy się tu nowe pojęcia, słowa lub mody językowe. Ich wpływ nie ogranicza się do USA. Dzięki możliwościom globalnej dystrybucji nowe słowa i frazy są błyskawicznie rozpowszechniane na całym świecie.

Jeśli chce się z kimś ponownie spotykać, mówi się: *Hasta la vista, baby*. To wyrażenie, będące fragmentem dialogu Arnolda Schwarzeneggera użytym w filmie *Terminator 2* z roku 1991, stało się tak popularne na całym świecie, że były prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew, żegnając się z ówczesnym gubernatorem Kalifornii Arnoldem Schwarzeneggerem, powiedział: *I'll be back!*. Po-

tem dodał: *Hasta la vista, baby!* i puścił do Terminatora oko, czym rozbawił go do łez.

Równie wielką karierę zrobiły inne cytaty, które stały się popularne w sytuacjach codziennych, jak i na kulturalnych salonach: *Go ahead, make my day* (Clint Eastwood), *You talkin' to me?* (Robert De Niro), *Show me the money!* (Cuba Gooding Jr), *I'm king of the world!* (Leonardo DiCaprio), *What a dump!* (Bette Davis) lub *Say „hello” to my little friend!* (Al Pacino).

Aby wyrobić sobie opinię o dzisiejszym poziomie kultury i sztuki w mieście, można zapytać tych, którzy uważają się za miarę tego, co ma klasę i jest nowatorskie. Takich ludzi jest w nadmiarze we Francji, kraju wiecznie wojującym na polu kultury i chętnie stawiającym się jako proste przeciwieństwo USA. Tam można znaleźć wielu przeciwników tego, co Stany Zjednoczone wnoszą do kultury globalnej. We Francji istnieje środowisko twórcze, które ma zdecydowane opinie o tym, co jest piękne i oryginalne, a co wtórne i niegodne uznania za dzieło artystyczne. Tę małą grupę ludzi tworzą francuscy projektanci mody. Co oni sądzą o Los Angeles? Większość z nich nie ma wątpliwości i bez dłuższego zastanowienia odpowiada:

W chwili obecnej wszyscy chcą być w L.A. [...] Los Angeles jest niesamowitym miastem znajdującym się w samym centrum twórczej eksplozji... Tu na miejscu jest fantastyczna mieszanka ludzi ze świata filmu, technologii, muzyki, architektury, kultury i gastronomii a teraz nawet świata mody, w którym wszyscy tworzą tak interesujące rzeczy.

Wyjeżdżający do Los Angeles twórcy francuscy zamiast wcześniejszego powątpiewania i obowiązkowego „Boże, co tam będziesz robić?”, słyszą: „Fantastycznie, ja chciałbym również tam być”. Jeden z francuskich projektantów mody powiedział wprost w magazynie „Vogue” w roku 2013, że na świecie istnieją dwie kolumny, na których opiera się współczesna moda. Jedną jest Paryż, czyli „świętynia i czysta tradycja”, a drugą – Los Angeles, który

jest podmuchem „współczesnego świata”. W świecie mody aby powstawała prawdziwa sztuka, potrzebne są wpływy i inspiracja obu. Twórcy mody przekonani są o ważności Los Angeles.

Europa jest umierająca, Francja jest ekonomicznie umierająca. Ludzie może mają swoją bazę w samym Paryżu, ale wiedzą, że ważne rzeczy dzieją się gdzieś indziej.

Projektantów mody nie należy dwa razy namawiać, aby ulokowali swoje kampanie reklamowe w Los Angeles. Nawet to, co powstało gdzie indziej i nie ma nic wspólnego z Miastem Aniołów, jest prezentowane na tle miasta, sugerując, że autorzy projektów, inspiracje lub główni klienci pochodzą z Los Angeles.

Między światem popkultury, filmu i awangardy artystycznej w Los Angeles znalazło się miejsce na coś, o czym nie wspomina się aż tak często. Tym rzadko spostrzeganym fenomenem jest publiczne szkolnictwo wyższe.

Kalifornijski System Szkół Wyższych (California Community Colleges System), Uniwersytet Kalifornijski (University of California) i Stanowy Uniwersytet Kalifornii (California State University) tworzą unikatową na świecie infrastrukturę naukową i edukacyjną.

Kalifornijski System Szkół Wyższych daje dwuletnie wykształcenie w 113 lokalnych uczelniach. System stworzony w 1967 roku jest uważany za największy na świecie system dający możliwość zdobycia wyższego wykształcenia.

Uniwersytet Kalifornijski rozpoczął swoją działalność w sali tanecznej w Oakland w 1853 roku. Pierwszy kampus założony został już w 1868 roku w Berkeley. Długo stał w cieniu bogatych uniwersytetów prywatnych (Stanford University, University of Southern California), ale dziś przekształcił się w fenomenalny *multi-versity*. Jest on najbardziej prestiżowym publicznym uniwersyte-tem amerykańskim. Formalnie to zrzeszenie dziesięciu innych uniwersytetów kalifornijskich. W skład uniwersytetu wchodzi ponad 100 bibliotek z 34 milionami książek, kilkadziesiąt muzeów i

archiwów, kilkadziesiąt instytucji kulturalnych wraz z teatrem, kilkanaście ogrodów botanicznych, kilka akwariów, pięć obserwatoriów, dwa planetaria, cztery stacje TV, dziesięć stacji radiowych, prasa i wydawnictwa. Istnieją uczelniane centra w Londynie, Meksyku i Paryżu. Z uczelni pochodzi 37 noblistów.

Uniwersytet Kalifornijski, Stanowy Uniwersytet Kalifornii i Kalifornijski System Szkół Wyższych tworzą trójgałęziowy system publicznego szkolnictwa, który nie ma sobie podobnych w USA. Szczególną rolę Los Angeles w świecie nauki można ostatecznie potwierdzić jednym spektakularnym faktem. Tu jest najlepsza uczelnia (każdego rodzaju) na świecie według rankingu z roku 2016. California Institute of Technology (Caltech) w Pasadena jest właśnie tą szkołą. W tej niewielkiej prywatnej szkole, w skład której wchodzi tylko 33 fakultety i wydziały, pracuje 34 noblistów, a 112 wykładowców wywodzi się z Narodowej Akademii Nauk.

W Los Angeles rozwiązuje się nie tylko problemy akademickie. Realne rozwiązania na skalę przemysłową stają się nową wizytówką miasta, które coraz częściej pojawia się na pierwszych stronach światowych gazet z tego względu, że jego mieszkańcy mogą zakończyć epokę samochodów z silnikami benzynowymi.

Człowiek, który dał temu marzeniu twarz i konkretne rozwiązania, nazywa się Elon Musk. Tym, którzy nie interesują się motoryzacją, można zaprezentować Elona Muska jako współczesnego Henry'ego Forda skrzyżowanego ze Steve'em Jobsem.

Wynalazca, celebryta, przedsiębiorca i przemysłowiec, zdolny do przekuwania wielkich pomysłów w wielkie rzeczy. Zatrudniał tysiące osób, które wykuwały metale w amerykańskich fabrykach w czasach, gdy inni uznali co za niemożliwe. [...] Dzięki Muskowi Amerykanie mogą obudzić się za dziesięć lat z najbardziej nowoczesną autostradą świata: systemem tranzytowym sterowanym przez tysiące stacji ładowania zasilanych energią słoneczną, pełną elektrycznych aut [34],

Musk jest młodym geniuszem, który zrewolucjonizował system elektronicznych płatności. Obecną pasją tego *Angelino*, który właściwie urodził się w południowej Afryce, jest Tesla Motors, fabryka samochodów, która chce wyrzucić silniki spalinowe na śmietnik i zastąpić je mechanizmem o napędzie elektrycznym. Za kilka lat sprzeda ona pół miliona samochodów elektrycznych, które postawią obecne samochody pod ścianą wstydu. Nie tylko zmieni się napęd tego kalifornijskiego cudu, Musk wyposaży każdy samochód w czujniki umożliwiające autonomiczną jazdę. Ten obecnie najbardziej pożądanym na świecie samochód najlepiej opisał jeden z dziennikarzy szwedzkich: „szybszy niż McLaren, zadziorny jak Ferrari i ekologiczny jak rower”.

Firma SpaceX i Elon Musk mają zamiar nie tylko zrewolucjonizować sposób poruszania się po Ziemi, ale również postawić do góry nogami programy kosmiczne realizowane zgodnie z XX-wieczną technologią. W kwietniu 2016 roku rakieta skonstruowana w Los Angeles dostarczyła zaopatrzenie dla astronautów na Międzynarodową Stację Kosmiczną. Kapsuła Dragon była częścią tej rakiety. Po wyniesieniu na orbitę Dragon po raz pierwszy pomyślnie wrócił na Ziemię i wylądował na pływającej platformie ulokowanej na Atlantyku. Ten wyczyn to kamień milowy w podróżach kosmicznych. Stworzono tanią rakietę wielokrotnego użytku, która może zastąpić wycofane wahadłowce kosmiczne. Możliwość użycia rakiety do wielokrotnych startów oszczędza czas i pieniądze. Według planów SpaceX za parę lat starty będą się odbywały raz na kilka tygodni i będą rutynowym działaniem.

Pewną ciekawostkę stanowi społeczne zaangażowanie Muska. Mimo że jest „tylko” naturalizowanym Amerykaninem, są mu bardzo bliskie idee, odwaga i brawurowość klasycznych zdobywców Dzikiego Zachodu. Musk w praktyce udowadnia, że „oczywiste przeznaczenie” Stanów Zjednoczonych w dalszym ciągu jest aktualne. W jednym z programów dokumentalnych w telewizji PBS w 2015 roku stwierdził, że USA „bez wątplenia są najlepszym

krajem, jaki istniał kiedykolwiek na Ziemi” i „największym motorem dobra, jakim kiedykolwiek jakiś kraj był”.

Nie tylko ludzie pokroju Elona Muska będą w przyszłości motorem rozwoju Miasta Aniołów. Kiedy prezydent USA Barack Obama otworzył w Sunnylands (ok. 160 km od Los Angeles) w połowie marca 2016 roku szczyt z liderami dziesięciu krajów należących do Stowarzyszenia Narodów Azji Południowo-Wschodniej, nastąpił historyczny moment narodzin nowego boomu, którego centrum będzie w Los Angeles.

Po ośmiu latach negocjacji 12 państw leżących nad Pacyfikiem uzgodniło zasady Partnerstwa Transpacyficznego, czyli nowej umowy o wolnym handlu. Partnerstwo Transpacyficzne (TPP) będzie regulowało wymianę handlową i chroniło wzajemne inwestycje państw leżących nad Pacyfikiem: USA, Kanadę, Meksyk, Peru i Chile z państwami azjatyckimi (Japonią, Wietnamem, Malezją, Singapurem i Brunei) oraz Australią i Nową Zelandią. Te kraje tworzą prawie 40% światowej gospodarki. Zgodnie z nową umową TPP może znieść aż 18 tysięcy różnych opłat celnych nakładanych na towary kupowane lub sprzedawane przez państwa leżące nad Pacyfikiem. Wraz z umową z 1994 roku (Północno-amerykańska Strefa Wolnego Handlu – zawartą pomiędzy USA, Kanadą i Meksykiem) zmieni ona geografie Ameryki i położenie Los Angeles.

Od momentu powstania USA Nowy Jork i wschodnie stany były frontową stroną kraju, a Europa głównym partnerem. Na początku XXI wieku to Zachód jest w centrum, a pierwszym portem i głównym miastem jest Los Angeles, dokładnie na tej samej zasadzie, jak Nowy Jork królował w XIX i XX wieku. Los Angeles przejmuje rolę portu wjazdowego do USA. Najważniejszym partnerem handlowym będą teraz kraje azjatyckie.

Miasto do tej nowej roli jest całkiem nieźle przygotowane. Los Angeles ma tak wielki potencjał intelektualny i rozwiniętą infrastrukturę, że gwarantuje rozwiązywanie zaawansowanych proble-

mów technicznych, handlowych i finansowych. Potężna armia twórców w każdej dziedzinie, którzy tu mieszkają, w trybie natchmiasmowym tworzy pomysły i rozwiązuje problemy.

Los Angeles produkuje jednak coś, co jest bardziej poszukiwane niż zwykle produkty i usługi przemysłowe. Miasto jest miejscem narodzin stylu życia, który jest pożądanym i naśladowanym na całym świecie. Współcześni ludzie, którzy są w ciągłej pogoni za dobrym samopoczuciem i rekreacją, kochają to, co Los Angeles ma im do zaoferowania. Coraz dłuższy czas wolny od pracy i chęć rozrywki są podstawowymi materiałami do produkcji tego dobra, który tak sprawnie powstaje w Los Angeles. Kreatywni ludzie Los Angeles, ich styl życia i pomysły są tematem, które nieprzerwanie wypełniają miliardy komputerów i telefonów komórkowych. Mieszkańcy naszej planety, bez względu na to, gdzie jest ich dom, w każdej sekundzie śledzą to, co dzieje się w domach i na ulicach Los Angeles. Miasto potrafi dostarczyć to, co daje ludziom radość i satysfakcję, zauważając, że nie tylko praca, walka o dach nad głową i zabezpieczenie przed głodem jest celem życia współczesnego człowieka. Los Angeles wypełnia treścią urządzenia i technologie opracowywane w Silicon Valley. Zimne digitálne narzędzia zmieniają się w ukochane zabawki, bez których ludzie nie mogą żyć.

Globalna popkultura i nieograniczony przepływ informacji są generatorem dającym miastu energię, a ta z kolei emanuje na cały świat, który jest coraz mniejszy z racji postępującej rewolucji digitalnej. Kiedy ludzie w końcu oderwą się od swoich komputerów, istnieje duża szansa, że celem ich podróży będzie L.A. i Kalifornia. Branża turystyczna ściąga do Los Angeles ponad 40 milionów turystów rocznie.

Bramą wjazdową do USA jest dziś Los Angeles, sąsiednie Las Vegas i San Francisco. Tu przybywa główna część turystów, którzy wydają najwięcej pieniędzy w trakcie swojej wizyty w kraju. Najbardziej rozrzutni turyści przyjeżdżają z Indii, Chin, Japonii, Brazy-

lii i Australii. Część z nich oczywiście odwiedza Wschodnie Wybrzeże, ale dla większości amerykańskie wakacje są równoznaczne z pobytem na Zachodzie. Na samą myśl o możliwości obsługiwania tych turystów, bossowie z branży rozrywkowej, hotelowej i hazardowej uśmiechają się od ucha do ucha. Przykładowy chiński turysta wydaje przeciętnie w USA 4400 dolarów (nie licząc kosztów transportu) i spędza 42 noce! [3b].

Czterdzieści milionów turystów w ciągu parodniowego pobytu w Los Angeles może „zaliczyć” wiele spektakularnych atrakcji. Ludzie przyjeżdżają tu często pierwszy i ostatni raz w życiu, po to, aby móc powiedzieć, że widzieli „to”. Ten wielki świat składa się z dziesiątek miejsc i atrakcji, takich jak: studia Universal, Paramount, Warner Bros lub Walt Disney, Hollywood Boulevard, Sunset Boulevard, Beverly Hills, plaże, które były świadkami kręcenia *Słonecznego patrolu*, mecze koszykówki, futbolu, hokeja i baseballu drużyn: Lakers, Clippers, Kings, Dodger, Galaxy, wielka sztuka w Getty Center, Disneyland, LegoLand California, SeaWorld San Diego, Long Beach Grand Prix. Wszystko to oddalone jest od siebie nie dalej niż dwie godziny jazdy samochodem. W czasie tych podróży nieraz w samochodzie rozlegną się znajome tony The Beach Boys, którzy rozkoszowali się surfingiem, jazdą szybkimi samochodami i bezproblemowym kalifornijskim stylem życia. Tak jak wielu przed nimi sprzedają oni światu tak bliski sercu obraz miejsca, gdzie od ponad 200 lat słowo „marzenie” było równoznaczne z Los Angeles i Kalifornia.

*I been all around this great big world
And I seen all kinds of girls
Yeah, but I couldn't wait to get back in the States
Back to the cutest girls in the world*

*I wish they all could be California girls
I wish they all could be California
I wish they all could be California girls [35].*

Bridge Mill, wrzesień 2016

BIBLIOGRAFIA

- [1] Silverberg Robert. *Against Babylon*. *Omni Magazine*. May 1986.

| POWRÓT |

- [2] Lurie Alison. *The Nowhere City*. New York City: Open Road Media, 2012.

| POWRÓT |

- [3] Stalmarsk Michael. *Las Vegas. Amerykańska Sodoma i Gomora*. Brzezina Łąka: Poligraf, 2015.

| POWRÓT do [3a] |

| POWRÓT do [3b] |

- [4] Hine Robert V., John Mack Faragher. *Frontiers. A Short History of the American West*. New Haven, Connecticut: Yale University, 2007.

| POWRÓT |

- [5] Longstreet Stephen. *All star cast*. New York: Thomas Y. Crowell Company, 1977.

| POWRÓT |

- [6] Pitt Leonard, Dale Pitt. *Los Angeles A to Z. An Encyclopedia of the City and County*. Berkeley, Los Angeles, California: University of California Press, Ltd., 1997.

| POWRÓT |

- [7] Boulé David. Navel orange produced a big bang in the Golden State. *The Sacramento Bee*, January 2 2016.

| POWRÓT |

- [8] **Brandreth Gyles.** *Oxford Dictionary of Humorous Quotations*. Oxford University Press, 2013.

| POWRÓT |

- [9] **Douglas Donald W.** *One Big Assembly Line.* *Los Angeles Times Magazine.* 13 December 1942, s. 4–6.

| POWRÓT |

- [10] **McDougal Dennis.** *Privileged Son: Otis Chandler and the Rise and Fall of the L.A. Times Dynasty*. Da Capo Press; reprint edition, 2009.

| POWRÓT |

- [11] **The Mamas & The Papas** *California Dreamin'.* *If You Can Believe Your Eyes and Ears.* [LP] Los Angeles: Universal Publishing Group, John Edmund, Andrew Phillips and Michelle Gilliam, 1966.

| POWRÓT |

- [12] **Walker Franklin.** *A Literary History of Southern California.* Berkeley: University of California Press, 1950.

| POWRÓT |

- [13] **Stalmarsk Michael.** *Detroit. Amerykańska legenda w drodze z piekła do nieba i z powrotem.* Warszawa: Warszawska Firma Wydawnicza, 2013.

| POWRÓT |

- [14] **Sanbum Josh.** *The radically simple solution to homelessness.* *Time.* Vol.187, no 9, 14 March 2016.

| POWRÓT |

- [15] **PAP, mast.** *Trump rozwiąże problem suszy w Kalifornii.* *Gazeta Wyborcza.* 28 maja 2016.

| POWRÓT |

[16] Fleming Anne Taylor. No Fear. *Los Angeles Magazine*, July 8 2013.

| POWRÓT |

[17] United States Constitution, www.archives.gov. [Online] 2016.

| POWRÓT |

[18] Commerce Department of. *U.S. Census Bureau History*, January 2016.

| POWRÓT |

[19] Pehrson Lennart. *Den nya staden*. Stockholm: Albert Bonniers Förlag, 2014.

| POWRÓT |

[20] Caughey John and LaRee. *Los Angeles: Biography of a City*. Berkeley: University of California Press, 1977.

| POWRÓT |

[21] *Zoot Suit Riots*. Boston: PBS TV, 2001.

| POWRÓT do [21a] |

| POWRÓT do [21b] |

| POWRÓT do [21c] |

[22] Marable Manning. *Malcolm X: A Life of Reinvention*. New York: Viking, 2011.

| POWRÓT |

[23] Jr. Martin Luther King. *Address at the Chicago Freedom Festival*. Chicago, 1966.

| POWRÓT |

[24] Safir Howard. Police Brutality is Inexcusable – and Rare. *Time Magazine*. 20 kwietnia 2015, s. 24.

| POWRÓT |

[25] TripAdvisor LLC. *TripAdvisor.com*. [Online] 2016.

| POWRÓT |

[26] Safir Howard. *Police Brutality is Inexcusable – and Rare. Time Magazine*. 20 kwietnia 2015, s. 24.

| POWRÓT |

[27] Strecker Rainer. *Los Angeles. Single, gangi i zieloni piraci*. Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2015.

| POWRÓT |

[28] TripAdvisor LLC. *TripAdvisor.com*. [Online] 2016. 51.

| POWRÓT |

[29] Pehrson Lennart. *Familjen Kennedy. En amerikansk dynasti*. Lund: Historiska Media, 2011.

| POWRÓT |

[30] Justyna. Oscar dla „Idy”! Wielki sukces polskiego kina. *Gazeta Wyborcza*. 23 lutego 2015.

| POWRÓT |

[31] Czartoryski Bartosz. Cudze ganicie, swego nie znacie...?. [Online] 5 lutego 2015. www.onet.pl.

| POWRÓT |

[32] Mackenzie David. *Spread*. 2009.

| POWRÓT do [32a] |

| POWRÓT do [32b] |

[33] Yogerst Joe. *Artistic Oasis. Bespoke Concierge*. Summer 2015.

| POWRÓT |

[34] Vance Ashlee. Elon Musk – geniusz czy szaleniec?. *Gazeta Wyborcza*. *Gazeta Weekend*. 3 kwietnia 2016.

| POWRÓT |

[35] John D. Rich Gretchen Frances N. Wilson. *California Girls*. [LP]
Los Angeles: Capitol Records, 1965.

| POWRÓT |

Literatura dodatkowa

AFI's 100 Years... 100 Movie Quotes.

Baur John E. *The Health Seekers of Southern California*. San Marino, California: Huntington Library Press, 2010.

Cooke Alistair. *Alistair Cooke's America*. New York: Basic Books, 2009.

Dumke Glenn S. *The Boom of the Eighties in Southern California*. San Marino, California: Huntington Library Press, 1991.

Faragher John Mack, Robert V, Hine. *A Short History of the American West*. New Haven: Yale University, 2007.

Gelin Martin. *Den amerikanska höger – Republikanernas revolution och USA:s framtid*. Stockholm: Natur & Kultur, 2012.

Hagstrom Neal R. Peirce and Jerry. *The Book of America*. New York, London: W.W. Norton & Company, 1983.

Hoyt Austin. *Chicago: City of the Century*, [wyk.] American Experience WGBH Educational Foundation. 2003.

Mak Geert. *In America: Travels with John Steinbeck*. London: Harvill Secker, 2014.

Mayer John. *The Dirty Mind and Lonely Heart of John Mayer*. *Rolling Stone Magazine*. June 6 2012.

Mayo Morrow. *Los Angeles*. New York: Alfred A. Knopf, 1933.

Nadeau Remi A. *Los Angeles: From Mission to Modern City*. New York: Longmans, Green, 1960.

Pehrson Lennart. *Den nya världen.* Stockholm: Albert Bonniers Förlag, 2014.

Pehrson Lennart. *Martin Luther King.* Lund: Historiska Media, 2012.

Rayner Richard. *The Associates, Four Capitalists Who Created California.* New York: W.W. Norton & Company, Inc., 2008.

Robinson W.W. The Southern California Real Estate Boom of the Twenties. *Southern California Quarterly.* 1942, s. 25-30.

Schwarzenegger Arnold, Peter Petre. *Total Recall – My Unbelievably True Life Story.* New York: Simon & Schuster, Inc., 2012.

The World Almanac and Book of Facts 2015. New York: World Almanac Books, 2015.

Wikipedia, The free encyclopedia. [Online], Listopad 2015.
<https://en.wikipedia.org>.